R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

№ 814

Teodor Roosevelt.

Pamiętnik Roosevelta

PREZYDENTA
STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI.

Przekład z ang. M. G.

BIBLIOTEKA
pat. św. Józafata
w Warszawie
przy ul. Powązkowskiej

WARSZAWA.
1919.

92 :32.(73.1)

6451/1

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

Słowo wstępne.

Niektóre ustępy moich wspomnień, jak łatwo pojąć, nie mogą być obecnie ogłoszone.

Sądzę, że tak dla narodu, jak dla pojedyńczych ludzi, najwięcej znaczy kombinacja zalet, które, niestety, rzadko z sobą chodzą w parze. Energja w kierunku praktycznym spotyka się u ludzi często, a wzniosły idealizm też nierzadko. Rzadko tylko dwie te zalety łączą się w jednej osobie. Zamiłowanie pokoju jest rozpowszechnione wśród ludzi słabych, gnuśnych, lękliwych i niedaleko widzących; a znowu odwaga trafia się często u ludzi złego charakteru i szkodliwych. Lecz ani jedno, ani drugie nie wystarcza, bo tylko ludzie silni i odważni — miłujący pokój, lecz ceniący sprawiedliwość wyżej nad pokój, mogą podnieść poziom ludzkości i potrafią postępować sprawiedliwie ze wszystkiemi narodami.

Ze względu na niesłychane powikłanie stosunków społecznych i przemysłowych w naszej epoce, musimy śmiało i bez wahania uciekać się do naszych sił zbiorowych, lecz i to nie wystarczy, jeżeli przeciętni ludzie nie będą rozumieli swoich obowiązków, jeżeli nie będą mieli inicjatywy i zro-

zumienia własnej odpowiedzialności. Musimy rozwijać w sobie te zalety, niezbędne do działania, ale będą i one tyle warte, co pył ulotny, jeżeli nie oprą się na gruntownych cnotach i uczuciach rodzinnych, których podstawą jest głęboka miłość mężczyzny dla wybranej kobiety, na ich pogodnej gotowości do przyjęcia ciężaru obowiązków względem dzieci.

Trzeba mieć silne poczucie obowiązku — a przytym umieć odczuwać *radość życia*; trzeba uważać za hańbę uchylanie się od obowiązków ciężkiej pracy na świecie, a jednocześnie umieć odczuć rozkosze, jakie nam dają piękne strony życia. Trzeba mieć duszę płomienną, a charakter żelazny i kierować się zawsze wskazówkami zdrowego rozsądku. Trzeba być miłosiernym względem winowajców, o ile zgadza się to z nieubłaganą koniecznością walki, jaką należy toczyć z przestępstwami. Powinniśmy być sprawiedliwi i wspaniałomyślni względem innych — a jednak rozumieć, że hańbą jest, grzechem, nie stanąć śmiało i bez wahania w obronie uciśnionego. Z łagodnością i tkliwością musi iść w parze odwaga i gotowość do znoszenia trudów — pracy — niebezpieczeństwa. *Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego.* Piękne to hasło, ale pod tym warunkiem, ażeby nikt nie był ciężarem dla innych.

My—członkowie nowożytnego demokratycznego społeczeństwa—powinniśmy walczyć bezustannie o to, ażeby człowiek, który pracuje ciężko, mógł żyć dostatnio a uczciwie; ażeby człowiek bogaty nie mógł żyć nieuczciwie, uchylając się od spełniania swoich obowiązków. Ale powinniśmy

sądzić bogatych i biednych według jednej miary— według ich postępowania, bez względu na warstwę społeczną, do jakiej należą. Powinniśmy również surowo obejść się z nikczemną i występną zawiścią, która nienawidzi bogatego człowieka i chce go zrabować dlatego, że jest bogaty—jak i z bezwzględną, samolubną pychą, która pomiata i wyzyskuje człowieka ubogiego, choć bez jego usług żyć byłoby ciężko.

Teodor Roosevelt.

Sagamore Hill, 1 Oct., 1913.

I.

Lata chłopięce i młodzieńcze.

Dziadek mój z linji ojczystej był prawie czystej krwi Holendrem. W młodości mówił jeszcze po holendersku i w nabożeństwach reformowanego kościoła posługiwano się holenderskim językiem.

Około 1644 r. przodek mego dziadka, Klaes Martensen van Roosevelt, przybył do Nowego Amsterdamu jako „osadnik“: tak nazywano w siedemnastym wieku, przez uprzejmość, wędrowców z Europy, przybywających pod pokładem żaglowców tak, jak w dziewiętnastym wieku zwą *imigrantami*, przybyszów, płynących pod pokładami parowców. Od owego czasu siedem pokoleń naszego rodu—od pradziadów do prawnuków—ujrzało światło dzienne na Manhattan Island.

Przodkowie mego ojca, byli wszyscy holenderskiego rodu, z wyjątkiem jednego stelmacha Waldrona, który przybył z „*Pielgrzymami*“ [1]) z An-

---

[1]) Tak zwano uciekających z Europy przed prześladowaniem religijnym protestantów.

glji. Pozostał on w Holandji, kiedy towarzysze jego popłynęli do Massachusetts, i potym dopiero z holenderskiemi awanturnikami zawędrował do Nowego Amsterdamu. Matka mego ojca była rodem z Pensylwanji. Przodkowie jej przybyli do Pensylwanji, z Williamem Penn, niektórzy nawet na tym samym, co on statku i nie różnili sie niczym od ogólnego typu ówczesnych imigrantów. Byli wśród przybyszów Walijczycy i angielscy Kwakrowie—jeden Irlandczyk—z celtyckim imieniem—i o ile się zdaje, wcale nie Kwakier—byli i miłujący spokój Niemcy, założyciele „*Germantown*“ [1]): wygnani ze swych domów nad Renem, przez zwycięskie wojska Ludwika XIV, kiedy spustoszyły one Palatynat; przybyli z nimi i wcale nie pokojowego usposobienia Irlandczycy oraz Szkoci; ci zjawili się w Pensylwanji już później, w początkach osiemnastego stulecia.

Moja babka miała niezwykłą słodycz i siłę charakteru, przejawiające się w jej stosunku z mężem i z synami. Pomimo że sama nie pochodziła z holenderskiego rodu, ona to jednak nauczyła mnie jedynej holenderskiej piosenki, jaką umiałem w dzieciństwie, a która się zaczynała od słów: „*Trippe troppa tronjes*“. Zapamiętałem ją dotychczas, a podczas mego pobytu we Wschodniej Afryce wyrazy te stanowiły łącznik między mną i Boerami, lubo z trudnością mogli oni zrozumieć moją wymowę — czemu się wcale nie dziwię. Ciekawe było to moje spotkanie z ludźmi, których przodkowie wywędrowali na

---

[1]) „Niemieckie miasto“.

Przylądek Dobrej Nadziei w tym samym czasie, gdy moi przybyli do Ameryki; dowiedzieli się, że teraz, po upływie dwuch i pół stuleci, pokolenia obu gałęzi tych wędrowców uczą jeszcze swoje dzieci tych samych dziecinnych piosenek...

O moim pradziadku Roosevelcie i jego rodzinnym życiu przed stu pięćdziesięciu laty wiem mało, oprócz tego, co można wywnioskować z kilku jego książek, jakie mi się dostały, jako to: *„Życiorys Johna Pawła Jenesa“*, *„Listy Juniusa“* i *„Życie Washingtona“*. Sądząc z tych wskazówek, jego bibljoteka była o wiele mniej zajmująca, niż bibljoteka pradziadka mojej żony z tego samego czasu, w której znajdowały się takie dzieła jak, np. oryginał „Edymburskiego Przeglądu“, który obecnie stoi na półkach naszej bibljoteki.

O moim dziadku Roosevelcie zachowałem najżywsze wspomnienie nie z tego, co widziałem, lecz z tego, co mi o nim opowiadano. Że za jego dziecięcych czasów niedziela była dniem tak posępnym dla dzieci wyznania kalwińskiego, a pochodzenia holenderskiego, jakby były potomkami purytanów szkockich, lub francuskich hugonotów. Mówię to, chociaż się chlubię memi holenderskiemi, hugonockiemi i purytańskiemi przodkami i choć jestem dumny z tego, że w żyłach moich dzieci płynie krew purytańska Jonatana Edwardsa.

Otóż, pewnego letniego popołudnia, mój dziadek, mały wówczas chłopiec, wysłuchawszy niezwykle długiego kazania w holenderskim kościele—i to poraz drugi w ciągu jednej niedzieli—biegł do domu, zanim rozeszli się uczestnicy na-

bożeństwa i spotkał stado świń, w owej epoce wałęsających się swobodnie po ulicach Nowego Yorku. W mgnieniu oka wskoczył na grzbiet opasłego wieprza, który puścił się wielkim pędem i poniósł go galopem w sam środek pobożnych, wracających z kościoła, co obudziło niesłychane zgorszenie.

W papierach rodziny Rooseveltów znajduje się ciekawy dokument, który dowodzi, jak wielka zaszła zmiana w życiu i zwyczajach od tych czasów, które pesymiści nazywają „dawnemi i lepszemi czasami Rzeczypospolitej".

Stary Izaak Roosevelt był członkiem komisji sprawdzającej rachunki, która, wkrótce po skończeniu Rewolucji, pokwitowała z odbioru następującego dokumentu.

Stan Nowojorski do Johna Cape.

Za obiad, wydany przez Jego Ekscelencję Gubernatora i Radę miejską, dla Ich Ekscelencji posła francuskiego, gienerała Washingtona et Comp. 1783 r. Grudzień.

Za 120	obiadów	48	—	—
„ 135	butelek Madery	54	—	—
„ 36	„ Portweinu	10	16	—
„ 60	„ angielskiego piwa .	9	—	—
„ 30	waz ponczu	9	—	—
„ 8	obiadów dla muzyki . . .	1	12	—
„ 10	„ dla służby . . .	2	—	—
„ 60	kieliszków stłuczonych . .	4	10	—
„ 8	stłucz. karafek z rzniętego szkła	3	—	—
„	kawę dla 8 panów	1	12	—
„	wynagrodzenie muzykantów . .	8	—	—

Za owoce i orzechy	5	—	—
	ft. 156	10	—
zapłacono „	100	16	—
	ft. 55	14	—

My, członkowie komisji, przejrzawszy powyżej podany rachunek, uznajemy go, do wysokości stu pięćdziesięciu sześciu funtów i dziesięciu szylingów, za dokładny.

17 grudnia 1783 r.

Izaak Roosevelt
Jas Duane
Egbt. Benson
Fred Jay.

Przyjąłem niniejsze pokwitowanie w całości.
Nowy York 17 grudnia 1783 r.

John. Cape.

Wyobraźcie sobie dziś gubernatora Nowego Yorku, przedstawiającego taki rachunek przyjęcia francuskiego ambasadora i Prezydenta Stanów Zjednoczonych! Zdanie Falstaffa o stosunku jadła do napoju wydaje się umiarkowane wobec waz ponczu, butelek portweinu, madery i piwa, wypitych przez biesiadników, a „kawa dla 8 panów“ świadczy, że tylu tylko dotrwało do końca obiadu. Szczególnie zaś budzi podziw zimna krew, z jaką zanotowano stłuczenie ośmiu karafek z rzniętego szkła i sześćdziesięciu kieliszków — w wyniku ostatecznym wypitych butelek wina i waz ponczu.

Podczas Rewolucji wielu moich przodków z Północy i Południa służyło w szeregach armji uczciwie, lecz bez szczególnych wyróżnień, inni zaś pełnili służbę w Kongresie lub w różnych

miejscowych urzędach. W owych czasach mieszkańcy Północy trudnili się przeważnie handlem — mieszkańcy Południa uprawą ziemi na plantacjach.

Rodzina mojej matki wywodzi się przeważnie od protestantów szkockich i angielskich oraz francuskich hugonotów.

Matka moja była rodem z Gieorgji, gdzie jej rodzina osiedliła się przed Rewolucją, przeniosłszy się tam z południowej Karoliny. Protoplastą rodu był Bulloch, chłopiec z okolic Glasgowa, przybyły do Ameryki przed paruset laty, tak jak przybywały wówczas tysiące zgłodniałych, rzutnych Szkotów, którzy w ciągu dwustu lat rozeszli się po wszystkich krajach kuli ziemskiej. Pradziadek mojej matki, Archibald Bulloch, był pierwszym „rewolucyjnym" prezydentem w stanie Gieorgji. Ojciec matki — mój dziadek — spędzał zimę w Savannah, a lato w Roswell, na wyżynach Gieorgji w pobliżu Atlanty i ostatecznie zamieszkał na stałe w Roswell. Podróże odbywał z całą rodziną i pakunkami, własnym powozem, za którym jechał wóz z tłomokami i służbą. Poznałem Roswell dopiero, gdym został prezydentem, lecz moja matka tak dużo mi opowiadała o tej miejscowości, że gdym przyjechał tam po raz pierwszy, zdawało mi się, że znam każdą dróżkę, każdy zakątek i że jeszcze snują się tam widma tych, którzy dawniej ten dom zamieszkiwali. I to nietylko osób należących do rodziny, lecz i niewolników murzynów także.

Matka i jej siostra, a moja ciotka, opowiadały nam rozmaite szczegóły o niewolnikach.

Najciekawsze były opowiadania o bardzo starym murzynie, zwanym *BobNiedźwiedź*, dlatego, że w samych początkach powstania osady, niedźwiedź zdarł mu część skóry na głowie. Dawna piastunka mojej matki, Mom' Grace, o której myślałem, że już nie żyje, powitała mnie, gdy przyjechałem do Roswell; osoba bardzo czcigodna i tak czerstwo wyglądająca, że można jej było wróżyć długie jeszcze lata życia. Dwie najważniejsze osobistości, występujące w opowieściach matki i ciotki, były Daddy Luke, murzyn nadzorca i jego żona Mom' Szarlota. Nie widziałem nigdy żadnego z nich, lecz po śmierci matki odziedziczyłem opiekę nad niemi. Po skończonej wojnie oboje odrzucili stanowczo daną im wolność i nie chcieli opuścić Roswell, zanieśli do nas tylko prośbę o coroczny zasiłek pieniężny na kupno nowego muła.

I odtąd, co roku nadchodziła wiadomość o śmierci muła, albo też o jego tak ciężkim kalectwie, że trzeba było koniecznie dać mu zastępcę. Bajeczna ta wiadomość, powtarzana z wytrwałością, świadczącą o zupełnym braku wyobraźni, nie złudziła nas nigdy i nawet nie miała na celu wprowadzić w błąd kogokolwiek: dawała tylko pewność dochodu na noworoczne podarki.

Dom mego dziadka z linii macierzystej, leżał na drodze przemarszu wojsk gienerała Shermana do morza, więc pewnie wszystko, co dało się unieść zabrali z niego zuchy w niebieskich mundurach, nie wyłączając nawet znacznej części książek z bibljoteki. Kiedy zostałem obrany na Prezydenta i dzienniki ogłosiły inne szcze-

góły, odnoszące się do moich rodzinnych stosunków, dawny żołnierz z armii Shermana zwrócił mi książkę, z wypisanym na niej nazwiskiem mego dziadka. Było to małego formatu wydanie poezji „Mr. Graya“, drukowane w Glasgowie, w osiemnastym wieku.

Urodziłem się 27 października 1858 r. w Nowym Yorku, pod Nr. 28 Dwudziestej ulicy, w domu, w którym potym mieszkaliśmy jako małe dzieci: moje dwie siostrzyczki, braciszek i ja. Dom urządzony był według posępnego gustu, panującego wówczas w Nowym Yorku. Meble w jadalni, obite czarnym włosianym materjałem, drapały obnażone nóżki dzieci, gdy na nich siedziały. W środkowym pokoju mieściła się bibljoteka, ze stołami, krzesłami i szafami o ponurym i uroczystym wyglądzie. Pokój ten nie miał okien, więc mógł służyć do użytku tylko wieczorami.

Pokój od frontu położony, kolosalny, wydawał się nam dziwnie wspaniały, ale otwierano go tylko w niedzielę wieczorem, lub w rzadkich chwilach, gdy byli goście. Niedzielne wieczorne zebrania rodzinne w salonie stanowiły jedyną pociechę w tym dniu, który dla nas, dzieci, nie przedstawiał się ponętnie, głównie z tego powodu, że ubierano nas w świąteczne ubrania i że musieliśmy obchodzić się z niemi ostrożnie. Pamiętam doskonale wszystkie ozdoby tej bawialni, między innemi gazowy żyrandol, przystrojony mnóstwem kryształowych wisiorków. Kryształy te zachwycały mnie swoją wspaniałością. Pewnego razu jeden taki wisiorek oderwał się i spadł na ziemię, a ja pochwyciłem go z pośpiechem i unio-

słem do kryjówki. Dużo chwil ukradkowej rozkoszy, dało mi oglądanie tego skarbu, ale rozkosz zatruwała obawa, że mój czyn się wykryje i że zostanę oskarżony o kradzież.

W bawialni stała szwajcarska grupa, wyżłobiona z drzewa, przedstawiająca bardzo dużego strzelca na niesłychanie małym pagórku, i stado dzikich kóz, nieproporcjonalnie małych, stosunkowo do wzrostu strzelca, a za wielkich do rozmiarów góry, po której grzbiecie biegły. Grupa ta zachwycała nas wszystkich, ale srogi niepokój budził w naszych sercach los jednego koźlątka, ażeby strzelec nie dogonił go i nie zabił!

Był także w bawialni rosyjski „*mużyk*“, powożący złoconemi saniami na głazie malachitowym. Ktoś mówił — co usłyszałem — że malachit jest bardzo cenny. Nabrałem wtedy przeświadczenia, że to coś również kosztownego jak djamenty. „*Mużyk*“ wydawał mi się arcydziełem i dopiero doszedszy do średniego wieku spostrzegłem, że to było mniemanie mylne.

Od czasu do czasu prowadzono nas, dzieci do dziadka, do domu wielkiego, jak na owe czasy w Nowym Yorku, na rogu Czternastej ulicy i Broadway, naprost Union-Square. Ogromna sień sięgała do samego dachu; posadzka zimna z tafelek czarnego i białego marmuru, naokoło ścian schody, wiodące na piętro. Zachwycała nas i ta marmurowa posadzka i te schody. Zdaje mi się, że co do drugiego punktu zachwyt był uzasadniony, ale co do posadzki, to nie jestem równie pewny.

Lato spędzaliśmy zawsze na wsi — coraz to

w innym miejscu. My, dzieci, przepadaliśmy za wsią. Nie lubiliśmy miasta. Zaledwie pojawiła się wiosna, spieszyło nam się szalenie na wieś, a smutek nas ogarniał, gdy późną jesienią wracaliśmy całym domem do miasta.

Na wsi mieliśmy, naturalnie, mnóstwo rozmaitych zwierząt ulubieńców — koty, psy, króliki i kucyka Shetlandskiego, kasztanka, który nazywał się *Jenerał Grant*. Kiedy moja młodsza siostra pierwszy raz usłyszała o istnieniu Jenerała Granta, zdziwiła się mocno, że nazywa się on tak jak nasz kucyk. (W trzydzieści lat później, moje dzieci także miały swojego *Jenerała Granta*).

Na wsi biegaliśmy często boso, a cały dzień upływał nam na nieustannych, rozkosznych rozrywkach: na przyglądaniu się sianokosom i żniwu, na zrywaniu jabłek, łowieniu żab z powodzeniem, na zbieraniu orzechów włoskich i z drzewa „hickory“ [1]), które sprzedawaliśmy następnie cierpliwym rodzicom; na budowaniu „wigwamów“ w lesie, a niekiedy na bawieniu się w Indjan, z tak daleko posuniętą dokładnością, że malowaliśmy sobie twarze i ręce (niekiedy nawet ubrania) sokiem z owoców. Dzień „*Dziękczynny*“ [2]) lubiliśmy bardzo, ale w każdym razie mniej, niż święto Bożego Narodzenia. Boże Narodzenie było epoką istnego szału radości. Wieczorem—zawiesza-

---

[1]) Drzewo niesłychanie twarde, używane na wyrób rozmaitych narzędzi.

[2]) Święto ustanowione po utworzeniu Stanów Zjednoczonych na podziękowanie Bogu za dobrodziejstwa, doznane od Niego.

liśmy w kominkach pończochy (pożyczone na ten użytek od osób dorosłych, przyczym wybierało się jak najdłuższe)—a jeszcze przed świtem pędziliśmy całą gromadą otwierać je na łóżkach rodziców. Podarunki większych rozmiarów, stały w bawialni, na stolikach; a drzwi bawialni otwierały się zaraz po śniadaniu. Nie sądzę, by ktokolwiek na świecie mógł mieć przyjemniejszą „gwiazdkę“ i dla moich dzieci starałem się urządzać ją tak samo.

Ojciec mój, Teodor Roosevelt, był najlepszym człowiekiem ze wszystkich, jakich znałem; siła i odwaga łączyły się w nim z wielką łagodnością, tkliwością i zupełnym brakiem samolubstwa, okrucieństwa, lenistwa, tchórzostwa i kłamstwa. Gdy byliśmy starsi, mówił nam wyraźnie, że zarówno chłopcy jak dziewczęta mają obowiązek wieść życie *czyste* i że to, co jest występkiem dla kobiety, nie może być dozwolone mężczyznie. Z wielką miłością, cierpliwie, z nadzwyczajną wyrozumiałością i względnością, łączył on wymaganie karności i posłuszeństwa. Raz jeden tylko wymierzył mi osobiście karę, a jednak jego jednego tylko na świecie obawiałem się naprawdę, ale że był bardzo sprawiedliwy, kochaliśmy go do uwielbienia.

Zazwyczaj czekaliśmy w bibljotece, dopóki nie zgrzytnął jego klucz w zamku drzwi wchodowych, a na to hasło zbiegaliśmy go powitać, a potym otaczaliśmy go w pokoju, gdy się rozbierał, śledząc z zajęciem wszystko, co wyjmował z kieszeni, jakby to było coś nowego. Każde z nas zachowało w pamięci różne drobiazgi,

które nam wydawały się wówczas wielkiej ceny. Breloki, które zwykle nosił i składał do małego pudełka na gotowalnianym stole, nazywaliśmy „skarbami". Ta nazwa, wraz z niektóremi brelokami, przeszła do następnego pokolenia. Moje dzieci także, gdy były małe, zbierały się w moim pokoju, kiedy się rozbierałem, a składanie „skarbów" do „grającej" skrzyneczki, ofiarowanej mi przez pewnego marynarza, wywoływało znowu zachwyt radosny. Na niektóre uroczystości każde z dzieci otrzymywało jeden brelok „na własność". Ale moje dzieci miały jeszcze jedną rozkosz, której ja w dzieciństwie nie zaznałem. Gdym powracał z konnej jazdy, to dziecko, które zdążyło przynieść „chłopca" do butów, miało prawo wdziać zdjęte buty i człapać w nich po pokoju, udając bajecznego „Jacka" w siedmiomilowych butach...

Kara, o której wspomniałem, a którą wymierzył mi ojciec, spotkała mnie z następującego powodu. Miałem wtedy cztery lata i ukąsiłem starszą siostrzyczkę w ramię. Nie pamiętam samej chwili karania, lecz to przypominam sobie doskonale, jak zmykałem przez podwórze, dobrze zdając sobie sprawę z popełnionej zbrodni. Z podwórza wpadłem do kuchni, dostałem kawałek ciasta od kucharki i wlazłem pod stół kuchenny. Ale w chwilę po mnie wszedł z podwórza ojciec i spytał, gdzie jestem? Kucharka, tkliwego serca Irlandka, żywiła wielką wzgardę dla „skarżycieli", ale choć nie powiedziała nic, znalazła sposób pogodzenia swych zasad i obowiązku: spojrzała na stół... Ojciec natychmiast wszedł na czworakach pod stół i sięgnął po mnie. Rzu-

cilem w niego ciastem, a ponieważ miałem nad nim tę wyższość, że mogłem stać pod stołem, wybiegłem jak strzała na schody, lecz zostałem schwytany w połowie drogi. Kara, jaką mi wymierzono, zastosowana była do ogromu popełnionej zbrodni i — nie wątpię o tym — bardzo dobry wpływ na mnie wywarła.

Nie znałem nikogo, ktoby więcej, niż mój ojciec, umiał cieszyć się życiem i ktoby gorliwiej od niego wypełniał swoje obowiązki — nikogo, ktoby doskonalej umiał godzić jedno z drugim: radość życia, z wypełnieniem obowiązku. Tak ojciec, jak matka byli niezmiernie gościnni, a gościnność w owym czasie spotykało się częściej w domach Południa niż Północy. Szczególniej kiedy rodzice, już w późniejszym wieku, przeprowadzili się z miasta w okolice Central-Parku prowadzili dom otwarty i niezmiernie miły.

Ojciec mój pracował ciężko w swoim zawodzie. Umarł mając lat czterdzieści sześć, zawcześnie, zatym, na usunięcie się od interesów. Interesował się każdym ruchem, mającym na celu społeczne reformy i sam był bardzo czynny na polu dobroczynnej działalności.

Ojciec był wysokiego wzrostu, silny człowiek o lwim obliczu, a sercu pełnym tkliwości dla każdego, kto potrzebował pomocy lub poparcia, ale nieubłagany dla pyszałków i gnębicieli. Lubił bardzo jeździć konno po gościńcach i po polach i zamiłowany był w powożeniu. Zazwyczaj powoził czwórką, lub końmi zaprzężonemi „w szydło“, to jest w parę koni i trzeciego w pojedynkę w lejcu. Zdaje mi się, że takiego zaprzęgu nie wi-

duje się już teraz. Ekwipaż, którym powoził, nazywaliśmy zawsze „faetonem". Mam go do tej pory. Konie ojca miały zawsze długie ogony i ubrane były w lekkie, amerykańskie szory, więc zaprząg różnił się zupełnie od tego, co teraz widzimy.

Ojciec celował w umiejętności zużytkowania każdej wolnej chwili, nawet półgodzinki lub trzech kwadransów — bądź to na jakieś zajęcie, bądź na rozrywkę. Najczęściej urządzał przejażdżki czterema końmi w letnie popołudnie, gdy wracał z Nowego Yorku po skończonych zajęciach. Matka z jednym lub dwojgiem dzieci wychodziła na jego spotkanie na stację. Widzę jeszcze ojca, jak wysiada z wagonu w płóciennym płaszczu od kurzu, wskakuje do faetonu i rusza natychmiast szybkim kłusem, a płaszcz wydyma się na nim od wiatru jak balon. Łatwo się domyślić, że powożenie czwórką nie było wcale dla parady, powoził — bo mu to sprawiało przyjemność. Zalecał zawsze ostrożność swoim synom, lecz w tym razie nie dawał im z siebie przykładu, gdyż będąc doskonałym woźnicą lubił igrać z niebezpieczeństwem. Ale zazwyczaj udawało mu się ujść cało. Trafiało się jednak czasami inaczej, lecz zawsze potrafił wyplątać się z niebezpieczeństwa jeszcze sprawniej, niż się na nie naraził. Pewnego razu, gdy nas wiózł przez ulicę w Nowym Yorku późnym wieczorem, konie lejcowe nagle stanęły. Ojciec zaciął je batem i poczuliśmy niewyraźnie, że skoczyły przez jakąś przeszkodę. Okazało się potym, że ulica była zagrodzona deskami, opartemi na beczkach, lecz nie oświetlona. Lejcowe konie przeskoczyły przez deskę i mieliśmy dużo roboty,

zanim zdołaliśmy usunąć deskę z beczek i pojechać dalej.

Podczas uroczystości „Dziękczynnego Dnia", lub w dnie świąt Bożego Narodzenia, ojciec lubił wozić matkę i znajomych do parku na śniadanie. Ale powracał zawsze w porę, ażeby zdążyć do *Schronienia Chłopców*, lub do wieczornej szkoły dla małych Włochów, utrzymywanej przez miss Sattery. Nas, dzieci bardzo wcześnie zabierał z sobą do pomocy. Ojciec przyjaźnił się z Karolem Loringem Brace i zajmował się żywo *Przytułkami dla chłopców*, wieczornemi szkołami, zbieraniem dzieci po ulicach i rozmieszczaniem ich po fermach na Zachodzie.

Kiedy zostałem Prezydentem, gubernator Alaski—Brady, był właśnie jednym z tych chłopców, których mój ojciec i Karol-Brace wysyłali na Zachód. Bardzo też żywo zajmował się ojciec towarzystwami, mającemi za cel obronę dzieci przed okrutnym obejściem, i towarzystwami, które walczą z okrucieństwem względem zwierząt. W niedziele prowadził sam wykłady w szkółce. Idąc tam, miał zwyczaj zostawiać nas po drodze, w naszych niedzielnych szkółkach przy prezbiterjanskim kościele na Madison-Square. Naśladując przykład, jaki nam dawał, prowadziłem sam przez trzy lata niedzielną szkółkę, zanim wstąpiłem do kolegjum, i przez cztery lata po wstąpieniu. Nie zdaje mi się jednak, by z wielką korzyścią. Ale gdym kiedyś wysiadał w Nowym Yorku z samochodu, palacz zaczął ze mną rozmowę i powiedział, że był kiedyś moim uczniem w takiej nie-

dzielnej szkółce. Pamiętałem go dobrze i ucieszyłem się, że wyrósł na takiego zucha.

Moja matka, Marta Bulloch, pochodziła z Południa. Pełna była wdzięku i słodyczy, piękna, miła w towarzystwie, i kochana przez wszystkich. Jej matka, a moja babka, najmilsza w świecie staruszka, mieszkała z nami. Była ona niesłychanie pobłażliwa dla nas, dzieci, niezdolna do surowości nawet wtedy, gdy zasłużyliśmy na naganę. Pod koniec wojny domowej, lubo bardzo jeszcze mały chłopiec, rozumiałem doskonale, że w rodzinie naszej niema jednomyślności zdań co do toczącej się walki, bo ojciec był stanowczym stronnikiem Lincolna i republikaninem. Pewnego dnia, uważając się za skrzywdzonego przez surowość matczyną, postanowiłem zemścić się za to i kiedy zeszliśmy się wieczorem odmawiać modlitwy z matką, wygłosiłem gorącą prośbę do Boga o zwycięstwo wojsk Stanów Północnych.

Matka była nietylko najlepszą z matek, ale miała usposobienie bardzo wesołe; mój występ tak ją rozśmieszył, że nie mogła się zdobyć na wymierzenie mi kary. Ostrzegła mnie tylko, bym nie czynił tego więcej, grożąc że w takim razie ojciec się dowie—a ojciec był zawsze wykonawcą najsurowszych wyroków.

Ranne modlitwy odmawialiśmy z ojcem. Staliśmy zwykle przy schodach na dole, a gdy się ojciec ukazał, witaliśmy go chórem. Troje najmłodszych siadało z nim na sofie i ojciec zaczynał odmawiać razem modlitwy. Miejsce między ojcem a poręczą sofy, było najwięcej ce-

nione i nazywało się „kącikiem“. Dziecko, któremu udało się je zdobyć, uważaliśmy za podwójnie szczęśliwe, pod względem wygody i honorowego niejako wyróżnienia. Dwoje dzieci, siedzących na obszerniejszej przestrzeni po drugiej stronie ojca, miało stanowisko podobne do podróżnych na dachu omnibusa...

Siostra mojej matki, ciotka Anna, mieszkała z nami. Kochała nas, dzieci, niemniej od matki, i my w życiu kochaliśmy ją bardzo. Gdy byliśmy mali, uczyła nas początków. I ona i matka, opowiadały nam o życiu na plantacjach w Gieorgji: o polowaniach na lisy, na jelenie i na dzikie koty; o koniach powozowych z długiemi ogonami, które się zwały Boone i Crockett; o swoich wierzchowcach, między któremi był jeden, nazwany Buena Vista (objaw patrjotycznego zapału podczas wojny z Meksykiem), i o dawnych zwyczajach, panujących w domkach murzynów. Ciotka umiała mnóstwo zajmujących legiend, których słuchaliśmy z zachwytem. Jeden z moich stryjów, Robert Roosevelt, pospisywał za jej dyktandem te opowieści i posłał do Harper 'S Magazine, lecz nie zrobiły wówczas wrażenia. Było to dawno, zanim jeszcze utalentowany autor unieśmiertelnił ten rodzaj.

Dwaj bracia mojej matki — James Bulloch i Irwin Bulloch — przybyli do nas w odwiedziny wkrótce po ukończeniu wojny. Obaj przyjechali pod innemi nazwiskami, bo, jako należący do armii Skonfederowanej, nie mieli prawa do amnestji. „Wujek Jimmy“, dawny kapitan marynarki, człowiek mężny, prawy i pełen prostoty, niezdolny

był do zrobienia „karjery“ według światowych pojęć. Był admirałem w marynarce Skonfederowanych i on to zbudował słynny statek wojenny *Alabama*. Wuj Irwin Bulloch był miczmanem na pokładzie *Alabamy* i wyrzucił ostatni pocisk armatni w walce ze statkiem *Kearsarge*. Obaj wujowie zamieszkali po wojnie w Liverpoolu.

Wuj Jimmy był pobłażliwy i sprawiedliwy w sądach o armji Związkowych; roztrząsał wszystkie przejścia wojenne spokojnie i bezstronnie. W angielskich stosunkach przeszedł do obozu Torysów i to do najbardziej zachowawczego odcienia. Był zdolny zachwycać się swemi amerykańskiemi przeciwnikami, lecz nie mógł zdobyć się na pobłażliwość względem Gladstona.

Jeden, jedyny raz, zachwiałem jego dobre o mnie pojęcie, gdy nieśmiało zwróciłem mu uwagę, że rażące bajki o Gladstonie nie mogą być prawdą... Wuj Jimmy był jednak nawskroś dobrym człowiekiem — więc kiedy nieraz później dziwiło mnie, że dobrzy i uczciwi ludzie mogą wierzyć różnym uwłaczającym zarzutom, jakie mi stawiano, pocieszałem się wspomnieniem, że tak samo wuj Jimmy wierzył głęboko, iż Gladstone w domowym i publicznym życiu był wyjątkowym nikczemnikiem.

W dzieciństwie byłem wątły i chorowity. Cierpiałem mocno na astmę i często wywożono mnie do innych miejscowości, szukając takiej, gdzie mógłbym lżej oddychać. Pamiętam wyraźnie, jak ojciec nosił mnie na ręku nocą, gdy byłem maleńki i jak się dusiłem z braku oddechu, w łóżeczku, a oboje rodzice usiłowali mi przy-

nieść jakąkolwiek ulgę. Do szkoły uczęszczałem niewiele. W szkołach publicznych, do jakich chodziły moje dzieci, nie byłem nigdy. Przez parę miesięcy tylko uczyłem się w szkole profesora Mac-Mullena, na Dwudziestej ulicy, najbliższej naszego domu, ale potym przeważnie miałem domowych nauczycieli. Zaczęła moją naukę ciotka, jak wspomniałem. Mieliśmy też w domu Francuzkę nauczycielkę, kochaną i cenioną „mam'selle".

Pierwszy raz odbyłem podróż do Europy, mając lat dziesięć. Obchodziłem urodziny w Kolonji i pamiętam, że matka, chcąc uczcić tę uroczystość, przywdziała strojną suknię na obiad urodzinowy. Zdaje mi się, że nie odniosłem żadnej korzyści z tej pierwszej wyprawy za granicę. W głębi duszy znienawidziłem tę podróż, tak samo jak mój młodszy braciszek i siostrzyczka. Jedyne przyjemne chwile mieliśmy podczas wycieczek w góry lub przy zwiedzaniu zwalisk, kiedy można było usunąć się z oczu starszych. Mieliśmy jedno tylko pragnienie: wrócić do Ameryki, a na Europę patrzyliśmy z ciasnym szowinizmem i niemądrą wzgardą. Ale kiedy w cztery lata później pojechałem poraz drugi do Europy, byłem już w tym wieku, że mogłem cieszyć się podróżą i dużo z niej skorzystałem.

Jeszcze będąc małym chłopcem zacząłem się zajmować przyrodą. Pamętam tę chwilę, gdy ocknęła się we mnie żyłka zoologa. Idąc przez Bradway mijałem targ, na który nieraz posyłano nas przed śniadaniem po poziomki — i zobaczyłem tam nieżywą fokę, rozłożoną na drewnianym stole. Ta foka obudziła we mnie cały rój myśli,

fantastycznych i romantycznych. Dopytywałem się, gdzie ją zabito i dowiedziałem sią, że w porcie. Ponieważ znałem już powieści Mayne Reida i inne w tym rodzaju, zdawało mi się, że ta foka jest uosobieniem wszystkich przygód, opisywanych w tych książkach. Przez cały czas, dopóki foka leżała na targu, chodziłem tam codziennie. Mierzyłem ją, a że nie miałem zwijanej miary, musiałem mierzyć jej objętość kieszonkową miarą drewnianą, co nie było łatwym zadaniem. Spisałem najstaranniej wyniki mego bezużytecznego mierzenia i według własnego pomysłu zrobiłem opis tej foki. Opis ten i inne, w tym samym rodzaju przyrodnicze studja, spisywałem bardzo uproszczoną ortografją i w sposób zupełnie nie naukowy. Miałem też silne pożądanie, by w jakibądź sposób dostać na własność fokę, lecz pragnienia moje nie wyszły z pierwotnej formy mglistych mrzonek. Zdobyłem jednak czaszkę foki i wtedy z dwoma kuzynami postanowiliśmy założyć „Muzeum przyrodnicze Roosevelta".

Zbiory te z początku mieściły się w moim pokoju, dopóki buntownicze protesty pokojówek nie uzyskały wyższego potwierdzenia, skutkiem czego cała kolekcja przeniesiona została do szafy, stojącej na piętrze w sieni od tyłu. Była to najzwyklejsza kolekcja małego chłopca, bez żadnego ładu i wartości, chyba tylko dla niego samego. Ale rodzice zachęcali mnie gorąco do tego zajęcia, jak do wszystkiego, co mogło mi dać zdrową przyjemność i wpłynąć na mój rozwój umysłowy.

Zdarzenie z foką i czytanie powieści Mayne

Reida, razem wzięte, wzmogły jeszcze mój wrodzony pociąg do przyrody. Z utworów Mayne Reida rozumiałem tylko opisy przygód i przyrody — i tylko one mnie zachwycały. Ale czytania moje nie ograniczały się wyłącznie do utworów treści przyrodniczej. Rodzice nie wywierali na mnie nacisku, bo mieli za wiele zdrowego rozsądku, by przymuszać do czytania tego, co mnie nie zajmowało, chyba że odnosiło się to do przedmiotów, mających związek z nauką. Dawali mi sposobność czytania książek pożytecznych, lecz jeżeli mi się nie podobały, dostarczali mi inne książki, zastosowane do moich upodobań. Ale były też książki zupełnie wzbronione. Naprzykład nie pozwalano mi czytywać romansów. Udało mi się jednak dostać pokryjomu kilka powieści i przeczytać je, lecz uważałem, że doznana rozkosz nie wynagradzała poczucia popełnionej winy. Zabronioną też była powieść Ouidy: „Pod dwoma sztandarami". Przeczytałem ją mimo to z gwałtownym pragnieniem znalezienia czegoś zakazanego, lecz, prawdę powiedziawszy, wszystkie ustępy, które mogą mieć wpływ szkodliwy na dorosłych, dla mnie pozostały niezrozumiałe. Zajmowały mnie tylko wypadki i przygody bohaterów powieści.

Uważam, że książki, pisane specjalnie dla dzieci, są niezbędne, choć sądzę, że dziecko może też zająć książka, przeznaczona dla dorosłych; ale moim zdaniem, książka dziecinna wtedy tylko jest dobra, jeżeli i dorosły człowiek może ją przeczytać z zajęciem. Jest taka jedna książka, której jeszcze nie było za moich lat dziecię-

cych: Laury Richards „Dziecinne piosenki". Moje dzieci lubiły je serdecznie, moja żona i ja prawie tak samo. Ten cudowny lekkomyślny „*Człowiek z Nowego Meksyku*, który zgubił w śniegu swoją babkę", te przygody „*Sowy, węgorza i rondla*" lub owego kangura z nadzwyczajnym rodowodem, gdyż „*ojcem jego był wieloryb z piórkiem w ogonie, przemieszkujący w morzu Grenlandzkim, a matką rekin, przebywający w cienistych głębiach morza Karaibskiego*".

Za czasów dzieciństwa miałem pismo „*Our Young Folks*", które wtedy uważałem za najdoskonalsze na świecie — a to przekonanie zachowałem dotąd prawie bez zmiany, bo, istotnie, nie wiem, czy jest lepsze wydawnictwo dla młodzieży czy dzieci. Żona moja i ja przechowujemy dotąd oprawne roczniki tego pisma, które nas zachwycało w dzieciństwie.

Próbowałem kiedyś przeczytać powtórnie powieści Mayne Reida, które tak lubiłem, będąc małym chłopcem, lecz, niestety, przekonałem się, że to dla mnie niemożliwe do czytania. A roczniki *Our Yonng Folks* przeglądałem z równą przyjemnością, jak niegdyś. Powieści w nich drukowane pierwszorzędnej wartości, zajmujące a przytym rozwijające w dzieciach męskość, uczciwość i przyzwoitość. Pomimo obawy że spotka mnie zarzut zniewieściałości, wyznaję, iż bardzo lubiłem powieści dla dziewcząt. Ale i to zamiłowanie łagodniejszych stron życia nie zmniejszało we mnie zapału do innych, awanturniczych powieści. Każde dziecko, jak sądzę, ma wyraźne upodobanie do jednych książek, a odpycha inne.

Ja, naprzykład, nie lubiłem nigdy pierwszej części *Robinsona Krusoe*, i choć, bez zaprzeczenia, posiada ona największą wartość — nie lubię jej i teraz,—gdy druga część, opisująca przygody Robinsona Krusoe z wilkami w Pirenejach i na Dalekim Wschodzie, zachwycała mnie poprostu. Od pierwszej części zajmowały mnie jego przygody, dopóki nie dostał się na bezludną wyspę—bitwa i wzmianka o bajecznych zwierzętach, kąpiących się w morzu. Ale ponieważ byłem już trochę zoologiem, nie mogłem się pogodzić z *Robinsonem Szwajcarskim*, dla tego nieprawdopodobnego nagromadzenia zwierząt, jakie ta szanowna rodzina spotkała na jednym miejscu, po rozbiciu statku. W poezji przemawiały do mnie najżywiej bohaterskie tematy, zwłaszcza Longfellowa „*Saga o królu Olafie*." Ona to zapoznała mnie z literaturą skandynawską, którą zawsze zajmuję się i lubię.

Między pierwszemi książkami, jakie dostałem, była jedna rozpaczliwie nie naukowa: dzieło Mayne Reida o zwierzętach ssących, ozdobiona rysunkami bez wartości artystycznej, lecz niemniej przemawiającemi do wyobraźni. Ojciec, zauważywszy moje zainteresowanie, dał mi niewielkie dziełko J. G. Wooda, znakomitego angielskiego autora popularnych prac z dziedziny przyrody, a potym drugą, „*Domy, zbudowane bez pomocy rąk*". Obie te książki uważałem za skarb najcenniejszy, studjowałem je pilnie i przeszły one z czasem w posiadanie moich dzieci.

Jedna z tych książek ma pewien związek z moim niepowodzeniem na polu pedagogji.

Stosując się do nowoczesnych poglądów, że naukę trzeba uczynić przedewszystkim zajmującą, a nigdy nie przedstawiać jej jako obowiązkową pracę, postanowiłem najmłodszego synka nauczyć parę liter z tytułowej karty. Na tej karcie powtarzała się wielokrotnie litera *H* wybrałem ją więc na początek i starałem się wpoić w malca przekonanie, że to nie lekcja, lecz zabawa.

Nie wiem, czy wziąłem się do tego w sposób wadliwy, czy też sama teorja jest wadliwa—dość że nie mogłem wtłoczyć do jego mózgu tej litery, i długi jeszcze czas po nauczeniu się według dawnego systemu całego alfabetu, nie był w stanie zapamiętać tego jednego nieszczęśliwego *H*.

W dziecinnych latach nie wiedziałem, jak niekorzystne mam warunki na badacza przyrody, skutkiem bardzo krótkiego wzroku. Mając rok trzynasty zacząłem się uczyć wypychania ptaków i zwierząt od niejakiego pana Bella, starego człowieka, wysokiego wzrostu, z twarzą wygoloną, siwemi włosami, trzymającego się prosto, jak Indjanin. Miał on niewielki, staromodny sklepik, w którym wykonywał cenne dla nauki roboty. Te „studja z powołania“, jakby je nazwali nowoczesni pedagogowie, podsyciły mój zapał i skierowały go do zbierania okazów, do wypychania ich i zabezpieczania. Wówczas też dostałem pierwszą strzelbę i zdziwiło mnie niezmiernie, że moi towarzysze widzą przedmioty, niewidzialne dla mnie. Pewnego razu przeczytali oni ogłoszenie, wydrukowane wielkiemi literami na oddalonym szyldzie i wtedy dopiero zrozumiałem, że jest we mnie coś, co mi do tego przeszkadza, bo

nietylko nie mogłem przeczytać napisu, lecz nie widziałem zgoła liter. Powiedziałem o tym ojcu i wkrótce dostałem pierwsze okulary, które otworzyły przedemną zupełnie nowe widnokręgi. Nie przypuszczałem nawet przedtym, jak piękny jest świat. Byłem zawsze trochę ociężałym i niezgrabnym chłopakiem, a choć w znacznej części wypływało to z mego ogólnego usposobienia, dużo jednak przyczyniało się i to, że nie mogłem widzieć, a nie wiedziałem, że nie widzę. Wspomnienie to budzi we mnie zawsze głęboką sympatję dla tych, którzy starają się, tak w szkołach jak gdzieindziej, usuwać i leczyć fizyczne wady u dzieci, oskarżonych niesłusznie o upór, brak ambicji lub zupełną tępość.

Tego samego lata dostałem nowe dzieło o zwierzętach i ptakach i rozpocząłem porządne studja w tej dziedzinie. Niewiele mogłem studjować na otwartym powietrzu, gdyż okulary dostałem dopiero późną jesienią, na krótko przed powtórną wycieczką z całą rodziną do Europy. Mieszkaliśmy wtedy w Dobbs Ferry nad Hudsonem, miałem strzelbę francuskiego wyrobu, nabijaną od tyłu dubeltówkę. Była to doskonała strzelba dla chłopca niezgrabnego i często roztargnionego: otwierała się nie za pomocą sprężyny, a w razie zardzewienia, można było otworzyć zamek czy oćby kamykiem, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Tak samo usuwało się nabój, gdy uwiązł, lecz nie zawsze ze szczęśliwym skutkiem jeżeli był niewystrzelony, bo parę razy wytatuowałem się niespalonemi resztkami prochu.

W czternastym roku życia, podczas zimy

z 1872 na 73, odwiedziłem po raz drugi Europę i ta wycieczka stała się bardzo pożytecznym czynnikiem w mojej edukacji. Pojechaliśmy do Egiptu, odbyliśmy podróż po Nilu, zwiedziliśmy Ziemię Świętą, część Syrji, Grecję i Konstantynopol; następnie my — dzieci — spędziliśmy całe lato wśród niemieckiej rodziny w Dreznie. Pierwszą kolekcję przyrodniczą zacząłem robić w Egipcie, podczas tej podróży. Miałem już wówczas pojęcie o życiu ptaków w Ameryce, choć bardzo powierzchowne ze stanowiska naukowego. O ptakach w Egipcie nie wiedziałem nic, lecz w Kairze znalazłem dziełko jakiegoś angielskiego duchownego—którego nazwiska zapomniałem—z opisem wycieczki po Nilu, a dodatek na końcu tomu, mieścił spis różnych gatunków ptaków. Żałuję, żem zapomniał nazwiska autora, bo dużo tej książce zawdzięczam. Gdyby nie ona, tworzyłbym zbiory po omacku, a w niej dopiero znalazłem odpowiednie wskazówki. Pierwsze początki łaciny wyniosłem, ucząc się naukowych nazw ptaków i zwierząt, które zbierałem i układałem według tej książki.

Ptaki upolowane nad Nilem i w Palestynie stanowiły pospolitą bardzo kolekcję. Oddałem je po wielu latach, razem z upolowanemi później okazami, Instytutowi Smithsona w Waszyngtonie, a część, zdaje mi się, jest w Amerykańskim Muzeum Przyrodniczym w Nowym Yorku. Mówiono mi, że zwierzęta z mojej kolekcji znajdują się w obu tych miejscach i w innych jeszcze zbiorach publicznych. Wątpię, ażeby dotąd miały na sobie oryginalne moje kartki, które dyrektorowie

„Muzeum Rooseveltów“ — to jest moi dwaj krewni i ja—z wielką dumą wydrukowaliśmy czerwoną farbą zawczasu, jeszcze przed moją wyprawą do Egiptu.

Gromadzenie tych zbiorów dodało najwięcej uroku mojej podróży po Nilu. Byłem już w tym wieku, że zajmowały mnie zwaliska i świątynie, i widoki pustyni; że odczuwałem nastrój poetyczny krajobrazu, lecz byłoby mi to spowszedniało, gdybym nie miał poważnego zajęcia ze zbieraniem i preparowaniem okazów. Trzeba wyznać, że moja rodzina miała z tego powodu nieprzyjemne chwile, jak naprzyklad wtedy, gdy pokojówka w najlepszych zamiarach wyjęła z moich narzędzi do preparowania starą szczoteczkę od zębów, której używałem do wcierania arszenikowego mydła w zdjęte skórki, dla zabezpieczenia ich od rozkładu. Pokojówka umyła szczoteczkę i położyła razem z przyborami do mycia, przeznaczonemi do mego osobistego użytku.

Sądzę, że wszyscy podrastający chłopcy są nieznośni, lecz chłopiec, zamiłowany w przyrodniczych studjach, jest najnieznośniejszy ze wszystkich. Nadomiar utrapień, jakie sprawiałem, przyłączyło się i to, że podczas pobytu w Egipcie zacząłem gwałtownie rosnąć. Ponieważ nad Nilem trudno o krawca, po przyjeździe do Kairu potrzebowałem już na gwałt nowego garnituru. Lecz w szczątkach mojej garderoby był jeden garnitur zbyt porządny, ażeby go wyrzucić: pozostał więc „na zmianę“, lubo nogi moje i ręce były do połowy obnażone, gdy go przywdziewałem.

Po przyjeździe do Drezna, zostaliśmy oddani na całe lato do domu Herr Minckwitza, urzędnika, którego godności już nie pamiętam. Rodzice spodziewali się, że dzięki temu urządzeniu nauczymy się trochę języka niemieckiego i poznamy niemiecką literaturę Nie zapomnę nigdy niewyczerpanej cierpliwości obu panien. Ojciec, matka i nieśmiały, chudy kuzyn, student, który od nich najmował pokój, byli wszyscy równie dobrzy.

Na każdej wyprawie w okolice miasta zbierałem z wielką przemyślnością rozmaite okazy i ożywiałem dom żywemi jeżami oraz innemi zwierzątkami i płazami, które uporczywie wymykały się z przymkniętych szuflad biurka. Dwaj synowie państwa Minckwitzów, wspaniali „bursze“ z lipskiego uniwersytetu, należeli do studenckich korporacji i, skutkiem tego, byli mocno pokiereszowani. Jeden, zawołany rębacz, miał przydomek *Der rothe Herzog* (Czerwony Książę), a drugiego przezwano *Herr Nasekorn* (pan Nosorożec), gdyż w pojedynku odcięto mu sam czubek nosa, który potym dopiero przyszył doktór. Nauczyłem się tam dobrze po niemiecku i rozmiłowałem się w *Nibelungenlied*. Ale niemiecka proza nigdy mnie nie zachwycała tak, jak francuska; ta to niemiecka poezja czarowała narówni z angielską. Lecz, co najważniejsze, podczas tego pobytu powziąłem o Niemcach wyobrażenie, które mi pozostało na zawsze. Od owych czasów do dzisiejszej chwili, nie mogę uważać Niemców za obcych. Ich serdeczność, ich *Gemüthlichkeit* (na którą niema określenia w języku angielskim), ich

wytrwałość w pracy, poczucie obowiązku, zamiłowanie w nauce i literaturze; ich duma patryjotyczna z utworzenia nowych Niemiec; ich dobroć i serdeczne zajęcie się trojgiem dzieci obcej narodowości — wszystkie te cechy niemieckiego charakteru i niemieckiego rodzinnego życia zrobiły na mnie silne wrażenie, z którego nie zdawałem sobie wówczas sprawy, lecz które przechowało się w całej sile przez lat przeszło czterdzieści.

Po powrocie do Ameryki, zacząłem się uczyć poważnie pod kierunkiem pana Artura Cutlera, który później założył szkołę w Nowym Yorku. Przygotowywałem się do Harvardu, a nie mogłem iść do zwyczajnych szkół, gdyż w niektórych przedmiotach umiałem mniej od moich rówieśników, w innych zaś wyprzedzałem ich znacznie. W naukach przyrodniczych, w historji, geografji, w niemieckim i francuskim języku, byłem mocny, lecz za to w opłakany sposób słaby w łacinie, w greckim i w matematyce.

Mój dziadek urządził był sobie letnią rezydencje w Oyster Bay, a potym ojciec spędzał tam lato z całą rodziną. Dzięki temu, jednocześnie z przygotowywaniem się do Harwardu, mogłem prowadzić moje studja przyrodnicze. Pracowałem z większą gorliwością, niż talentem i powodzeniem, i niewiele się przyłożyłem do rozwoju wiedzy. Ale jednak i teraz niektóre ornitologiczne wydawnictwa, skromniejszego zakroju, przytaczają pewne dane—naprzykład o rybitwie, lub o jednej odmianie wróbla—zebrane i dostar-

czone przez Teodora Roosevelta juniora—z Oyster-Bay, na wybrzeżu Long Island.

Na jesieni 1876 r. wstąpiłem do Harvardu, a w 1880 ukończyłem studja uniwersyteckie. Lubiłem szczerze Harvard i nie wątpię, że odniosłem z pobytu tam pewną korzyść, ale w ogólnym znaczeniu, bo z tego, czego tam się uczyłem, bardzo niewiele przydało mi się w późniejszym życiu. Ale tak samo jak moi synowie, którzy dużo skorzystali z przyjaznych stosunków z profesorami w szkołach i w uniwersytecie, i ja odniosłem dużą korzyść z przyjaźni mego nauczyciela pana Cutlera, a w Harvardzie niemało zawdzięczam profesorowi języka angielskiego, panu A. S. Hill. Z własnej winy, prawie że nie słuchałem wykładów Eliota i kilku innych profesorów. Powinienem też był więcej skorzystać, niż skorzystałem, spisując notatki i obrabiając zadania, lecz było to naturalnym wynikiem tego, że wiele wykładanych przedmiotów nie budziło we mnie zajęcia.

Przed opuszczeniem Harvardu napisałem już dwa rozdziały dzieła, wydanego później, o „*Wojnie Morskiej w 1812 r.*“. Te rozdziały napisane były tak oschle, że w porównaniu z niemi, czytanie słownika mogło się wydać zajmującym. Były one jednak, mimo marnego obrobienia, dowodem gorliwości i szczerego zainteresowania się przedmiotem.

Gdyby jakiś starszy i więcej wykształcony człowiek był je poprawił, wywarłoby to było korzystny wpływ na mnie i zwróciło moją uwagę we właściwym kierunku. Lecz nie byłem wtedy

dostatecznie rozwinięty umysłowo, ażeby wzbudzić w sobie zajęcie do tematów, jakie mi zadawano: naprzykład do studjów nad charakterem Grakchów... Zdolny i pracowitszy chłopiec byłby to niezawodnie uczynił, lecz ja, osobiście, dorosłem do takich zadań dopiero o wiele później. Bitwy morskie między angielskiemi i amerykańskiemi *„morskiemi tygrysami“* były dla mnie nierównie zrozumialsze. Pracowałem nad Grakchami z musu, a więc sumienny i godzien pożałowania profesor ciągnął mnie całą siłą, pomimo że stawiałem tępy i bezmyślny opór.

W owym czasie nie myślałem nigdy o wystąpieniu na widowni politycznej, więc nie studjowałem sztuki krasomówczej ani sztuki prowadzenia dysput. Pod pewnemi względami była to szkoda — pod innemi zaś nie. Osobiście nie miałem najlżejszego pociągu do tych rozpraw, gdzie każdej ze stron naznaczona jest rola przymusowej obrony danego punktu, bez względu na to, czy obrońca wierzy w słuszność swojej sprawy, czy nie. Wiem, że w naszych obecnych stosunkach jest to niezbędne dla prawników, ale nie uznaję tego systemu tam, gdzie idzie o sprawy polityczne, społeczne i przemysłowe.

Najważniejszym zadaniem w kolegjach, jest, przedewszystkim, skierowanie młodzieży o gorących przekonaniach na drogę właściwą, a nie wyrabianie takiej młodzieży, która potrafi bronić i złej i dobrej sprawy dla własnego tylko interesu. Dzisiejszy ten sposób prowadzenia rozpraw nad takiemi zagadnieniami, jak *„Nasza polityka w kolonjach“*, *„Potrzeby marynarki“*, *Właściwe*

stanowisko sądów w sprawach konstytucyjnych", popycha właśnie na błędną drogę tych, którzy biorą w nich udział. Nie idzie im wcale o szczerość i siłę przekonań. Idzie tylko o to, by oplątać przeciwnika i wykazać mu, że jego przekonania nie zgadzają się z jego dowodzeniem.

Żałuję tedy, że nie uczyłem się w kolegjum sztuki krasomówczej, lecz cieszę się, że nie brałem udziału w tych zapasach, w których nie kładzie się nacisku na to, by mówca rozumował trafnie i sprawiedliwie, lecz by bronił wymownie i płynnie strony, której obronę mu powierzono, bez względu na to, czy sprawa jest słuszna — czy nie.

Byłem w kolegjum studentem średnim i miałem miejsce między pierwszym dziesiątkiem w najm. oddziale, ale nie jestem pewny, czy wśród ogółu wstępujących, czy też tylko wśród tych, którzy otrzymali stopień z ukończenia. Wstępując do uniwersytetu miałem największe upodobanie do praktycznych studjów przyrodniczych i pragnąłem się wykierować na uczonego przyrodnika. Ojciec, od najmłodszych lat, wpajał we mnie przekonanie, że będę musiał pracować na siebie, a ja wyobrażałem sobie, że trzeba będzie zająć się interesami. W pierwszym roku moich studjów powiedział mi ojciec, że jeżeli chcę się poświęcić nauce, nie będzie się temu opierał, ale tłumaczył mi, że muszę dokładnie wybadać siebie, czy naprawdę mam tak wielkie zamiłowanie do naukowej pracy, bo gdybym obrał tę drogę, muszę ją uważać za jedyne moje powołanie. Mówił, że on sam zebrał tyle, iż może mi ułatwić

poświęcenie się nauce, która nie przynosi materjalnych zysków, ale że, *jeżeli zamierzam wejść na tę drogę, muszę poświęcić się jej całą duszą* i nie wyobrażać sobie, że wolno mi ograniczyć się do dyletantyzmu. Dał mi przytym radę, którą zachowałem na zawsze w pamięci, a mianowicie, że jeżeli nie będę mógł zarabiać dużo, muszę wyrównać ten brak, wydając jak najmniej. Jednym słowem, starać się o utrzymanie równowagi i, jeżeli obiorę karjerę naukową, stanowczo wyrzec się myśli o wszelkich przyjemnościach, które wymagają dużych dochodów, a za to szukać kompensaty w nauce.

Po tej rozmowie z ojcem postanowiłem nieodwołalnie poświęcić się nauce. Jeżeli nie uczyniłem tego, to dla tej prostej przyczyny, że w owych czasach Harvard, tak jak inne nasze kolegja, nie dawał zupełnie sposobności wykształcenia się na przyrodnika-zoologa, lub praktycznego badacza przyrody. Biologję traktowano tylko jako naukę w laboratorjach i z mikroskopem, jako naukę, której siudzy obowiązani są spędzać życie na badaniu .najdrobniejszych żyjątek morskich, lub na badaniu mikroskopijnym tkanek wyżej rozwiniętych organizmów. Zapatrywanie to wynikło, bezwątpienia, ze ślepego naśladownictwa systemu, praktykowanego w wielkich uniwersytetach niemieckich. Bunt przeciw powierzchownym studjom posunięto tam do ostateczności: najdrobiazgowsza ścisłość w badaniu stała się bożyszczem uczonych. Był to wielki błąd i niezrozumienie tego, ile różnorodnych rodzajów pracy mogą wykonywać przyrodnicy, licząc w to już

i badanie przyrody poza laboratorjum, dokonywane przez badaczy na łonie natury, w tym rodzaju jak studja Hart Merriama i jego asystenta, nad zwierzętami Ameryki Północnej. W ślepym zacietrzewieniu uznawano za nienaukową każdą robotę, która nie była wykonana w laboratorjum i z największą drobiazgowością.

Ale moje upodobania rozwinięte były we wręcz przeciwnym kierunku, i nie miałem ani chęci, ani uzdolnienia do prowadzenia mikroskopijnych badań nad komórkami czy tkankami, tak samo jak nie miałem powołania na matematyka. I dlatego wyrzekłem się karjery naukowej. Jest to, bez wątpienia, dowodem, że nie miałem prawdziwego powołania na uczonego, choć mi się tak zdawało, bo gdybym był miał rzeczywiście powołanie, byłbym sobie w każdym razie utorował drogę, nie zważając na przeszkody.

Z zakresu nauk ekonomicznych wykładano podczas kursów uniwersyteckich zasady „wolności handlu", uznawane wówczas za dogmat niewzruszony. Wielu amerykańskim chłopcom w moim wieku otoczenie i studja naukowe wpajają rozmaite zasady bardzo cenne ze stanowiska narodowego interesu, a jednocześnie inne, wręcz im przeciwne. Nie można winić o to samych tylko ekonomistów; było to ogólną wadą tych, którzy kierowali wówczas edukacją naszego pokolenia.

Naprzykład, moje ukochane pismo „*Our young Folks*", o którym już wspominałem. Starało się ono w każdym artykule wpajać w nas indywidualne cnoty, siłę charakteru, jako najważ-

niejszy czynnik, stanowiący o powodzeniu każdego człowieka — w co wierzę zawsze niezłomnie, bo żadne prawa, ustanowione przez rozum ludzki, nie zrobią z człowieka prawdziwego obywatela, jeżeli niema w nim samym odpowiedniego materjału, jeżeli niema siły charakteru, energji, odwagi, śmiałości upomnienia się o swoje prawa ani współczucia, które mu nakazuje poszanowanie praw cudzych. Tej właśnie moralności indywidualnej uczyły mnie książki, czytywane w domu i studja w Harvardzie. Ale nikt nas nie uczył konieczności zbiorowego działania, ani tego, że oprócz osobistej odpowiedzialności, istnieje jeszcze odpowiedzialność zbiorowa. Książki, głoszące tę zasadę, jak „*Nowa Demokracja*“ Waltera Weyla, w owych czasach uważanoby za niezrozumiałe bredzenie lub herezję.

Edukacja moja była szczerze demokratyczna pod niektóremi względami, lecz niezupełnie demokratyczna pod innemi. Wyrastałem na mężczyznę z przekonaniem silnie wpojonym, że człowieka szanują za to, czym jest. Ale świadomie, czy nieświadomie, wpojono mi i tę zasadę, że, pod względem społecznym, obowiązek człowieka ogranicza się do tego, by był jak najlepszym; że powinien być uczciwy w stosunkach z innemi i na dawną modłę miłosierny dla biedaków, lecz że nie ma obowiązku łączyć się z innemi w celu poprawienia tego, co jest złe i ulżenia doli ogółu ludzi, zahamowania nienormalnego i krańcowego rozwoju indywidualizmu u nielicznej garstki.

Nie sądzę bynajmniej, ażeby ten rodzaj wychowania był zupełnie mylny. Przeciwnie, nacisk

na osobistą odpowiedzialność był i jest zawsze wielkiej wagi. Nauki takie, jakie czerpałem z książek i mego otoczenia, były doskonałym antydotem przeciwko sentymentalizmowi, który—usprawiedliwiając przez zbytnią pobłażliwość wybryki indywidualne — z czasem osłabiłby zupełnie siłę moralnej odporności ogółu. Brak tej siły w przeciętnych osobnikach uniemożliwiłby wszelkie ulepszenia praw, wszelką zbiorową akcję społeczną. Doprowadziłoby to do bezwzględnego wybujania indywidualizmu, równie zabójczego dziś dla prawdziwej cywilizacji, jak była szkodliwą rycerska samowola w wiekach średnich.

Opuszczając uniwersytet i wchodząc w świat, miałem już dużo do zawdzięczenia wychowaniu, jakie otrzymałem, zwłaszcza w rodzicielskim domu. Ale jeszcze dużo pozostawało mi do nauczenia się, zanim przygotowałem się odpowiednio do pracy, jaka czekała to pokolenie Amerykanów, do którego należę.

II.

Bujna siła życia.

Każdy, spojrzawszy w przeszłość, czuje, że na własne swoje *ja* ówczesne patrzy bardziej objektywnie, niż na swego ojca lub matkę. Zdaje mu się, że owo dziecko, nie ma łączności z jego obecnym *ja*; że jest niejako jego przodkiem, tak samo, jak przodkowie jego rodziców. Określenie często używane, że „*dziecię* jest *ojcem* późniejszego człowieka“ można brać i w znaczeniu odwrotnym, bo indywidualność dziecka nie ma łączności z indywidualnością człowieka, który z niego wyrósł. I dlatego dorosły człowiek może mówić o swoim dzieciństwie, i młodości, równie bezstronnie, jak o kimś obcym.

Jako dziecko chorowite, pozbawione fizycznej odwagi, wychowane przeważnie w domu, nie umiałem dać sobie rady w pierwszych chwilach pobytu wśród chłopców twardszej natury. Byłem nerwowy i nieśmiały. Ale wczytywanie się w opowieści o męstwie ludzi, których uwielbiałem, — bohaterów z moich ulubionych książek—słuchanie opowiadań o czynach dokonanych przez moich

krewnych w armji Południowców i widok ojca, natchnęły mnie wielką czcią dla ludzi odważnych, którzy umieją dać sobie radę w świecie. Pragnąłem gorąco być takim, jak oni.

Lecz zanim doszedłem do lat czternastu, pragnienie to nie przybrało zarysów wyraźnych i dopiero w tym wieku zaszło coś, co wywarło na mnie wpływ korzystny. Po silnym ataku astmy wysłano mnie samego nad jezioro Moosehead. Jadąc tam omnibusem poznałem kilku chłopców, rówieśników moich, lecz dużo więcej rozwiniętych odemnie i dużo psotniejszych. Mieli oni, bezwątpienia, dobre serca, ale byli to... chłopcy! Spostrzegli odrazu, że jestem przeznaczoną dla nich przez los ofiarą i z wielką zręcznością postarali się zatruć mi życie. Najgorsze było to, że gdy, doprowadzony do ostateczności, próbowałem się bronić, przekonałem się, że każdy z nich pojedyńczo, nietylko zwalczy mnie bez trudności, ale obije mnie nieszkodliwie, lecz dostatecznie, by zapobiec odwetowi z mojej strony.

Doświadczenie nauczyło mnie tego, czego nie nauczyłyby najlepsze rady. Postanowiłem pracować, by się nie znaleźć w tak beznadziejnym położeniu, a widząc że nie mam z natury dostatecznych sił, zrozumiałem, że trzeba je wyrobić ćwiczeniem. Porozumiawszy się z ojcem, który serdecznie pochwalił mój zamiar, zacząłem uczyć się boksowania. Byłem bardzo niezgrabnym i ociężałym uczniem, więc upłynęło dwa lub trzy lata, zanim zrobiłem jaki taki postęp.

Pierwszym moim nauczycielem boksowania był John Long, dawny zapaśnik i zwycięsca w kon-

kursowych walkach. Pamiętam jeszcze dziś jego zakład, gdzie na ścianach wisiały kolorowane ryciny, przedstawiające zapasy najsłynniejszych bokserów. Pewnego razu, dla pobudzenia zapału wśród swojej klijenteli, ogłosił III serję „walk konkursowych" z rozmaitemi stopniami, a nagrody— w moim przynajmniej oddziale — stanowiły kubki cynowe, wartości około pięćdziesięciu centymów. Ani mój nauczyciel, ani ja, nie przypuszczaliśmy nawet, by mi się mogło poszczęścić, lecz mimo to, miałem udział w walce z mniej biegłemi zapaśnikami. Miałem za przeciwników paru niezgrabnych smyków, jeszcze mniej, niż ja, wyrobionych i — z wielkim zdziwieniem moim i mego nauczyciela—wygrałem partję, a cynowy kubek stał się dla mnie najdrogocenniejszym skarbem. Przechowywałem go starannie całe lata, mówiłem o nim, chełpiłem się nim, i chciałbym wiedzieć, gdzie on jest obecnie! W wiele lat po tym zwycięstwie czytałem w dziennikach o człowieku, który w jakimś podrzędnym wyścigu wygrał cynowy żeton i cieszył się nim bardzo. Przeczytawszy to, uczułem odrazu, że ten zdobywca cynowego żetonu i ja—jesteśmy braćmi.

Zwycięstwo w bokserskim turnieju było — o ile pamiętam, — jedynym moim tryumfem, o którym warto wspominać. Podczas pobytu w Harvardzie boksowałem się dużo i brałem udział w atletycznych zapasach, lecz nigdy nie wysunąłem się na pierwszy plan, nawet z zapaśnikami różnego pokroju. Zwykle rola moja ograniczała się do tego, że jakiś przyjaciel lub kolega, wypróbowywał na mnie swoje siły.

Lubiłem konną jazdę, lecz szło mi z tym równie trudno i powoli, jak z boksowaniem. Dużo czasu upłynęło, zanim nauczyłem się jeździć znośnie, o wyróżnieniu nie było nawet mowy i dlatego nie grałem nigdy wybitnej roli na polowaniach z przeszkodami. Każdy, kto ma silną wolę, może z czasem wyrobić sobie pewną biegłość, dobrą postawę i umiejętność w ręku, potrzebne do znośnej jazdy po równym terenie, a nawet do spełniania zwykłych czynności na „rancho", gdzie hodują konie i bydło. Ale o moich zajęciach na „rancho" mówić będę później.

Po skończeniu studjów w Harvardzie polowałem czasem po polach z psami. Jedynym epizodem, wyróżniającym się z tej epoki, było złamanie ręki. Fundusze moje nie pozwalały mi na kupno kosztownego konia. Dosiadałem wówczas zwyczajnego człapaka, właściwie zaprzęgowego, bryczkowego konia, którego właściciel sprzedał z powodu dziwnej wady. Koń ten miał zwyczaj kłaść się czasami na ziemię, gdy włożono na niego uprząż. Pod siodłem nie robił tego nigdy, tylko, wyjechawszy na pole, zwykł był z uroczystą miną przesadzać pierwszy lepszy płot i pakować się tam, gdzie nie należało. I właśnie ta osobliwość jego usposobienia uczyniła zeń wierzchowca do polowań.

Na owym niefortunnym polowaniu wszystko szło dobrze, dopóki mój ex-zaprzęgowy wierzchowiec nie wywinął koziołka na płocie. Dopiero wsiadając na niego po upadku, poczułem, że nie mogę ruszać lewą ręką. Sądziłem, że to proste nadwerężenie, a że mój wierzchowiec był bardzo

spokojny, kierowałem go samemi cuglami. Wlekliśmy się tak na samym ogonie myśliwców i dopiero po przesadzeniu trzech, czy czterech przeszkód, spostrzegłem, że mam rękę złamaną. Kiedy puściliśmy się dobrego kłusa, skutkiem trzęsienia, rozsunęły się kości i ręka opadła bezwładnie. Nie czułem wcale bólu, a że koń niósł lekko i siedziało się na nim jak na fotelu, jechałem więc do samego końca.

Na jednym polowaniu, w którym brałem udział, jeździec spadł z konia, lecz, wleczony z nogą pozostałą w strzemieniu, zabił się na miejscu. Skutkiem tego kupiłem zaraz strzemiona, które się odpinają automatycznie i wziąłem je na pierwsze polowanie. Ale po pięciu minutach jazdy poznałem, że strzemiona są tak dalece *„bezpieczne“* iż nie trzymają się wcale. Po wzięciu pierwszej przeszkody odpadło jedno—po drugiej, drugie — a za każdym razem ze strzemionami spadałem i ja. Nie chciałem wyrzekać się tak prędko przyjemności polowania, jechałem więc dalej bez strzemion. Nigdy jeszcze mój wierzchowiec nie szedł tak szparko. Wiadomo, że pierwszorzędny jeździec potrafi jechać bez strzemion, tak jak ze strzemionami, ale ja nie byłem doskonałym jeźdźcem . Kiedy zaszedł niespodziewany wypadek, ścisnąłem mocno uroczystego wierzchowca nogami, uzbrojonemi w ostrogi, czego następstwem było, że puścił się jak mógł najszybszego galopa; czując, że nie zdołam go powstrzymać uzdeczką, popędził lotem ptaka po pochyłości, a ponieważ na dole był płot, przelecieliśmy przez niego, lecz nie razem: ja, nasamprzód, przeleciałem jak kamień

z procy, a mój koń za mną. Ale uniknąłem przynajmniej śmierci.

Lubiłem piesze wędrówki i wspinanie się po górach. Chłopcem będąc chodziłem po lasach, nawet jesienią i w zimie, a w tych wędrówkach zawarłem przyjaźń z dwoma ludźmi — Willem Dow i Billem Sewallem. Pływałem z nimi łodzią, włóczyłem się po lasach, odwiedzając zimowe leże drwalów, do których jechałem na *ski*. Obaj ci towarzysze byli potym ze mną na Zachodzie. Will Dow nie żyje już — a Bill Sewall był za moich rządów poborcą opłat celnych. Ale z wyjątkiem polowań, nie robiłem nigdy górskich wycieczek, oprócz paru wypraw w Szwajcarji na Matterhorn i Jungfrau.

Niewiele w życiu strzelałem z dubeltówki, lecz dużo ze sztucera. Często zapraszałem przyjaciół do Sagamore Hill i tam wprawialiśmy się w strzelanie. Parę razy, kiedy odwiedzali mnie wypuszczeni z niewoli Boerowie, po skończonej wojnie w Południowej Afryce, urządzaliśmy strzelanie do celu. Najlepszym strzelcem, z pistoletu i ze sztucera, był Stewart Edward White. Dobrym strzelcem także, między innemi, był mój wierny przyjaciel baron Speck von Sternberg, późniejszy ambasador niemiecki w Waszyngtonie za mojej prezydentury. Był to znakomity strzelec, jeździec i piechur — wierny i gorliwy sługa Niemiec. Podczas francusko-pruskiej wojny, jako niedorosły jeszcze chłopiec, walczył mężnie i on to pierwszy nasunął mi myśl utworzenia pułku konnych strzelców z cow-boyów i mieszkańców *ranchos*. Jako ambasador już, nieszczęśliwy ten

waleczny, tkliwego serca człowiek, trawiony śmiertelną i bolesną chorobą, nie mógł brać udziału w naszych rozrywkach, lecz męki śmiertelnej choroby nie przeszkadzały mu do pracy.

Inny znowu mój towarzysz w strzelaniu i wycieczkach, Cecil Spring-Bice, mianowany wtedy posłem angielskim przy Stanach Zjednoczonych, był moim drużbą, gdy brałem ślub w kościele Św. Jerzego na Hanoversquare w Londynie.

Moje ćwiczenia w sztuce strzelania były podobne do ćwiczeń w konnej jeździe. Są ludzie obdarzeni tak bystrym wzrokiem i taką pewnością w ręku, że dochodzą w strzelaniu do doskonałości, niepodobnej do osiągnięcia dla przeciętnych strzelców. Są znowu inni, niezdolni zupełnie do celnego strzelania. Pomiędzy temi dwiema grupami mieści się masa ludzi średnio uzdolnionych, którzy—jeżeli ćwiczą się wytrwale—mogą cierpliwością i praktyką wyrobić się i stanąć w drugim szeregu dobrych strzelców. Do tej kategorji ja właśnie się zaliczam. Ale ten, kto nauczy się strzelać celnie do tarczy, nie zdobędzie jeszcze przez to umiejętności trafiania zwierzyny w polu—zwłaszcza zwierząt drapieżnych. Na dobrego myśliwego potrzeba innych przymiotów — moralnych i fizycznych — zwłaszcza jeżeli idzie o polowanie na niebezpiecznego zwierza, tak samo, jak potrzeba rozmaitych innych zalet dobremu strzelcowi, ażeby z niego był dobry żołnierz. Wobec niebezpiecznego zwierza, nawet mając wielką biegłość w celnym strzelaniu, potrzeba mieć jeszcze zimną krew i to specjalne usposobienie, które nie daje się unosić zapałowi.

Nowicjusz wpada łatwo w „koźlą gorączkę“ i dlatego nowicjusz nie powinien nigdy chodzić na niebezpiecznego zwierza.

„Koźla gorączka“ oznacza pewien stan nerwowego podniecenia, który nie ma nic wspólnego ze strachem. Napada to człowieka, który ma przemawiać po raz pierwszy wobec licznego zgromadzenia, tak samo jak ogarnia go na widok pierwszego kozła, lub przed pierwszą bitwą. Takiemu człowiekowi brak nie odwagi, lecz panowania nad nerwami i chłodnej rozwagi, które można nabyć tylko częstą praktyką. Musi on przez przyzwyczajenie, przez ciągłe ćwiczenia, wyrobić w sobie zimną krew i silne nerwy. Jest to w znacznej części wynikiem wprawy, nabytej ćwiczeniem woli i nieustannym napięciem myśli w tym kierunku. Jeżeli jest w kim dobry materjał, to siła woli wzrastać u niego będzie za każdym ćwiczeniem; a kto tego nie ma, niech lepiej powstrzyma się od polowania na grubego zwierza i od wszystkich sportów czy prac, w których może grozić mu niebezpieczeństwo.

Ale gdy już kto wyrobił w sobie dostatecznie zimną krew, spokój, przytomność i takie panowanie nad nerwami, że *może strzelać do zwierzyny jak do celu,* ten może śmiało iść na niebezpieczne polowanie, a przekona się wtedy, że nie wymaga ono tak nadzwyczajnego męstwa, jak się wydaje zdaleka. Kto trafia w butelkę od wody sodowej na pewną odległość, trafia w samą głowę lwa, niedźwiedzia lub słonia z takiego samego oddalenia; a jeżeli nie zgruchocze mu czaszki, gdy zwierz pędzi na niego, w każdym

razie zatrzyma go na miejscu. Trzeba tylko celować dokładnie, jak do butelki, a do takiego celowania mieć zimną krew, co jest równie ważne, jak trafność oka. Ale niech sobie strzelec nie wyobraża, że jest zupełnie bezpieczny. Są, zresztą, różne stopnie w biegłości, i to, co uchodzi doskonałemu strzelcowi, byłoby szaleństwem dla takiego, który nie doszedł jeszcze do tego stopnia doskonałości. Doskonały strzelec może bezpiecznie w odkrytym miejscu podejść do lwa na odległość stu yardów. Jeżeli lew nie ruszył do ataku, strzelec powinien z tej odległości położyć go trupem i zapobiec napaści, a jeżeli lew jest już w pędzie, powinien go zatrzymać. Ale ta zimna krew i odwaga, które pozwalają człowiekowi polegać na swojej biegłości w strzelaniu, nie upoważniają go jednak, by, naprzykład, czołgał się za zranionym lwem w gąszcze. Znałem rozmaitych strzelców, którym udawało się to szczęśliwie, ale równie często zdarzało się niepowodzenie, a w tych wypadkach następstwa bywały nieprzyjemne. Człowiek, który ściga zranionego lwa w gęstwinie, musi być strzelcem doskonałym, albo też być przygotowanym na to, że ostatecznie dostanie się w paszczę lwa.

Pierwsze kozły, jakie widziałem, przyprawiły mnie o gorączkę, ale z czasem, gdym się oswoił z drobniejszą zwierzyną, nie dostawałem już gorączki nawet na widok niebezpiecznego zwierza. Zawdzięczam to tylko wielkiemu wysiłkowi woli i silnemu postanowieniu stłumienia „koźlej gorączki". Szczęśliwiej uposażeni przez naturę ludzie nie potrzebują nawet tego wysiłku. Prze-

ciętny jednak człowiek więcej może nauczyć się z mego doświadczenia, niż z doświadczenia wyjątkowych osobników.

Polowałem na pięć tylko gatunków zwierząt, które można uznać za niebezpieczne: na lwa — słonia — nosorożca i bawołu w Afryce — oraz na wielkiego, szarego niedźwiedzia w górach Skalistych w Ameryce, przed dwudziestu pięciu laty. Opierając się nietylko na własnym doświadczeniu, lecz i na doświadczeniach wielu wybitnych myśliwych, uważam, że wszystkie zwierzęta afrykańskie — szczególnie lew, słoń i bawół, są o wiele niebezpieczniejsze od szarego niedźwiedzia. Co do mnie, raz tylko byłem w rzeczywistym niebezpieczeństwie—w obec szarego niedźwiedzia w Ameryce; a w Afryce ze wszystkich zwierząt na najbliższą metę zabiłem nosorożca, z czego można wyprowadzić wniosek, że nikt nie powinien wydawać ogólnych sądów na zasadzie własnego tylko doświadczenia.

Uważam jednak, że najniebezpieczniejszym ze wszystkich zwierząt jest lew, jeżeli wziąć na uwagę większy procent zabitych, lub rozszarpanych myśliwych, na liczbę zabitych lwów, niżeli innych zwierząt. Lecz ja osobiście nie miałem żadnych przygód ze lwami. Dwa razy zabiłem lwy zaczajone i przygotowujące się do skoku — a raz upolowałem wspaniałego lwa z ogromną grzywą, w chwili gdy na mnie nacierał. Ale w każdym z tych wypadków miałem przed sobą dość czasu, bo zwierz był tak daleko, że gdyby nawet pierwsza kula chybiła, mogłem dać jeszcze kilka strzałów. Afrykański bawół jest, bez zaprze-

czenia, niebezpiecznym zwierzęciem, lecz te, które zabiłem, nie rzucały się na mnie. Słoń — samica — złośliwy „zbój“ który zabijał krajowców w okolicznych osadach, rzucił się na nas, zanim został postrzelony. Ale syn mój Kermit i ja powaliliśmy go w odległości czterdzieści yardów. Drugi słoń—samiec, który zaatakował nas także, jeszcze nie raniony, o mało co mnie nie dopadł, bo dwa naboje z mojego ciężkiego, o dwuch rurach sztucera wystrzeliłem był poprzednio do innego słonia, którego ścigałem — pierwszego—jakiego w życiu mojem zobaczyłem. A tymczasem drugi słoń wypadł z gęstwiny, torując sobie drogę przez nią, jak pług parowy przez śnieżną zaspę i łamiąc wszystko na drodze. Wysunął się tak blizko, że mógł był dosięgnąć mnie trąbą. Ale przemknąłem się mimo niego, poza pniem drzewa. Pytali się mnie potym ciekawi, jakiego uczucia doznałem w tej chwili? Odpowiadałem każdemu, że takiego samego, zapewne, jakie ma każdy w podobnym wypadku. Strzelec nie ma wtedy czasu na obawę. Myśli tylko o tym, by założyć nowe naboje i strzelać.

Nosorożce są srogie, hałaśliwe i najgłupsze ze wszystkich dzikich zwierząt, jakie znam. Ale czasami nacierają na ludzi złośliwie, choć nie ranione ani podrażnione. Pierwszy, którego zastrzeliłem, miał już po moich strzałach dwie śmiertelne rany, a mimo to, rzucił się na nas z wielką gwałtownością. Mój towarzysz i ja strzeliśmy obaj i, szczęśliwym trafem, położyliśmy go trupem o trzynaście zaledwie kroków od nas.

Inny nosorożec niewiadomo czy miał zamiar rzucić się na mnie, czy nie: nie wiem tego dotąd. Usłyszał nas i przedzierał się przez gęste zarośla, chrapiąc i potrząsając łbem gniewnie. O ile mogę wnosić z późniejszych doświadczeń, przypuszczam, że nie miał wrogich zamiarów i że gdybym nie był strzelił — zawróciłby był w ostatniej chwili, lub minął mnie, nie zaczepiając; ale że nie umiem czytać w myślach nosorożca, a jego ruchy mogły nasunąć podejrzenie, zatrzymałem go w drodze dwiema kulami; poszedłem potym za nim i dobiłem go. Wszystkie, zabite przezemnie, zwierzęta wypchane są teraz w Narodowym Muzeum w Waszyngtonie.

Lecz, jak już wspomniałem, raz tylko groziło mi prawdziwe niebezpieczeństwo i to nie od groźnych afrykańskich bestji, lecz od szarego niedźwiedzia amerykańskiego. Było to przed dwudziestu czterema laty. Postrzeliłem był tego niedźwiedzia o zachodzie słońca, w jodłowym lesie, i poszedłszy za nim zraniłem go jeszcze dwukrotnie, gdy stał po drugiej stronie zarośli. Wtedy rzucił się na mnie, przedzierając się przez gęstwinę, a pędził z taką szybkością i tak krętą linją, że nie mogłem mimo, usiłowań, wziąć na cel jego czaszki, a tylko zraniłem go ciężko dwoma ostatniemi nabojami z mojego sztucera Winchester. Było to za czasów czarnego prochu, więc obłok dymu zasłonił wszystko. Po ostatnim strzale zobaczyłem lewą łapę niedźwiedzia tuż nad sobą, i szybko odskoczyłem na bok. Ale niedźwiedź był już napół tylko żywy; rzucił się

jeszcze raz w moją stronę i runął na ziemię jak zastrzelony królik.

Największy miałem kłopot z zabraniem jego skóry. Byłem zupełnie sam i pieszo, mając ze sobą tylko spokojną, górskiej rasy klaczkę, która niosła moje rzeczy. Klaczka nie bała się ani niedźwiedzi, ani niczego w świecie, nie miałem więc trudności z upakowaniem skóry niedźwiedziej na jej grzbiecie. Ale kto nie ma w tych sprawach doświadczenia, nie wyobraża, jak trudno ściągnąć skórę z zabitego zwierza i przytroczyć ją mokrą, oślizgłą i ciężką — tak, by leżała prosto na grzbiecie końskim. Umiałem już nieźle wiązać sznury w sposób ogólnie używany przez tragarzy w Skalistych górach w owym czasie, lecz żadne węzły, żadne sznurowanie nie mogło poradzić z mokrą i ślizką niedźwiedzią skórą. Z niesłychanym trudem udało mi się wreszcie władować skórę na konia i przywiązać ją sznurami na jego grzbiecie, jak mi się zdawało—dostatecznie. Ruszyliśmy tedy, lecz gdym uszedł ledwie sto kroków zobaczyłem, że skóra zaczyna wydymać się między dwoma postronkami. Poprawiłem postronki, a skóra wydęła się w innym miejscu. Przyciągnąłem znowu sznury— ale skóra zaczęła wysuwać się znowu z pod nich, jak płynna lawa. Potym przekręciła się na jedną stronę, a klaczka trzymała się i czekała spokojnie, bym ciężar umieścił na właściwym miejscu, na siodle, którego używałem zamiast juków. Samo upolowanie niedźwiedzia okazało się fraszką w porównaniu z zadaniem, jakie mnie czekało przez następne trzy dni przymoco-

wania skóry do siodła w taki sposób, by mogła podróżować bezpiecznie.

Dlatego zaś byłem sam w górach, że właśnie wtenczas, jedyny raz w życiu, miałem zatarg z przewodnikiem.

Przewodnik ten, mały, kulawy góral, żywił głęboką wzgardę dla „fryców", a wzgardę tę, w stosunku do mnie, potęgowała jeszcze ta okoliczność, że używałem okularów — co w tamtych stronach i w tamtych czasach uważane było jako oznaka złego charakteru, upośledzonego tym kalectwem osobnika. Człowiek ten nigdy przedtym nie służył za przewodnika, czyli — jak się wyrażał — „nie sięgał fryców", a choć był dobry myśliwy i naprowadzał mnie na zwierzynę, nie mogliśmy się jakoś pogodzić. Dokuczał mu reumatyzm i dlatego chciał się wylegiwać rankami do późnej godziny, a ja musiałem sam przyrządzać śniadanie i robić porządek w obozowisku. Ostatecznie, pewnego rana odmówił dalszej podróży, mówiąc że jest chory, ale gdy tego samego dnia powróciłem do obozu popołudniu, odkryłem źródło jego „choroby". Mieliśmy bardzo mało rzeczy, bo właściwie nie miałem z sobą nic oprócz worka do spania, zrobionego z bawolej skóry, torby z przyborami do szycia i pary zapasowych skarpetek. Prócz tego zabrałem „na wszelki wypadek" butelkę wódki— ale przekonawszy się wkrótce, że żaden taki „wypadek" się nie zdarza, a herbata działa daleko skuteczniej, gdy się jest przeziębniętym lub zmęczonym, zaprzestałem pić wódkę podczas wypraw myśliwskich.

Kiedym powrócił do obozu owego popołudnia, stary siedział na obalonym pniu, wyprostowany, trzymając sztucer między kolanami, a na moje powitanie odpowiedział tylko spojrzeniem „z podełba". Postawiłem sztucer pod drzewem, poszedłem do worka i szukając w nim czegoś, zobaczyłem, że flaszka z wódką jest próżna. Zapytałem towarzysza natychmiast, dlaczego wypił wódkę — a on odpowiedział mi zapytaniem, co na to poradzę? Rzeczywiście, nie było już na to żadnej rady, więc powiedziałem mu tylko tyle, że musimy się rozstać — a byliśmy o cztery lub pięć dni drogi od osady — że pójdę już dalej sam, i że wezmę konia. Na to on przygotował sztucer do strzału i odpowiedział, że mogę iść sam, choćby do djabła, ale że nie pozwoli mi wziąć konia. Odrzekłem mu na to: „dobrze". Jeżeli niemożna, to niemożna—zabrałem się do solonej wieprzowiny. Stropił go mój spokój i to, że nie zważałem na jego postępowanie i odezwanie się przez cały czas wspólnej podróży, nie miał się więc na baczności, tak jak należało. Siedział ze sztucerem gotowym do strzału, trzymając go między kolanami, z lufą przechyloną trochę na lewo. Mój sztucer stał, oparty o drzewo, niedaleko kuchennych przyborów, z prawej strony. Skierowałem się do mego sztucera, pochwyciłem go z ziemi i wycelowałem w towarzycza wołając:

— Ręce do góry!

Podniósł natychmiast ręce i wybąkał!

— O! Ja to tylko tak na żart mówiłem....

Ja zaś odpowiedziałem:

— Ale ja nie żartuję! Wyciągnij zaraz nogi i puść sztucer na ziemię.

Opierał się i mówił, że sztucer wystrzeli— a ja odpowiedziałem na to: „niech sobie strzela". Wyprostował jednak nogi tak ostrożnie, że sztucer osunął się na ziemię bez wystrzału. Wtedy kazałem mu się cofnąć i zabrałem jego sztucer. Otrzeźwiał już zupełnie, nie okazywał wcale gniewu i tylko przyglądał mi się szyderczo. Powiedział, że jeżeli mu oddam sztucer, będzie uważał, żeśmy się zbastowali i możemy iść dalej razem. Nie zdawało mi się, by można mu było ufać, więc odrzekłem, że nasze polowanie już się skończyło i że wróci sam do domu.

Na naszej drodze, o jaką milę od obozowiska, stała sucha jodła, którą widać było od nas doskonale. Zapowiedziałem mu, że tam zostawię jego sztucer, na tej suchej jodle, jeżeli będę widział, że się nie ruszył z obozowiska, ale ostrzegłem, by nie zaczął iść za mną, bo gdyby to uczynił, będę uważał, że ma złe zamiary i strzelę do niego. Upewnił mnie, że nie zamierza iść za mną, a że kulał mocno skutkiem reumatyzmu wierzyłem jego zapewnieniu.

Zabrałem więc klaczkę, trochę mąki, słoniny i herbaty, worek do spania i odszedłem. Doszedłszy do suchej jodły obejrzałem się, a zobaczywszy, że przeciwnik siedzi na tym samym miejscu, w obozowisku, zostawiłem mu sztucer. Szedłem do zmroku i tu, jeden raz w życiu, uciekłem się do wybiegu dawnych trapperów, z czasów walk z Indjanami. Nie przypuszczałem, by mój przeciwnik szedł za mną, ale nie mogłem

być tego pewny, więc zjadłszy wieczerzę, kiedy koń popasł się dostatecznie, zostawiłem płonący ogień, pakunki włożyłem na konia i szedłem dalej, dopóki nie zapadła noc tak ciemna, że nic nie było widać, nawet w odległości paru kroków. Przywiązałem wtedy klaczkę, położyłem się spać nie rozpalając ognia i spałem do samego brzasku, a szedłem jeszcze parę godzin; potym dopiero zatrzymałem się, przyrządziłem śniadanie i puściłem klaczkę na trawę. Łatwo zrozumieć, że nie mogłem spać przy ogniu, gdy groził napad nieprzyjaciela; że nie należy wybierać takiego miejsca, gdzie można być napadniętym znienacka. Nazajutrz zmyliłem drogę i nad wieczorem przestałem już jej szukać. Położyłem się na noc, zastrzeliłem cietrzewia na wieczerzę, a polując na niego, wpadłem na niedźwiedzia.

Doszedłszy do osady, poszedłem do sklepu, gdzie właściciel na powitanie zapytał:

— To pan jest tym „frycem“ którego stary Hank ciągał po górach?

Przyznałem się do tożsamości osoby. W późniejszych latach, już po wybraniu na wice-prezydenta, pojechałem raz w zimie polować na rysie w zachodnim Colorado, z Jasiem Goffem, sławnym myśliwym i wędrowcem górskim. Wyobrażałem sobie, że tamtejsi osadnicy znają mnie już z moich czynów myśliwskich. Ale nie mogłem zapanować nad uczuciem upokorzenia, usłyszawszy, że nic nie wiedzą o moich myśliwskich tryumfach, ani nie nazywają mnie wice-prezydentem, tylko poprostu „towarzyszem Jasia Goffa.“

Naturalnie w tych latach, gdy zajęty

byłem pracą poważną, nie mogłem polować, a nawet moje konne wycieczki ograniczały się poprostu do zwykłych spacerów. Ale człowiek, wiodący życie siedzące, jeżeli chce zachować siłę i zdrowie takie, jak ludzie pracujący fizycznie, powinien mieć dużo ruchu.

Kiedym pracował na *rancho*, nie potrzebowałem żadnych ćwiczeń, prócz obowiązkowej pracy, lecz co innego było w biurze. Przez parę letnich miesięcy grywałem w *polo* ze swemi sąsiadami. Uważam, że to jest najodpowiedniejsza gra dla ludzi w średnim wiekn, którzy mają zwyczajne konie.

Miałem wtedy, oprócz konia do wozu, dwa mierzynki w stajni. Żona i ja jeździliśmy na nich wierzchem i powoziliśmy niemi w zaprzęgu; używaliśmy ich na posyłki i dla dzieci, a dwa razy tygodniowo służyły mi za konie do polo. Polo jest doskonałą grą; nierównie lepszą dla silnych ludzi, niż tennis, golf, lub inne gry w tym rodzaju.

W Oyster Bay najgłówniejszą naszą rozrywką było ciągłe wiosłowanie i pływanie łodzią żaglową. Co do mnie, nie dbam o żagle, ale lubię wiosłować. Może to trąci staroświecczyzną, lecz jestem tego zdania, że ludzie, pływający motorowemi łodziami, tracą dużo przyjemności. Gdyby zechcieli ograniczyć się do łodzi i czółna, do wioseł i rudla, skorzystaliby wiecej na tym, niż teraz, gdy całą pracę wykonywa za nich gazolina. Ale ja rzadko mogłem używać ruchu wyłącznie dla ruchu, mimo że miałem do tego upodobanie. Przyjemności i rozrywki jednak nie powinny

przeszkadzać pracy; życie zapełnione samemi rozrywkami byłoby najnudniejsze.

Radość życia jest wielkim skarbem, a choć treść życia stanowi praca, przyjemności i rozrywki powinny mieć także w nim swój udział, byle nie za wielki.

Zmuszony będąc żyć przez długie lata w mieście przekonałem się, że boksowanie i zapasy atletyczne dostarczają dużo ruchu, połączonego z przyjemnym wysiłkiem. Ale — choć niechętnie — musiałem porzucić jedno i drugie, skutkiem wieku. Najpierwej wyrzekłem się zapasów. Gdy zostałem gubernatorem, atleta—champion średniej miary—bawił w Albany. Wezwałem go parę razy na popołudniowe ćwiczenia. Wspomnę tu nawiasem, że z tego powodu miałem trudności z państwowym kontrolerem, który odmówił mi przyjęcia rachunku za maty, tłumacząc, że mogę zażądać pieniędzy na bilard, bo gra w bilard jest uznana za rozrywkę, odpowiednią dla gubernatora, lecz *maty do zapasów atletycznych* to coś nieznanego, niezwykłego, na co niemożna udzielić pieniędzy.

Ów średniej miary siłacz, górował o tyle nad moją umiejętnością, że nietylko mógł obronić siebie, lecz jeszcze baczyć, by nie wyrządzić mi krzywdy — gdyż zapasy atletyczne są niebezpieczniejsze od boksowania. Ale po paru miesiącach, zmuszony wyjechać, dał zastępcę, wesołego siłacza, wioślarza z powołania. Wioślarz, jak się okazało,—niewiele miał pojęcia o sztuce zapaśniczej i nie umiał obronić własnej całości, nie mówiąc już o mojej. Po drugim naszym

spotkaniu miał już wgniecione jedno żebro, a ja dwie chrząstki przy żebrach szpetnie nadłamane i lewą łopatkę tak nadwerężoną, że aż trzeszczała. Ucieszył się bardzo, gdy mu oznajmiłem, że winniśmy uznać walkę za nierozstrzygniętą i dać pokój dalszym zapasom.

Po tym zdarzeniu wróciłem do boksowania. Za czasów prezydentury zwykłem był boksować się z adjutantami, a niekiedy z jenerałem Woodem. Ale po paru latach musiałem wyrzec się boksowania, gdy w jednym starciu młody kapitan artylerji ugodził mnie tak silnie w oko, że zmiażdżył w nim drobne krwionośne naczynia. Na szczęście, było to lewe oko, lecz od tej pory pozostało zamglone, a gdyby się to było zdarzyło z prawym okiem, nie byłbym już w stanie strzelać. Uznałem tedy, że rozsądek nakazuje wyrzec się boksowania, gdyż jestem już do tego za stary. Na pociechę, zacząłem się ćwiczyć w japońskim *dżiu-dżit-su* przez parę lat.

Kiedy pracowałem w Zgromadzeniu Prawodawczym, nie było czasu na przechadzki i jedynego ruchu wówczas dostarczało mi boksowanie lub atletyczne zapasy. Nadarzył mi się młody chłopak, drugorzędny zapaśnik, a syn jednego z moich dawnych nauczycieli boksowania. Przez kilka tygodni przychodził do mnie codzień i wdziewaliśmy rękawice na pół godziny. Raptem przestał przychodzić i po kilku dniach dostałem od niego żałosny list z więzienia. Okazało się, że był z zawodu złodziejem, boksowanie zaś uprawiał tylko dla rozrywki, w wolnych chwilach, gdy brakowało „*roboty*".

Jako człowiek zamiłowany w boksowaniu poznałem wielu zawodowych bokserów i lubiłem ich szczerze. Nie mogę nigdy zgodzić się z potępianiem zawodowców na tym polu. Jeden tylko mogę im postawić zarzut: że tego rodzaju konkursy o znaczne nagrody zamieniły walkę na jakieś pieniężne przedsiębiorstwo. Ale poza tym zarzutem uważam boksowanie, czy zawodowe, czy amatorskie, za sport pierwszorzędny i nie zgadzam się na czyniony mu zarzut okrucieństwa. Przyznaję, że zapasy bokserskie zamieniają się w pewnych warunkach, na okrutne igrzyska, ale toż samo może się zdarzyć z piłką nożną i innemi sportami. Walka konkursowa o nagrody nie jest bardziej demoralizująca od innych interesów przemysłowych i pieniężnych obrotów, które się przy nich dokonywają. A ludzie — silni, rozwinięci dobrze pod względem fizycznym, potrzebują jakiegoś ujścia dla nadmiaru swoich sił żywotnych. Kiedy byłem Dyrektorem policji, przekonałem się, że założenie klubów bokserskich w pewnych dzielnicach wpływało na zmniejszenie walk nożowych i strzelaniny między młodzieżą okoliczną, która w braku klubów, zabawiała się zbójeckiemi rozprawami. Wielu nożowców nie ma zbrodniczych popędów z natury, tylko potrzeba im jakiegoś ujścia dla nadmiaru bujnego temperamentu. Dlatego zawsze zachęcałem do zakładania bokserskich klubów, w stowarzyszeniach młodzieży chrześcijańskiej. Nie lubię młodzieńców z ramionami spadzistemi, jak butelka szampana. Boksowanie należałoby także wprowadzić do marynarki i do wojska.

Będąc Dyrektorem Policji, zachęcałem do zakładania klubów bokserskich w Nowym Yorku, ale później musiałem przyznać, że konkursowe walki zeszły tam do opłakanego poziomu; więc zostawszy gubernatorem, podpisałem rozporządzenie, zabraniające walk o nagrody pieniężne. Uczyniłem to z tego powodu, że wielu zapaśników wychodziło z walk kalekami, gdy tłumy widzów, ciągnących korzyści z zakładów, zamieniły ten sport w jakieś czysto handlowe przedsiębiorstwo, opierające się na okrucieństwie. Nie zmienia to mego zdania, że samo boksowanie jest sportem pożytecznym i zdrowym i niesłusznie porównywują je z walkami byków, które plamią się męczarniami zadawanemi zwierzętom; nie okupuje honoru zręczność i odwaga torreadorów. Każde widowisko, w którym męczarnie i śmierć zwierząt mają stanowić źródło przyjemności, upadla i demoralizuje widzów.

Przy boksowaniu powinny być przewidziane okoliczności, w których walka się przerywa, jeżeli jeden z walczących, np. odniósł zbyt ciężkie uszkodzenia; ale zapaśnicy, biorący udział w walce, są twardzi jak żelazo i nie trzeba się roztkliwiać sentymentalnie nad tym, na co oni sami nie zwracają uwagi. Widzowie powinni także być gotowi do wstąpienia w szranki. Nie wiele mam szacunku dla tego typu sportsmenów, którzy ograniczają się jedynie do przyglądania się cudzym zapasom.

Znam wielu porządnych obywateli, którzy dawniej byli zawodowemi bokserami. Naprzykład Mike Donovan z Nowego Yorku. Poznałem go

będąc Dyrektorem Policji. Przyszliśmy obaj na zebranie Katolickich Towarzystw Wstrzemięźliwości. Na tym zebraniu przyszło do ostrego starcia między mną, a pewnym senatorem z obozu *Tammany*. Mike uważał się za mego sprzymierzeńca i tak żywo interesował się przebiegiem dysputy, jakby to było starcie bokserskie, a nie rozprawa na słowa. Później, będąc Gubernatorem i Prezydentem, poznałem go bliżej i nieraz przychodził boksować się ze mną.

Inny znowu zawodowiec, Battling Nelson, podzielał moje zapatrywania na wielu punktach, a raz wyraził mi współczucie z tego powodu, że ja — jako Prezydent — za moją pracę nie dostaję tyle, ile on w tym samym przeciągu czasu zarobił na boksowaniu.

Utrzymywałem przyjazne stosunki z innym jeszcze zawodowcem, Johnem Sullivanem, nieporównanym swojego czasu bokserem. Obecnie gospodaruje on na fermie w Massachusetts. Odwiedzał mnie czasami w Białym Domu, a jego zjawienie się wywoływało ożywione szepty między zebranemi senatorami i członkami Kongresu. Kiedym wyjeżdżał do Afryki, ofiarował mi on „na szczęście“ łapkę króliczą, oprawioną w złoto. Woziłem ją z sobą podczas całej wyprawy do Afryki i, istotnie, szczęście mi tam sprzyjało.

Pewnego razu jeden z moich przyjaciół — bokserów — zawodowców przybył do Białego Domu w jakimś interesie. Oznajmił, że chce się rozmówić ze mną samnasam, usiadł w fotelu naprzeciw mnie i położył na biurku bardzo drogie cygaro, mówiąc:

— Proszę przyjąć cygaro.

Podziękowałem i objaśniłem, że nie palę; a on odrzekł na to:

— To niech pan schowa do kieszeni.

I dodał:

— Proszę wziąć i to drugie. I oba włożyć do kieszeni.

Zrobiłem, jak sobie życzył. Okazawszy w ten sposób na samym wstępie swą uprzejmość, mój gość wyznał mi, że jego siostrzeniec, służący w marynarce, wyjechał bez urlopu i że grozi mu teraz hańbiąca kara za dezercję. Mój gość, dobry obywatel i patryjota amerykański, dotknięty był do żywego, że podobna hańba może spaść na całą rodzinę i tłumaczył mi, że trzeba temu zapobiec, ale że z drugiej strony pragnie, by przestępca dostał porządną nauczkę. Prosi więc, ażebym ja sam tym się zajął, bo wtedy może być pewnym, że winny *„otrzyma to, co mu się należy"*.

Podczas pobytu w Białym Domu starałem się zawsze znaleść popołudniu parę godzin wolnych na tennisa, na konną jazdę, na piesze wycieczki w okolicę, nad brzegami Rock Creek'u lub po stronie Wirginji, brzegiem Potomaku. Moi towarzysze tych wypraw zorganizowali się w tak zwane „Tennisowe ministerjum", do którego członków zaliczyliśmy później wielu moich dawnych przyjaciół z Zachodu, towarzyszów wypraw trudniejszych, niż wycieczki piesze i konne przejażdżki. Wielu wśród nich było ludzi tęższych odemnie, ale jednak mogłem im dotrzymać kroku, tak w przechadzkach, jak w konnej jeździe.

Czasami — najczęściej w zimie lub wczesną

wiosną—urządzaliśmy wyprawy do naznaczonego celu, z warunkiem nie omijania tego, co jest na drodze, ani Rock Creeku, ani nawet Potomaku. Ale wtedy musieliśmy wracać do Waszyngtonu dopiero o zmroku, nie chcąc gorszyć ludzi naszym wyglądem. Przepływaliśmy nieraz Rock Creek, kiedy na jego wodach szła gęsta kra, a przepływając przez Potomak zdejmowaliśmy ubranie. Pamiętam, że raz, w podobnym wypadku, kiedy był z nami poseł francuski, Jusserand i mieliśmy już wchodzić do wody, ktoś zawołał:

— Panie pośle! Panie pośle! Nie zdjął pan jeszcze rękawiczek!

Na to poseł odpowiedział bez namysłu:

— Zostawiłem je umyślnie, bo możemy spotkać po drodze panie...

Lubiliśmy Rock Creek, gdyż można było wspinać się po skałach nad jego brzegami, ale i nad Potomakiem nie brakło do tego sposobności. Czasami chodzili ze mną dawni towarzysze wypraw myśliwskich w innych częściach świata, a raz zaprosiłem całą klasę oficerów, którzy słuchali wykładów w wojskowym kolegjum. Wybrałem na ten raz najcięższą drogę przez skały i przez wąwozy nad potokiem, a moi wojskowi towarzysze mieli prawdziwą uciechę, naturalnie ci, którzy byli naprawdę dzielni.

Dnia 1 marca 1909 r., na trzy dni przed skończeniem moich rządów jako Prezydenta, członkowie „Tennisowego ministerjum“ zebrali się w Białym Domu na śniadanie, ale było też wśród nich wielu przybyłych z dalszych stron, słynnych myśliwych. Pod koniec śniadania jeden powstał,

usunął na bok kwiaty, zdobiące środek stołu i odsłonił wspaniały bronzowy odlew rzeźby Proctora, przedstawiający *pumę*, pożegnalny upominek dla mnie.

Podczas wycieczek pieszych i konnych u wielu młodszych oficerów, stałych moich towarzyszów, okazał się zupełny brak fizycznego wyrobienia, skutkiem niedbalstwa przełożonych, a co wyrządziłoby wielkie szkody, gdyby armja musiała wystąpić na linję bojową. Zacząłem badać tę sprawę osobiście i zgorszony byłem tym, czegom się dowiedział. Wśród starszych oficerów znalazłem wielu tak niedołężnych pod względem fizycznego wyrobienia, że byłoby to śmieszne, gdyby nie myśl, że ludzie ci stanowią wojskową siłę państwa. Naprzykład, jeden pułkownik z konnicy nie był w stanie przejechać kłusem nawet pół mili, gdym zwiedzał jego posterunek; jenerał, wybrawszy się na przejażdżkę z nami, bał się puścić konia galopem, a inni oficerowie okazali się niezdolni do pieszego pochodu, jak najzwyklejsi urzędnicy biura!

Zrobiłem wtedy naradę z jenerałami Woodem i Bellem, którzy odznaczali się i wyrobieniem i tęgością fizyczną. Było to już pod koniec moich rządów; postanowiliśmy zatym zrobić początek w tym kierunku — bo doświadczenie uczy nawet najgorliwszych reformatorów, jak trudno w narodzie, nie wdrożonym do militaryzmu, zaprowadzić rzeczywiste wojskowe reformy. Mając to w pamięci, ograniczyłem się do rozporządzenia, ażeby każdy oficer obowiązany był do przej-

ścia pieszo pięćdziesięciu mil — lub przejechania konno stu mil—w ciągu dni trzech.

Jest to zadanie możliwe do wykonania nawet dla kobiet w średnim wieku i w dobrym stanie zdrowia. Ale większość dzienników przyjęła to rozporządzenie jako wybryk despotyzmu z mojej strony, a znaczna część starszych oficerów, mających tylko doświadczenie biurowe, nie polowe, intrygowała przez moich przyjaciół, ażeby Kongres obalił ten przepis.

Skutkiem tego, wybrałem się sam na przejechanie konno stu mil z górą, zabrawszy z sobą naczelnego lekarza Rixeya i dwuch oficerów. Drogi w Wirginji były zmarznięte i pokryte grudą; popołudniu i wieczorem zerwała się zadymka i burza, a mimo to przekonaliśmy się, jak łatwo można w jeden dzień wypełnić zadanie, na które oficerowie mieli dane trzy dni czasu — i wtedy dopiero ucichły głośne zarzuty. Ale wielu naczelników biurowych prowadziło milczkiem wojnę przeciwko wydanym rozporządzeniom, a ich intrygi nieraz trudno było ujawnić.

W korpusie marynarki kapitan Leonard, który postradał był rękę pod Tientsinem, przeszedł pieszo z dwoma adjutantami, w ciągu jednego dnia nakazane mil pięćdziesiąt; byli to ludzie młodzi i raźni, i śmieli się z dowodzenia, że taka przechadzka jest nad siły ludzkie. Ale mimo to, Zarząd marynarki zgromił ich i nakazał powtórzyć taki sam marsz w ciągu trzech dni, pod pozorem, że odbycie go w jednym dniu sprzeciwia się przepisom! Wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak kapitan Leonard za-

ręcza za prawdziwość faktu. Nie zawiadomił mnie o tym w swoim czasie, gdyż obawiał się narazić swoim chwilowym zwierzchnikom. Gdybym był wiedział o tym we właściwej porze, byłbym załatwił się krótko z biurokratami, którzy wydali podobne rozporządzenie.

Początkowo ustanowiony przepis obowiązkowego przejścia 50 mil w ciągu dni trzech okazał się bardzo pożyteczny. Oszczędził tysiące dolarów, wydawanych na dorożki i jeszcze większą sumę marnowanych po barach. Ujawnił znaczną liczbę ludzi zupełnie niezdolnych do służby — nauczył oficerów chodzić — nauczył ich pielęgnować nogi i rozciągać opiekę nad stanem nóg żołnierzy, poprawił ogólny stan zdrowia i zbudził zamiłowanie do pieszego sportu"...

Przytoczyłem ten fakt a oprócz niego mógłbym przytoczyć i wiele innych, na podstawie których nabrałem silnego przekonania, że wyrobienie fizyczne i tęgość, wyrabiają też siłę ducha, bez której siła mięśni niewiele waży. Mieszkańcy miast mniej, niż mieszkańcy wsi, mają sposobność do utrzymania i rozwoju sił fizycznych. Ale każdy może tego dokonać, byleby zadał sobie trud konieczny. Każdy młody adwokat, kupiec, urzędnik, subjekt sklepowy mogą wyrobić w sobie tężyznę, byle tylko szczerze chcieli. Wielu najlepszych żołnierzy, którzy służyli pod memi rozkazami w Gwardji narodowej, było przedtym urzędnikami lub kupcami.

Miałem niegdyś wykład, któremu dałem tytuł „*Życie intensywne*". Potym wydałem cały tom szkiców pod tym samym tytułem. Dwa przekłady

mego dzieła sprawiły mi szczególną przyjemność. Jeden przekład był dziełem Japończyka, który tom moich szkiców nosił przy sobie przez całą wojnę Mandżurską, a potym przełożył je na japoński język. Drugiego przekładu dokonała Włoszka dlatego, że brat jej, oficer, zmarły na posterunku w dalekim, obcym kraju, lubił to dziełko i nie rozstawał się z nim do śmierci. Tytuł jego Włoszka przetłumaczyła na „*Vigor di Vita*". Uznałem że ten tytuł lepszy jest niż w oryginale, jako wyraźniej określający treść i cel mojej pracy i dlatego nadałem niniejszemu rozdziałowi, tytuł „Bujność siły życia", zamiast poprzedniego.

Dwa są rodzaje powodzenia, a raczej dwa warunki niezbędne do zdobycia powodzenia. Pierwszy rodzaj—to powodzenie w sprawach ważnych lub błahych, które udają się temu, kto posiada wyjątkową zdolność zrobienia tego, czego ktoś inny zrobić nie potrafi; zdolność której niemożna zdobyć największym nawet wysiłkiem pracy ani wytrwałości. Żadne wysiłki umysłowe lub fizyczne nie dadzą przeciętnemn człowiekowi możności spełnienia takich zadań. Rozumie się jednak, że oprócz wrodzonego uzdolnienia, potrzeba do takich sztuk także odpowiedniego ćwiczenia się i pracy, ale wykonać je może tylko człowiek, obdarzony specjalną zdolnością, której nie posiadają ludzie przeciętni.

Ten rodzaj powodzenia najwięcej bije w oczy, ale osiągnąć je może tylko osobnik, obdarzony talentem, wyróżniającym go z pośród ogółu. Daleko jednak częstszym jest powodzenie w zadaniach pospolitszych, zdobywane przez

ludzi, którzy wyróżniają się nie wrodzonym uzdolnieniem, lecz stopniem rozwoju, do jakiego potrafili doprowadzić swoje słabe uzdolnienie.

Takie powodzenie jest dostępne dla wielu ludzi, byleby tylko mieli silną wolę i chęć zdobycia tego, do czego dążą. Takie powodzenie osiągnąć może każdy przeciętny człowiek, zdrowy na ciele i na duszy, choćby nie posiadał wybitnych zdolności umysłowych ani sił fizycznych, lecz który ma wolę i wytrwałość i chce pracować nad sobą. Najświetniejsze powodzenia, o jakich wspomina historja, były udziałem ludzi pierwszej kategorji, lecz dla przeciętnego człowieka większą korzyść może przynieść badanie powodzeń drugiej kategorji. Od ludzi wybitnych może zaczerpnąć natchnienia—lotności i zapału. Od drugich — może nauczyć się, jak ma zwyciężać.

Łatwo zgadnąć, że wszystkie moje powodzenia należały do kategorji drugiej. Nie zdobyłem nigdy nic bez ciężkiego trudu, bez skupienia woli, bez starannego obmyślenia planów i opracowywania ich zawczasu.

Byłem dzieckiem słabowitym i niezgrabnym, a w młodzieńczych latach człowiekiem uczuciowym i niepewnym swego męstwa. Starałem się ćwiczyć cierpliwie i wytrwale, nietylko pod względem fizycznym, lecz pracowałem również nad moim umysłem i duszą.

Za chłopięcych czasów uderzył mnie jeden ustęp w powieści Marryata, kiedy kapitan fregaty uczy bohatera, jak ma wyrobić w sobie męstwo. Mówi on, że na początku bitwy każdy pra-

wie odczuwa trwogę, lecz powinien o tyle zapanować nad sobą, ażeby działać tak, jakby się nie bał. A jeżeli ten wysiłek potrwa czas jakiś, udawanie zamieni się w rzeczywistość, pozór stanie się faktem i człowiek pozbędzie się uczucia trwogi dzięki temu, że udawał męstwo wtedy, gdy nim strach miotał.

Postępowałem zawsze według tej zasady. Obawiałem się wielu rzeczy, począwszy od szarego niedźwiedzia do nieujeżdżonych koni i strzałów z zasadzki, lecz zachowując się tak, jakbym się nie bał niczego, stopniowo pozbyłem się wszystkich obaw. Każdy może uczynić to samo, byle by tylko chciał szczerze.

Ale musi patrzeć na życie pod właściwym kątem, nie jak na coś, co się lekkomyślnie niszczy, lecz jak na cenny dar, który ryzykuje się bez namysłu tylko tam, gdzie wymagają tego cele wyższe.

III.

Na widowni politycznej.

Po skończeniu Harvardu zacząłem studjować prawo. Gdybym był miał szczęście dostać się pod kierunek profesora Thayera w „Szkole Prawa" w Harvardzie, byłbym zroznmiał, że prawnik może dużo dokazać dla sprawiedliwości — że umie walczyć z martwą literą prawa.

Ale — może z mojej głównie winy — studjowanie książek prawnych i słuchanie wykładów doprowadziło mnie do wniosku, że są one przeciwne sprawiedliwości. Zasada: „niech kupujący ma się na baczności", przeniesiona na grunt prawny, tłumaczy się w ten sposób, że sprzedawca dąży do wyzyskania kupującego, zamiast ułożyć się z nim w sposób dla obu stron korzystny.

Byłem młody. W moich ówczesnych zapatrywaniach na te sprawy zmieniłbym dziś niejedno, ale i dziś, jak wówczas, wielu prawników obiera drogi, których nie można uznać za zgodne z ideałem, jaki przyświeca młodym ludziom o wyższym poziomie moralnym. Gdybym był zmuszony

pracować na każdego wydanego centa, byłbym, zapewne, zabrał się gorliwie do pracy, ażeby móc związać koniec z końcem i może obrałbym sobie zawód prawny. Wtedy, tak jak i dziś, sądziłem, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest zapracować na siebie i na tych, którzy od niego zależą. Miałem i mam głębokie przekonanie, że największym szczęściem i najpierwszym obowiązkiem każdego jest zawrzeć szczęśliwy związek małżeński, i że tak dla kobiety, jak dla mężczyzny, niepodobna go niczym innym zastąpić. Ale że ojciec zostawił mi majątek, nie byłem zmuszony pracować na chleb dla siebie i rodziny. Jeżeli zaś chciałem mieć do tego chleba masło i marmeladę, mogłem postarać się i o to. Czyli, innemi słowy, mogłem uważać pieniądz za drugorzędny, lecz nie za główny cel mego zajęcia.

Gdybym nie miał majątku, pierwszym moim obowiązkiem byłoby zdobywanie go w sposób uczciwy. Ale że pieniądze miałem, więc zabiegi o zdobycie większej ich ilości, uznałem za zadanie drugorzędne, inne zaś zadanie i prace za ważniejsze od robienia pieniędzy.

Po ukończeniu Harvardu w 1880 roku, zacząłem zajmować się politycznemi sprawami. Ale, tak samo wtedy jak i dziś, sądzę, że nikt nie powinien obierać polityki za jedyny swój zawód. Jest to prawdziwym nieszczęściem, jeżeli kto nabierze przekonania, że jego jedyne zajęcie, szczęście i cel życia złączone są z urzędowym stanowiskiem. Z takim przekonaniem nie będzie mógł służyć pożytecznie krajowi, mając urzędowe stanowisko, które będzie go zmu-

szało do naginania swych przekonań dla utrzymania się na urzędzie. Każdy powinien mieć inny jeszcze zawód — ja miałem ich kilka — do którego może powrócić, gdy go wyrzucą z zajmowanego urzędu, lub gdy sam uzna za konieczne uczynić to, za co musi zostać wyrzucony — chyba że zgodziłby się utrzymać na stanowisku kosztem swego sumienia.

W owym czasie — 1880 r. — młody człowiek, tak jak ja wychowany i z takiemi przekonaniami, mógł wstąpić jedynie do stronnictwa republikańskiego, co też i ja uczyniłem. Nie było to jednak tak zupełnie proste. Stronnictwa były uważane jako stowarzyszenia prywatne i w każdym okręgu tworzyły rodzaj klubów społecznych i politycznych. Każdy członek musiał być przedstawiony i wybrany przez swój klub, jak zwykle bywa. Lecz dostanie się do stronnictwa było dość trudne.

Zostałem członkiem dwudziestego pierwszego okręgu Republikańskiego stronnictwa w Nowym Jorku. Członkowie tego klubu, najlepiej mi znani, byli ludźmi kulturalnemi, zamożnemi i wykwintnych upodobań. Kiedy jednak zacząłem się zapytywać, w jaki sposób mógłbym się dostać do miejscowego *Republikańskiego Stowarzyszenia*, moi znajomi — wielcy przemysłowcy i prawnicy — wyśmieli mnie; mówili że politykowanie „zeszło na psy"; że w tych organizacjach nie biorą udziału „gentlemanowie"; że uczęszczają tam tylko szynkarze, konduktorzy tramwajowi, i t. p.

Odpowiedziałem na to, że jeżeli tak jest, to ci ludzie, z któremi mam stosunki, nie mają

udziału w rządach, a tamci inni mają udział. Ja zaś chcę dostać się do rządów, a jeżeli orzech okaże się zbyt twardy do zgryzienia, mogę się wycofać z tego interesu, ale nie chcę się cofać, dopóki nie sprobuję i nie przekonam się, że jestem za słaby, ażeby stawić czoło brutalnej ciżbie.

Klub republikańskiego stowarzyszenia, którego zostałem członkiem, odbywał posiedzenie w Morton Hall; wielkiej, podobnej do spichrza sali, nad szynkownią. Umeblowanie było w surowym stylu; ciemnym materjałem obite ławki, spluwaczki; w głębi estrada, na niej stół, krzesło i wielki dzban na wodę z lodem, a na ścianach wizerunki jenerała Granta i T. Mortona, [illegible] wspaniałomyślności zawdzięczaliśmy salę.

Posiedzenia odbywały się regularnie dwa razy na miesiąc, a pozatym sala służyła za miejsce zebrań klubowych. Chodziłem często, chcąc ludzi przyzwyczaić do mego widoku i samemu oswoić się z niemi, aż wreszcie zaczęliśmy rozumieć się wzajemnie. Niełatwo jest stworzyć sobie sposobność, lecz każdy powinien umieć skorzystać ze sposobności, która mu się nadarza. I to właśnie udało mi się, dzięki uczęszczaniu do Morton Hall. Zaznajomiłem się z „grubemi rybami“ i z mniejszemi „płotkami“. Główny dowódca, Jake Hess, traktował mnie uprzejmie, lecz chłodno. Członkami byli też wybitni prawnicy i przemysłowcy, lecz rzadko przychodzili na zebrania. Pracowali na innych polach, a tu kierownictwo pozostawiali w rękach Jake Hissa, jego dziesiętników i setników.

Z pomniejszych przywódców zaprzyjaźniłem się był z Joe Murrayem, a ta przyjaźn przetrwała przez trzydzieści trzy lata i trwa dotąd. Murray urodził się w Irlandji, lecz mając cztery lata przyjechał z rodzicami i—jak się sam wyrażał — „biegał boso po Piątej Alei". Mając lat osiemnaście zaciągnął się do armji Potomaku i wziął udział w Kampanji, która zakończyła wojnę domowę. Powrócił do Nowego Yorku, a że był odważny, silny, energiczny, śmiały i bezwzględny, wysunął się wkrótce na stanowisko przywódcy. W tych czasach i w tym okręgu polityka była ciężką robotą, a Tammany Hall*) dzierżyło niepodzielnie berło w wyborczych zabiegach. Cały okrąg był przeważnie demokratyczny, i Joe ze swemi towarzyszami prowadził robotę na rzecz demokratycznego przywódcy, który miał wynagrodzić ich potym. Ale ten przywódca—jak się często zdarza przywódcom—nadęty pychą, zapomniał o pomocnikach, którym zawdzięczał zwycięstwo. Po wyborach za ciężką ich pracę zapłacił niewdzięcznością i nie dotrzymał danych obietnic. Liczył na to, że urazy skończą się na pogróżkach i wymysłach.

Ale Joe Murray nie zapomina urazy. Wytłómaczył swoim ludziom, że trzeba siedzieć cicho i objawił im swój plan. Czekali więc cierpliwie do następnych wyborów. A wtedy postanowili rzucić swoje głosy do przeciwnego obozu i oddali je kandydatom republikaninów. Dopilnowali —

*) Organizacja, która przeprowadza swych kandydatów na wyborach, nie przebierając w środkach. (p. H.).

z godną Rzymian sprawiedliwością — ażeby republikanom nie stała się krzywda przy ostatecznych obrachunkach i wywarli srogi nacisk na swych przeciwników, a że sami stanowili żywioł twardy i wojowniczy, sprawiedliwość odzyskała odrazu swe prawa. Kogo należało — głaskali, innych onieśmielili i wysunęli nazwisko republikańskiego kandydata, z czego wynikło, że okrąg, który zazwyczaj dawał ledwie 2% do 3% republikanom, rozpadł się na dwie równe połowy.

Dla Murraya było to poprostu wymierzeniem sprawiedliwości za doznaną krzywdę. Ale przywódcy w głównej kwaterze republikanów, ochłonąwszy z pierwszego zdumienia, zaczęli badać, co to znaczy. I dowiedzieli się, czyja to robota. Wezwali więc Murraya do siebie. Sala, w której go przyjęli, podobna była do Morton Hall i ludzie pokrewni tamtejszym przywódcom, lecz Murrayowi wydało się, że walczą oni o wyższą cywilizację, o postęp, o uznanie i wynagrodzenie zasługi — jednym słowem o to wszystko, czego pragnąć może młodzieniec, pełen zapału. Przyjął go tam i poklepał po plecach człowiek, który w tych kołach był wybitną osobistością. Przedstawił zgromadzonym Murraya jako młodzieńca obdarzonego zaletami, rokującemi dużo na przyszłość, i dał mu miejsce w biurze pocztowym.

Dla marnego człowieka to wszystko nie znaznaczyłoby nic. Ale dla takiego, jak Joe Murray, stanowiło wiele. Bo był on uczciwy, odważny i prawy, jak rzadko się zdarza; można mu było zaufać w każdym wypadku, gdzie potrzeba od-

wagi, prawości i dobrej wiary. Kiedy się z nim poznałem, zaczynał już wybijać się na wierzch, czego dowodem namacalnym było posiadanie pierwszorzędnego wyścigowego kłusaka.

Podczas tej zimy poznałem i polubiłem Murraya i jego ludzi.

Następnej jesieni, gdy zbliżały się nowe wybory, Joe postawił mnie jako kandydata do „Zgromadzenia“ które stanowi rodzaj Izby niższej w obec „Ciała Prawodawczego“. Zwyciężył. Nie ja prowadziłem walkę wyborczą, ale on—i jemu to zawdzięczam wejście na widownię polityczną. Nie miałem wówczas ani wyrobionej opinji, ani zręczności i nie byłbym nawet próbował szczęścia przy wyborach.

Jake Hess i Murray chcieli zrazu przedstawić mnie wyborcom w szynkowniach Szóstej alei, ale ta próba skończyła się na tym, że przedstawiono mnie uroczyście jednemu szynkarzowi — bardzo ważnej osobistości. Działo się to w czasach, gdy jeszcze szynkarze nie byli zaprzedanemi dłużnikami właścicieli browarów. Szynkarz zaczął mnie badać, przybierając ton taki, jak gdybym przychodził prosić o jakąś łaskę. Powiedział, że nie wątpi, iż będę popierał sprawę handlu trunkami, na co odpowiedziałem mu niezbyt serdecznie, że mam zamiar popierać jednakowo cały handel. Mówił potym, że uważa opłaty handlowe za zbyt wygórowane, na co odrzekłem, że, według mego zdania, są one za nizkie i że będę dążył do ich podniesienia. Rozmowa nasza zaczynała grozić burzą. Panowie Hess i Murray pod wymyślonym naprędce pozorem wyprowa-

dzili mnie na ulicę i tam Joe Murray wytłumaczył mi, że nie mam po co dłużej bawić w Szóstej alei i lepiej będzie, gdy powrócę do Piątej alei, a oni sami dopilnują już moich interesów w Szóstej. Ostatecznie zostałem wybrany imponującą większością głosów.

W początkach Joe Murray śledził bacznie, czy powodzenie nie rozwinęło we mnie pychy i czy nie uczynię tak, jak uczynił przedtym jeden z jego protegowanych, który po wyborze stał się zupełnie niedostępnym dla śmiertelników z Morton Hall. Ale gdy Murray przekonał się, że nie mam zamiaru iść śladami mego poprzednika, zajął stanowisko jak najprzyjaźniejsze. Zrozumieli wszyscy, że jestem obcy wszelkim intrygom i mam jeden tylko cel — zrobić jak najwięcej dobrego na moim stanowisku w Zgromadzeniu Prawodawczym. Oni zaś pragnęli tylko tego, by mi się powiodło i popierali mnie serdecznie i z zapałem. Wchodząc na widownię polityczną, nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, czy robię to dla dobra innych; wiedziałem tylko, że zdobywam dla siebie przywilej, do którego mam prawo na równi z innemi. Przebijało się to w moich stosunkach z temi ludźmi.

Moi nowi przyjaciele zachowywali się z początku względem mnie z chłodną uprzejmością, która następnie przeszła w przyjazne poparcie. Z czasem wywiązało się między nami uczucie koleżeństwa, które potym postawiło mnie na ich czele. Nie potrzebuję chyba mówić, jak silnie jestem przekonany, że każdy powinien mieć poczucie przyjętych zobowiązań w polityce; że po-

winien uważać za obowiązek pomagać każdej słusznej sprawie, i walczyć o polepszenie warunków, w jakich żyją jego bliźni, mniej od niego szczęśliwi. Ale, oprócz tego, powinien czuć się naprawdę towarzyszem tak mężczyzn, jak kobiet, pracujących dla tej samej sprawy, bo bez tego koleżeństwa i wspólności w pracy, na stopie równości z innemi i w jednym wspólnym celu, niepodobna utrzymać stosunków przyjacielskich i swobodnych. Ludzie odczuwają ton opiekuńczej wyższości jak zniewagę. Nikomu nie jest przyjemnie czuć, że ktoś wysila się na świadczenie mu dobrodziejstw, kiedy oni wszyscy chcą z nim pracować dla wspólnego dobra.

Według mego zdania tylko ten może być pożytecznym pracownikiem w naszej amerykańskiej demokracji, kto ma żywe odczucie zrozumienia i sympatję dla swych współobywateli, bez względu na to, jakiego są wyznania i z jakiego pochodzą kraju, byleby tylko przejęci byli amerykańskim duchem.

Wybrany zostałem do Zgromadzenia Prawodawczego w jesieni 1881 r. Byłem najmłodszym ze wszystkich członków. Po dwuch latach wybrano mnie powtórnie. Jak wszyscy młodzi i niedoświadczeni ludzie, miałem wielką trudność z przemawianiem. Jeden ze starszych, a rozumnych ludzi, dał mi wtedy mądrą radę, z której skorzystałem: „Nie zaczynaj mówić, dopóki nie jesteś pewny, że masz coś do powiedzenia, i dopóki nie wiesz dokładnie, co masz powiedzieć. Wypowiedz jak najkrócej, co chciałeś powiedzieć i siadaj napowrót na miejsce“.

Pierwsze dni mego pobytu w Zgromadzeniu Prawodawczym podobne były do życia chłopca w obcej szkole. Moi koledzy i ja, patrzyliśmy na siebie nieufnie. Każdy z nas wybierał sobie miejsce, każdy z początku szedł za przewodnictwem doświadczonego jakiegoś weterana, lecz już po kilku tygodniach, zaczynaliśmy się grupować według wzajemnych sympatji. Zgromadzenie składało się przeważnie z Demokratów, ja zaś byłem Republikaninem z dzielnicy „jedwabnych pończoch", z najbogatszego okręgu Nowego Yorku. Mianowano mnie — jako jednego z członków mniejszości — do Komitetu. Było to stanowisko bardzo pożądane. Nie zabiegałem o nie wcale i wybór mój przypisuję temu, że uznano mnie za odpowiedniego do tego zadania.

Przyjazne stosunki zawiązywały się tam nie według przynależności partyjnej, lecz według wspólności przekonań i zasad.

Moim najlepszym przyjacielem przez trzy lata pobytu w Zgromadzeniu był Billy O' Neill, z Adirondacks, właściciel małego sklepiku. Był on młody, o parę lat zaledwie starszy odemnie, a mandat swój zdobył przebojem. Postanowiwszy dostać się do Zgromadzenia zaprzągł do wózka, zaczął objeżdżać cały okrąg, odwiedzając wszystkich wyborców i bez niczyjej pomocy został wybrany. Jest w amerykańskich tradycjach coś nawskroś demokratycznego, pomimo wszystkich naleciałości i wad. W każdym innym kraju dwaj ludzie z tak odmiennych środowisk nie zbliżyliby się łatwo. Ja przybyłem z największego miasta w Ameryce i z najbogatszej dzielnicy tego mia-

sta, a on z zapadłego kąta, jako właściciel sklepiku na rozstajnych drogach. Małoważne szczegóły — dzieliły nas. Ale w sprawach ważnych mieliśmy jednakowe przekonania; poglądy nasze były zupełnie takie same i przez całe trzy lata szliśmy ręka w rękę we wszystkich walkach parlamentarnych.

Miałem też blizkich przyjaciół między Republikanami—i wśród Demokratów również, jak naprzykład Toma Welcha z Niagary, który zasłużył się krajowi, wyjednawszy u rządu urządzenie miejskiego parku przy wodospadach Niagary i to pomimo trudności, stawianych przez pierwszego gubernatora, któremu przedstawiliśmy ten projekt.

Kiedy poraz pierwszy wstąpiłem na arenę polityczną, *city* w Nowym Yorku była pod wpływem Tammany Hall, któremu niekiedy przeciwstawiały się demokratyczne organizacje w *city*. Przedajność nie doszła jeszcze była do tego stopnia co później, kiedy stojące zewnątrz osobistości zaczęły kierować członkami Zgromadzenia Prawodawczego jak marjonetkami. Nie miałem nigdy w ręku urzędowych dowodów przedajności, mogę więc mówić o tym tylko w przybliżeniu. Ale trzyletnie doświadczenie przekonało mnie, że w Zgromadzeniu zasiadają ludzie przedajni i że tych przedajnych członków jest mniej więcej trzecia część; ale że uczciwych jest więcej niż przedajnych i że—gdyby udało się przekonać ich, co jest sprawiedliwe, a co nieuczciwe—możnaby liczyć na ich pomoc. Lecz najgorsze było to, że nikt tego nie rozumiał. Przedajni

członkowie, tak zwani „czarni jeźdźcy“, rej wiedli w Zgromadzeniu.

Walka, jaką wypowiedzieliśmy im, gdy zarząd kolei napowietrznej postanowił przeprowadzić prawo o obniżeniu do połowy opłat, składanych miastu, prowadzona była głównie przez Michała Costello i przezemnie.

W sprawie innego zatargu z zarządem potężnego towarzystwa kolejowego zetknąłem się raz jedyny z wielkim przemysłem, gdym szukał dowodów winy pewnego sędziego. Został on wzięty za narzędzie przez ludzi, mających udział w kilku wielkich przedsiębiorstwach w owym czasie. Wpadła nam w ręce korespondencja jednego z tych panów z sędzią, który okazał gorszącą skwapliwość zużytkowania swego urzędowego stanowiska według życzenia jednego z „Królów Przemysłu“. Nie zapomnę nigdy jednego wyrażenia w liście tego sędziego. Pisał on tak: „Gotów jestem posunąć się do ostatecznych granic sędziowskiej władzy „dla poparcia waszych interesów“. Najciekawszym w tej sprawie było to, że nie mieliśmy pewności, by ten sędzia był przekupiony. Może był przedajny, ale — o ile mi się zdaje — głównym powodem jego postępowania (oprócz wrodzonej gruboskórności pod względem moralnym) była naiwna, niepojęta — mimo że tak często spotykana — cześć dla posiadaczy olbrzymiej fortuny. Uważał, że prawodawca i wykonawcy powinni czynić wszystko dla korzyści wielkiego przemysłu, a im większe przedsiębiorstwo, tym goręcej pragnął mu służyć. Walczyliśmy wtedy mężnie — *my* — to jest około czterdziestu

członków Zgromadzenia, ale mieliśmy przeciw sobie „czarnych jeźdźców", poczciwych tchórzów i ociężałych konserwatystów.

Podczas mego pobytu w Zgromadzeniu broniłem wciąż uczciwości, taktu i pożytku władzy prawodawczej i administracyjnej. Wysiłki te były konieczne dla zdobycia rządów uczciwych i sprawnych. Ale niedostatecznie rozumiałem wtedy charakter tych walk, wszczynanych wprawdzie często pod nieudolnym dowództwem, lecz prowadzonych dla wywalczenia sprawiedliwości w sprawach społecznych i przemysłowych. Nie można mnie jednak o to winić. Nawet dobrzy obywatele, których znałem, a pochodzący z ubogich warstw, jak mój przyjaciel, Billy O'Neill, nawet oni nie rozumieli doniosłości reform, koniecznych wobec zmieniających się warunków. Ich poglądy, tak samo jak i moje, były ciasne, choć uczciwe.

Nie uznawaliśmy żadnej powagi. Odkrywszy nieuczciwość, wypowiadaliśmy jej wojnę, bez względu na to, czy winnemi byli ludzie wielcy, czy mali. Więcej odwagi potrzeba nam było do *jawnego* wystąpienia przeciw masom roboczym, kiedy szły błędną drogą, niż przeciw kapitalistom. Krzywdy, wyrządzane tym masom i usługi, oddawane kapitalistom, dokonywują się zwykle przy drzwiach zamkniętych. I często tylko ten, kto ma odwagę wystąpić jawnie przeciw robotnikom, gdy błądzą, zdobędzie się również na odwagę wywalczenia im skutecznych ulg w tych razach, gdy ich żądania są słuszne. Przekonywaliśmy się nieraz, że ci właśnie, którzy dowodzili publicznie, iż masy robocze *zawsze* mają słusz-

ność — w prywatnym życiu nie dawali żadnej rękojmi bronienia robotników wtedy, gdy rzeczywiście słuszność była po ich stronie. Szerokogębny obrońca „praw ludu", który napada tylko na występki, idące w parze z bogactwem i który nie zdobędzie się nigdy na potępienie występków, spełnianych, rzekomo, dla dobra mas roboczych, ma zwykle znikczemniałą duszę lub umysł nadwerężony, i żaden uczciwy człowiek nie może mu ufać. Właśnie ta pogarda, jaką budzili demagogowie, przeszkodziła nam, którzy w głębi duszy mieliśmy uczciwe zamiary, do popierania rządowej opieki nad związkami robotników i urzędowego pośrednictwa w ich sprawach.

Zdobyłem też wówczas jedno pożyteczne doświadczenie. Przedstawiono nam bill, zabraniający wyrabiania cygar w domu. Naznaczono mnie i dwuch innych członków do zebrania warunków, w jakich odbywa się ten wyrób w domach i przekonania się, czy proponowany bill jest słuszny. Jeden z moich towarzyszów nie interesował się wcale tą sprawą i poufnie wyznał mi, że nie uważa billu za słuszny, ale będzie głosował za nim, gdyż w jego okręgu związki robotnicze są silne i zobowiązały go do poparcia billu. Drugi mój kolega sportsman, protegowany przez Tammany Hall, który wkrótce porzucił polityczną widownię dla wyścigowego pola — był bardzo dobry chłopiec. Ten powiedział mi szczerze, że będzie głosował przeciw billowi dla ważnych wpływów, z jakiemi musi się liczyć, ale że ja, jako człowiek zupełnie niezależny, jeżeli zechcę zbadać tę sprawę, zapewne będę głosował

za billem. Ja sam, coprawda, nie wątpiłem, że będę przeciwnikiem billu i, zdaje się, że naznaczono mnie do komisji dlatego właśnie, gdyż wielce szanowni ludzie byli także przeciwni billowi. Przemysłowcy, rozmawiając ze mną, potrząsali głowami i dowodzili, że bill dąży do skrępowania wolności osobistej, gdyż zabrania ludziom tego, co chcą robić.

Jednak pierwsze moje wycieczki do domów robotniczych przekonały mnie, że — bez względu na teorje — zdrowy rozsądek nie pozwala głosować za utrzymaniem nadal tych warunków, jakie widziałem. Warunki te uniemożebniały robotnikom, mieszkającym w tych domach, wychowanie dzieci, przeznaczonych do obowiązków amerykańskiego obywatela. Zwiedzałem te domy raz z memi kolegami z komisji drugi raz z przedstawicielami Związków roboczych — a parę razy sam. Mało widziałem tam mieszkań o tyle obszernych, ażeby wyrób cygar mógł odbywać się nie w izbach, gdzie się gotuje jedzenie, gdzie śpią ludzie. Olbrzymia większość mieszkań składała się z jednej, dwuch lub trzech izb, których mieszkańcy zajmowali się wyrobem cygar—mężczyźni, kobiety i dzieci—pracując we dnie i w nocy, mieszkając, śpiąc i jedząc w tych samych izbach — często w jednej tylko jedynej. Zapamiętałem jedną taką izbę, w której mieszkały dwie rodziny. Na zapytanie, do której należy trzeci dorosły mężczyzna, odpowiedziano mi, że to *sublokator* jednej z rodzin! W tym jednym pokoju mieszkało kilkoro dzieci, trzech mężczyzn i dwie kobiety. Tytuń leżał wszędzie: na brudnych

łóżkach i po kątach, razem z resztkami jedzenia. Wszyscy, razem z dziećmi, pracowali w tym pokoju całe dnie do późnej nocy, sypiali tam i jedli. Byli to Czesi, nie znający angielskiego języka; tylko jedno z dzieci umiało tyle, że mogło służyć za tłumacza.

Zobaczywszy to wszystko, zamiast zwalczać bill, stanąłem w jego obronie. Gubernator ówczesny, Cleveland, wahał się, czy go podpisać. Związek robotników, wyrabiających cygara, prosił mnie, bym udał się do gubernatora i zajął się obroną billu. Uczyniłem według ich żądania i przemawiałem gorąco w obronie zgnębionych nędzarzy-cudzoziemców, którzy przedstawiali interesa Związku i robotników. Gubernator podpisał bill, ale w sądzie wyższej instancji został on obalony przez sędziów, którzy w swojej decyzji powołali się na „czystą atmosferę domową“ i jej dodatnie wpływy! Wtedy to — już nie poraz pierwszy — obudziły się we mnie wątpliwości, czy sądy mogą rozstrzygać o ulepszeniach społecznych i przemysłowych urządzeń. Sędziowie mieli jak najlepsze chęci, ale nie znali warunków życia w domach robotniczych, nie wiedzieli nic o potrzebach, życiu i pracy trzech czwartych części obywateli miasta. Znali oni tylko artykuły prawa, ale nie znali życia. Samo określenie „uzdrawiającej atmosfery domowej“ w odniesieniu do oburzających warunków, w jakich odbywał się wyrób cygar w mieszkaniach robotników, dowodzi, że sędziowie nie mieli pojęcia o tym, o czym zawyrokowali. Wyobrazić sobie tylko „uzdrawiającą atmosferę domową“ tam, gdzie w jednej izbie dwie

rodziny, z dodatkiem sublokatorów, mieszkają, jedzą i pracują! Wyrok sądu zahamował na długie lata reformę domów robotniczych w Nowym Yorku i przeszkadza jej dziś jeszcze. Był to jeden z najdotkliwszych ciosów, jakie kiedykolwiek poniosła sprawa postępu społecznego, przemysłowego i reform na tym polu.

Najważniejszą z reform, w których obronie walczyłem, była ta, która miała na celu nadanie szerokiej władzy urzędnikom, czyniąc ich zarazem odpowiedzialnemi przed narodem za sposób wykonywania władzy. Ale zabrano się do zwalczania jej w sposób zwykle używany. Przedajni i interesowani w tej sprawie członkowie Zgromadzenia przeciągnęli na swoją stronę bezmyślnych konserwatystów, podnosząc krzyk, że reforma dąży do zmian w konstytucji, a ci, co ją popierają, są to gwałtowni, bez sumienia radykałowie, lekceważący przeszłość narodu.

Podczas tych walk zastawiano niejednokrotnie sidła na wielu z nas, a gdybyśmy się byli w nie schwytali, cała nasza karjera polityczna obniżyłaby się nieodwołalnie. Bo nie może oddawać rzeczywistych usług krajowi w zawodzie politycznym, ani walczyć śmiało, ani występować bezwzględnie przeciw nadużyciom ten, kto ma w swoim życiu prywatnym słabe strony. Chcąc zwyciężyć, trzeba być człowiekiem bez skazy, móc spokojnie znieść przetrząsanie swego prywatnego życia i mieć prócz tego śmiałość i gotowość do zadania ciosu w odpowiedniej chwili i miejscu. A każdy, kto chce zwyciężyć, niech pamięta, że zbrodnię nie do przebaczenia

popełnia ten, kto uderza słabo. Nie uderzać bez koniecznej potrzeby—ale w żadnym razie i nigdy—*nie uderzać słabo.*

W czasie mojej trzyletniej pracy w Zgromadzeniu Prawodawczym postępowałem zawsze według przyjętej zasady. I ja i moi towarzysze stawaliśmy się dorównać ruchliwością i energją naszym przeciwnikom, choć staliśmy na dwuch przeciwległych krańcach.

Nie zawsze było łatwo utrzymać się na stanowisku ścisłej sprawiedliwości, zwłaszcza wtedy, gdy po jednej stronie stali przedajni, niesumienni demagogowie, a po drugiej również przedajni i niesumienni reakcjoniści. Staraliśmy się być wtedy „języczkiem u wagi“ między dwiema szalami, staraliśmy się zawsze stanąć po stronie słuszności, choćby nawet jej obrońcy nie byli uczciwi. Staraliśmy się ukrócić nadużycia kapitału, pomimo że uczciwi ludzie, bogacze, bronili tych nadużyć.

W owych czasach nie miałem ani sympatji, ani podziwu dla człowieka, dlatego że jest „Królem pieniężnym“, ani nie uznawałem majątku za dostateczny tytuł do uznania i szacunku, bez względu na inne strony charakteru. W większej części staczanych walk występowaliśmy tylko w obronie prostej sprawiedliwości i uczciwości, a walki te prowadzone bywały przeciw tym formom przedajności i nieuczciwości, jakie spotykało się częściej u demagogów, niż u obrońców sfer uprzywilejowanych.

Odgrywanie roli demagoga dla własnego interesu jest wiekuistym grzechem demokracji, tak

jak pochlebianie ludowi w tym samym celu jest głównym grzechem w sferach rządzących. Kto bierze dłużej udział w życiu politycznym Ameryki, jeżeli jest człowiekiem uczciwym i chce prawdziwie służyć krajowi, powinien uważać się tylko za narzędzie, potrzebne do czasu. Z chwilą, gdy spełni swoje zadanie, powinien ustąpić. Jeżeli człowiek ten jest rozsądny, uczyni to, co jest jego obowiązkiem, nie pytając, co mu przyszłość przyniesie. Niech mu wystarczy to, że dobrze spełnił swoje zadanie, a potym niech zrobi miejsce innym. I niech nie żałuje, że ci inni odegrają rolę ważniejszą i otrzymają większą nagrodę. Niech się zadowoli tym, że służył dobrze krajowi i utorował drogę tamtym, którzy dokonają jeszcze ważniejszych rzeczy.

IV.

W kraju cow-boyów.

Po pierwszej wycieczce na terytorjum Dakoty poza Red River, dopiero w 1883 roku objąłem w Little Missouri dwa *ranche* [1]): Chimney Butte i Elkhorn.

Były to w owym czasie *Dzikie Pola*—prawdziwy „Daleki Zachód", kraina opowieści Owena Wistera i szkiców Fryderyka Remingtona — Zachód Indjan, kraina łowów na bawoły, ojczyzna żołnierzy i zaganiaczy rogatego bydła. Ten „Zachód" znikł już—„znikł jak Atlantyda"—stał się krainą legiendową, pełną widm i zamierających wspomnień. Był to kraj wielkich rzek i niezmierzonych stepów, gdzie dzikie zwierzęta przyglądały się zdumione przejeżdżającemu jeźdźcowi;— kraj, zasiany rozrzuconemi zrzadka *ranchami* — stadami bydła o długich rogach — pełen nieustraszonych jeźdźców, którzy bez drżenia patrzyli w oblicze śmierci.

---

[1]J Osada, gdzie hoduje się bydło w stanie dzikim. (p. H.).

W tej to krainie wiedliśmy życie twarde i swobodne, z koniem i strzelbą. Pracowaliśmy pod palącemi promieniami słońca letniego, kiedy rozległe równiny drgały i mieniły się w rozpalonym powietrzu; zaznaliśmy udręczeń zimna, trzymając straż na koniu, przy bydle, podczas mroźnych nocy późną jesienią. W łagodne wiosenne noce patrzaliśmy, zasypiając, w niebo, iskrzące się gwiazdami, a w zimie jeździliśmy podczas oślepiających zadymek, kiedy gnany wichurą śnieg chłostał nasze twarze. Bywały dni nudy, gdy trzeba było pędzić stada bydła całemi godzinami jak najpowolniejszym stępem. Trafiały się też i chwile gwałtownych wzruszeń, gdy musieliśmy gonić i zatrzymywać spłoszone stada, lub przepędzać je przez zdradne rzeki, pełne ruchomych piasków, albo najeżone pływającemi krami. Zaznaliśmy trudu i braków—głodu i pragnienia. Widzieliśmy ludzi, ginących gwałtowną śmiercią przy pracy wśród koni i bydła — lub staczających między sobą śmiertelne walki. Ale za to czuliśmy w sobie pełnię życia, rozkosz uczciwego trudu i swobody.

Ten rodzaj życia skończył się bezpowrotnie, i tak się stać musiało, bo przyszłość i rozwój naszego kraju polega na jaknajwiększej liczbie drobnych osad. Olbrzymie, nieogrodzone płaszczyzny z epoki „wolnych pastwisk“ były tylko przemijającą formą w rozwoju naszej historji. Wielkie wędrowne stada owiec, strzeżone przez najemnych pasterzy, były pierwszemi wrogami hodowców bydła, a że zjadały doszczętnie trawę i niszczyły wszelką roślinność, nie przynosiły ko-

rzyści gospodarce krajowej. Ale osadnicy — ludzie, którzy zakładali na stałe swoje siedziby — ludzie, którzy budowali folwarki, zamieszkiwali w nich i wychowywali tam swoje rodziny, ci ludzie, ze stanowiska dobra kraju, przedstawiali najpożądańszy typ mieszkańców. Ich przybycie było zwiastunem upadku wielkich *rancho*, ale zmiana ta przyniosła korzyść krajowi i ogółowi, choć dla wielu z nas stała się klęską.

Po raz pierwszy przybyłem do Little-Missouri pociągiem kolei Northern-Pacific, około trzeciej nad ranem, w zimną noc wrześniową, w 1883 roku. W pobliżu stacji stał jeden tylko budynek, noszący znaną nazwę hotelu *Pyramid Park*. Przydźwigawszy mój worek barchanowy, dobijałem się do drzwi, dopóki nie zjawił się nachmurzony gospodarz, klnący pod nosem. Zaprowadził mnie na górę, gdzie dostałem jedno z czternastu łóżek w izbie, zajmującej całe piętro.

Nazajutrz powędrowałem do opuszczonego wojskowego posterunku i tam jakiś właściciel *rancha*, który przyjechał był na stację, zgodził się zawieść mnie do swego *rancha Chimney Butte*, gdzie mieszkał z bratem i wspólnikiem.

Na *ranchu* był dom z okrąglaków, z nieporządnym dachem—obok niego *corral**), a z tyłu domu gdakał i piszczał kurnik. Wewnątrz domu była tylko jedna izba, a w niej stół, kilka krzeseł, piecyk do gotowania i trzy łóżka obozowe. Właścicielami *ranchu* byli Sylwan i Józef Ferrisowie, oraz William Merrifild. Wszyscy trzej później,

*) Zagrodzenie, w które spędza się bydło. Nazwy zarówno *corralu* jak *rancha* są hiszpańskie.

za czasów mojej prezydentury, piastowali rozmaite urzędy. Merrifield w Montanie, Sylwan Ferris w Północnej Dakocie, a Józef Ferris w Medorze. Na *ranchu* mieliśmy jeszcze jednego towarzysza, Jerzego Meyera.

Pierwszego zaraz wieczora zabawialiśmy się grą przy stole, lecz przerwała nam zabawę straszna wrzawa w kurniku, do którego zakradł się jakiś zwierz drapieżny.

Po skończeniu polowania na bawoły z Józefem Ferrisem, zawarłem wspólkę z Mierrifieldem i Sylwanem Ferrisem i założyliśmy razem nowy *ranch* dla hodowli bydła, pod godłem Maltańskiego krzyża. Przez kilka lat następnych ci czterej ludzie byli memi nierozłącznemi towarzyszami. Żyłem z nimi i pracowałem na *ranchu,* i z wielu takiemi, jak oni. Sprowadziłem też ze stanu Maine dwuch dawniejszych towarzyszów, Sewalla i Dowa, by założyć drugi *ranch*, Elkhorn, któremu dałem godło: *łosi róg i trójkąt.*

Nie wyobrażam sobie bardziej pociągającego życia dla młodego człowieka w pełni sił i zdrowia, niż życie na *ranchu* w owych czasach. Życie przyjemne i zdrowe—uczyło ono polegania na własnych siłach, hartowało na trudy, przyzwyczajało do szybkości w postanowieniach — jednym słowem uczyło wszystkich zalet, jakie wyrabia życie na otwartej przestrzeni. W całej pełni używałem rozkoszy tego życia. Po roku wybudowałem w Elkhorn, na *ranchu „pod łosim rogiem“*, długi, niski dom z ociosanych belek, z werandą; oprócz innych pokojów była tam sypialnia dla mnie wyłącznie, i bawialny pokój, gdzie stanął duży komi-

nek. Zdobyłem i fotel na biegunach (bardzo lubię takie fotele) i książek tyle, że wystarczyło na zapełnienie trzech półek — i gutaperkową wannę do kąpieli, a od tej chwili nie wiem, czy mógł kto mieć wygodniejsze życie. Mieliśmy płaszcze ze skór bawolich i skóry niedźwiedzie z naszego polowania. Utrzymywaliśmy w domu czystość — w najrozciąglejszym tego słowa znaczeniu. W dwuch, przynajmniej, pokojach było zawsze ciepło, nawet podczas najsilniejszych mrozów, a jedzenia zawsze obfitość. Zazwyczaj podstawę każdego posiłku stanowiła zwierzyna przez nas upolowana, najczęściej antylopa lub jeleń—niekiedy cietrzew albo kaczka, w rzadkich wypadkach — i to tylko w pierwszych latach — bawół albo łoś. Mieliśmy mąkę, słoninę, cukier, sól i konserwowane pomidory. A później, gdy pożenili się niektórzy z naszych towarzyszów i przywieźli żony, mieliśmy konfitury, marmelady z dzikich śliwek i jagód, kartofle, zasadzone w zaniedbanym kącie ogrodu. Mieliśmy także i mleko. Większa część mieszkańców *ranchu* w owych czasach była pozbawiona mleka. Zdarzały się *ranche*, gdzie było dziesięć tysięcy bydła, a ani jednej krowy, którąby można doić. Postanowiliśmy mieć więcej rzutności i zabraliśmy się do oswajania krów. Z początku szło to niezbyt pomyślnie, bo zamało mieliśmy cierpliwości i zamało czasu poświęcaliśmy temu zadaniu. Niewarto było gonić krowę parę mil, pędząc za nią galopem, chwytać ją na arkan, przewracać i krępować do każdego dojenia. Można to uważać za rozweselającą rozrywkę, lecz, korzyść z tego

niewielka. Zaczęliśmy więc stopniowo oswajać krowy, a gdyśmy oczyścili kraj z tchórzów i kojotów, hodowaliśmy więcej kurcząt.

Dom nasz stał na samym skraju wyniosłości, górującej nad szerokim, płytkim łożyskiem Małej Missouri, gdzie przez większą część roku sączyła się woda małym strumykiem; tylko podczas przyboru łożysko zapełniało się po brzegi kipiącemi, spienionemi, brudnemi wodami. Na jakieś dziesięć do piętnastu mil nie mieliśmy sąsiadów. Rzeka płynęła, zakreślając długie łuki, przez ciasne wąwozy, zamknięte szerokiemi, skalistemi ścianami; z równej porosłej drzewami lub trawą płaszczyzny, wyrastają tam niespodzianie chaotyczne szczyty, płaskowzgórza i grzbiety skaliste. Przed domem rosły gęsto drzewa bawełniane z szaro-zielonemi liśćmi, które drżały ustawicznie podczas najlżejszego wietrzyka. Od tych drzew dochodziło zdaleka smętne gruchanie gołębi, a małe sówki, kryjące się wśród gałęzi, nawoływały się nocą drżącemi głosami. W długie, letnie popołudnia, kiedy nie było zajęcia, siadywaliśmy po parę godzin na *piazza*, śledząc bydło na piaszczystych smugach i dziwacznie postrzępiony amfiteatr skał, wznoszących się na przeciwnym brzegu, a wielkie sępy latały, rzucając czarne cienie na białe piaski wyschłego łożyska rzeki. Niekiedy widywaliśmy jelenie, i nawet raz, gdym stał na *piazza*, udało mi się zastrzelić jednego.

W zimie, podczas surowych mrozów, kiedy wszystko śnieg pokrył białą warstwą, a zamarznięta rzeka stała nieruchoma w swym łożysku, połyskując, jak stal — nocami przechodziły po niej

wilki i ostrowidze, przeprawiając się na drugi brzeg, tuż pod domem, jakby to był zwyczajny gościniec. Czasami, późną jesienią, lub na początku zimy, po całodziennym polowaniu, czy w powrocie z zimowych obozowisk, dopiero w parę godzin po zachodzie dobijaliśmy się do *ranchu*, a wtedy, po mozolnej włóczędze na mrozie, z rozkoszą spostrzegaliśmy czerwony blask oświetlonych ogniem karminowym okien, odcinający się na tle śnieżystej pustyni.

Ranch *Elkhorn* zbudowali głównie Sewall i Dow, którzy, jak ogół mieszkańców Maine, władali dobrze toporem. Ja, jak na amatora, dziubałem nieźle, ale nie byłem w stanie zrobić nawet trzeciej części tego, co oni. Pewnego razu, gdy ścinaliśmy bawełniane drzewa, potrzebne do budowli, usłyszałem, jak ktoś pytał Dowa, ile ogółem jest drzew wyciętych? Dow — nie wiedząc, że jestem w pobliżu, odrzekł: — Ile? Bill ściął pięćdziesiąt trzy, ja czterdzieści dziewięć, a „głowa" spiłowała jak bóbr siedemnaście.

Ci tylko, którzy widzieli drzewa spiłowane przez bobry, potrafią ocenić właściwy charakter tego porównania.

Ludzie na ranchu spędzali połowę czasu poza domem, na objazdach. Było to zajęcie interesujące i pełne wrażeń, a gdyby nie brak snu podczas wiosennych i letnich objazdów, nie byłaby to nawet praca męcząca. W porównaniu z pracą w kopalniach, przy przewożeniu ciężarów lub w fabrykach żelaznych, jazda konna jest stosunkowo zajęciem lekkim. Nasze konie, naturalnie, żywiły się trawą i nie były kute. Każdy z nas

miał własnych dziewięć lub dziesięć. Jeden koń brany był do pracy rankiem, drugi popołudniu, a każdy z nich wypoczywał potym przez całe trzy dni. Osobny koń trzymany był w pogotowiu do nocnej jazdy.

Wiosenne i letnie objazdy, odbywały się głównie dla cechowania cieląt. W takich objazdach pracy było dużo—czasami i niebezpiecznej—ale nie brakło też i uciechy. Miejsce zebrania oznaczone bywało na parę tygodni przedtym, a wszyscy właściciele domków, objętych linją objazdów, przysyłali swoich przedstawicieli. W tych okolicach Zachodu, które znałem, nie było żadnych ogrodzeń, ale ich brak zastępowali cowboye i żelaza do cechowania. Bydło chodziło swobodnie. Każde cielę cechowano tym samym znakiem, którym była oznaczona krowa, idąca z nim. Czasami w zimie bywały, tak zwane przez nas, okólne jazdy, to jest rozkładano obozowiska, jeźdźcy jeździli na oznaczonej przestrzeni przez śniegiem pokrytą pustynię, od jednego obozu do drugiego, pilnując, ażeby bydło się nie wymykało. Ale nigdy nie zatrzymywało się bydła na jednym miejscu.

Na wiosnę następował ogólny objazd w każdej miejscowości. Każdy oddział objeżdżał swój własny okrąg, a potym wszystkie obwody w całej okolicy umawiały się o wysłanie swoich przedstawicieli na dwa lub trzy wielkie objazdy, obejmujące całą tę przestrzeń kraju, w której mogło się błąkać ich zbiegłe bydło. Naprzykład, nasz objazd nad małą Missouri zazwyczaj pracował w dół rzeki, na przestrzeni pięćdziesięciu do

Biblioteka par. św. Józafata w Warszawie przy ul. Powązkowskiej

sześćdziesięciu mil powyżej mojego *ranchu* w stronę gór Kildeer, i na takiej samej przestrzeni w przeciwną stronę. Prócz tego wysyłaliśmy od siebie jeszcze jeźdźców na objazd obwodu Yellowstone i na objazd nad górną Missouri, a jeżeli przyszła wiadomość, że bydło uciekło może w stronę indyjskich osiedleń na południo-wschodzie od nas, posyłaliśmy tam wóz i jeźdźca na poszukiwanie.

Na punkcie zbornym, zwykle w dolinie na pół wyschniętego strumienia, lub w szerokim, suchym łożysku samej rzeki, niekiedy nad kilkoma sadzawkami, pod dziwacznego kształtu pagórkiem, najwidoczniejszym punktem w całej okolicy, zjeżdżaliśmy się w dniu oznaczonym. Wozy z żywnością i pościelą—każdy zaprzężony w cztery konie, powożony przez kucharza oddziału—jechały za nami, turkocząc i szczękając na nierównym gruncie. Każdemu wozowi towarzyszyło od ośmiu do dziesięciu jeźdźców do łowienia bydła, a ich konie, w liczbie stu lub więcej, pędzili dwaj koniuchowie; jeden trzymał straż w dzień a drugi w nocy. Jeźdźcy smukli, muskularni chłopcy, przyzwyczajeni byli dosiadać koni pół dzikich i cwałować dniem i nocą w każdej okolicy.

Nosili oni flanelowe koszule, na szyi luźno zawiązane chustki, kapelusze z dużemi skrzydłami, buty na wysokich obcasach, zaopatrzone w brzęczące ostrogi, a czasami skórzane kamasze, lecz najczęściej spodnie, wpuszczone w buty z długiemi cholewami. Odbywały się ciągłe igrzyska konne, a jak zwykle tam, gdzie się zbierze dużo mężczyzn i młodzieży wyrobionej fizycznie,

te igrzyska przechodziły często w dzikość, że zaś ludzie mieli zawsze rewolwery przy sobie i zwykle znalazło się wśród nich paru doskonałych strzelców, nieraz kończyło się to wszystko strzelaniną. Tchórze i ci, którzy wykręcali się od roboty, miewali nieprzyjemne chwile: kto nie chciał znosić drwin i być wyszydzanym, a z drugiej strony ten, kto „szukał guza", mógł łatwo popaść w bójkę. Ale na zasadzie własnego doświadczenia mogę stwierdzić, że kto milczał, dopóki towarzysze nie poznali go bliżej i nie polubili, i jeżeli robił, co do niego należało, nie miał żadnych przykrości. Ja w moim obwodzie zaprzyjaźniłem się wkrótce z większą częścią towarzyszów. Lecz dostawszy się między obcych, musiałem przygotować się na to, że przez pierwsze dwadzieścia cztery godzin będę głuchy na uwagi rzucane mimochodem z powodu moich okularów, na żarciki z „czworga oczu", itp. Tylko jeżeli mój spokój był fałszywie zrozumiany, lepiej było odrazu wyjaśnić nieporozumienie.

Jeżeli kiedy wyprawiono mnie jako przedstawiciela obwodu dolnej Missouri na jakiś objazd w sąsiedztwie—naprzykład do Yellowstone—stosowałem zawsze dyplomatyczną zasadę, by nie wymówić ani jednego słowa, które nie jest konieczne. W takich razach przez parę dni musiałem jeździć samotnie na jednym koniu, poganiając przed sobą osiem lub dziesięć koni, z których jeden niósł moją pościel. Konie, idące luzem, najchętniej idą kłusem lub kurcgalopem; jeżeli więc ktoś pędzi je sam jeden, musi zatrzymywać się na noc wtedy, gdy konie mają już chęć paść

się, lub spać na tym samym miejscu do rana. W ten sposób podróż moja z obwodu dolnej Missouri do jakiegokolwiek miejsca zebrania nie trwała nigdy dłużej nad dwa dni, ale w nocy trzeba było spać jak można najkrócej.

Po przybyciu na miejsce wskazane starałem się zaraz odszukać wóz, dla mnie przeznaczony. Dostawszy się do wozu, zbierałem konie i meldowałem się dowódcy wozu, a jeżeli go nie było, to kucharzowi, albo też innemu równie dostojnemu osobnikowi, znajdującemu się w pobliżu i mającemu prawo wydawania rozkazów. Zazwyczaj zaczynał on od dzikich klątw i wymyślań za to, że mnie przeznaczono do jego wozu, ale było to zwykle tylko dla formy. Jeżeli usiadłem spokojnie i nie odpowiadałem nic, po chwili napewno zapytał, czy nie chcę jeść, na co właściwa etykieta nakazywała odpowiedzieć, że nie jestem głodny i że zaczekam do naznaczonej na posiłek pory. Naokoło wozu, na trawie, leżały porozrzucane posłania jeźdźców: kładłem moje dalej poza kołem, gdzie nikomu nie zawadzałem, a przy posłaniu umieszczałem moje żelaza do cechowania.

Ludzie zjeżdżali się, śmiejąc się i rozmawiając, zapewne pokazując mnie sobie. Jeden z jeźdźców, zwykle przewodnik wozu, zadawał mi parę pytań, np.: jakie żelaza do cechowania przywiozłem, ale poza tym nikt do mnie nie mówił, ani mnie nie wypadało rozpoczynać rozmowy. Na wieczerzę dawano słoninę, chleb i czasami wołowinę; raz udało mi się zjednać łaski towarzyszów na samym wstępie, gdyż przywiozłem dwie antylopy, upolowane w drodze. Po wiecze-

rzy starałem się jaknajprędzej ułożyć na posłaniu, gdy inni bawili się i rozmawiali.

Nad ranem, około trzeciej, na odzew kucharza wszyscy zrywali się śpiesznie. Ubranie trwało krótko. Każdy zwijał i związywał sznurem swoje posłanie, a jeśli kto tego nie zrobił, kucharz zostawiał na miejscu jego pościel i trzeba było obchodzić się bez niej do końca wyprawy.—Potym każdy szedł do ognia, brał cynowy kubek, cynowy talerz, nóż i widelec, nalewał sobie kawę, brał co było do zjedzenia i zjadał stojąc, albo przysiadłszy na ziemi, jak mu było dogodniej. Tymczasem robił się brzask, a tentent nieokutych kopyt zwiastował nadejście koni, pędzonych przez konnego strażnika. Dwuch ludzi przeciągało sznury od jednego wozu do drugiego i do tego zagrodzenia wpędzano konie. Każdy mógł łapać na arkan swojego konia, ale zwykle zostawiał go tylko najbieglejszym we władaniu arkanem, bo gdyby właściciel konia wziął się do tej roboty niezręcznie lub schwytał niewłaściwego konia, albo zarzucił na niego arkan w nieodpowiednim miejscu, całe stado mogłoby się rozpierzchnąć.

Po schwytaniu na arkan każdego konia, jeździec siodłał go, zakładał mu uzdę. Odbywało się to często z towarzyszeniem wierzgania i skoków opornych koni, zwłaszcza w pierwszych dniach objazdu. Wierzgania i opór były źródłem uciechy dla tych jeźdźców, których konie zachowywały się spokojnie; ironicznie dawali oni rady mniej szczęśliwym, ażeby nie „brali się do skóry“, czyli nie bronili się od upadku, chwytając się za siodło.

Jak tylko jeźdźcy powsiadali, cały oddział rozwijał się długą linją, zataczając koło; zwykle dowództwo nad jedną grupą obejmował kierownik rancha, dowodzący wozem z rozkazu kierownika całego objazdu. Trzymał swoich ludzi razem, dopóki nie odjechali na dziesięć do piętnastu mil od obozu, a potym rozsypywał ich dwójkami w rozmaite strony. Każda taka dwójka wracała do wozu, pędząc przed sobą napotkane po drodze bydło. Objazd ranny trwał zwykle sześć do ośmiu godzin, dopóki ludzie się nie wprawili— często i dłużej. Jeźdźcy ukazywali się pojedyńczo, po dwuch i po trzech. w różnych stronach widnokręgu, wśród obłoków kurzu, wzbijajacego się z pod racic bydła i cieląt, które pędzili. Paru ludzi zostawało na straży przy bydle, reszta zmieniała konie, zjadała śpiesznie obiad i wyruszała na popołudniową robotę.

Dwuch jeźdźców posyłano kolejno do stada, podczas gdy reszta zmieniała konie; posłany musiał oddzielić krowy, nacechowane własnym stemplem, od innych, które spędzano, a za któremi biegły niecechowane cielęta; musiał oddzielić również buhaje i niecechowane roczniaki. Kierowaliśmy łagodnie każdą sztukę na sam koniec stada, a potym, nagłym ruchem, oddzielaliśmy ją galopem. Zazwyczaj każde zwierzę rozpaczliwie usiłowało wrócić i połączyć się ze swoim stadem. Trzeba było galopować na złamanie karku, zawracać i zaganiać, zanim udało się przeszkodzić temu zamiarowi i zagnać je do reszty oddzielonych bydląt, których pilnowało kilku ludzi. Bydło nienawidzi samotności, więc trudno było utrzymać

pierwsze oddzielone sztuki, ale kiedy zebrała się już gromada, stado stało spokojnie, zupełnie zadowolone.

Po skończonym oddzielaniu rachowaliśmy cielęta, a każda przygoda „pogromców", to jest tych, którzy chwytali, przewracali na ziemię i trzymali każde cielę, złapane na arkan przez konnego, wywoływała uciechę i śmiechy. Zwierzęta, prowadzone do zabrania przez objazd, spędzano potym razem i zostawiano pod strażą kilku dozorców, my zaś wracaliśmy do wioski na wieczerzę i nocleg.

W tym okresie byłem już zwykle przyjęty do grona towarzyszów i nie uważano mnie już za obcego; towarzysze zachowywali się z dobrotliwą pobłażliwością nawet względem moich okularów. Dowódca nasz naznaczał ludzi na nowe straże, a czasem czynił to kierownik całego objazdu. Naznaczony umiał przez dwie godziny trzymać straż, która trwała od ósmej wieczorem do czwartej rano. Najpożądańsze były godziny pierwsze i ostatnie, gdyż sen nie był wtedy przerywany. Jeżeli wszystko szło dobrze, bydło układało się zaraz do snu i spokój trwał do rana, kiedy rozpoczynała się praca na nowo. Wozy przejeżdżały codzień około ośmiu mil, dążąc do naznaczonego na obozowanie miejsca.

Każdy jeździec przywiązywał do wozu wierzchowca, przeznaczonego do nowej roboty, a do tego wybierał najspokojniejszego konia, gdyż siodłanie i jazda na „kapryśnym" koniu w nocy nie należy do przyjemności. Dla zmęczonych jeźdźców, ciężkie było to zadanie trzymać w no-

cy straż przy stadzie, jeżeli bydło dokazywało, ale w spokojne noce dwugodzinna warta w ciszy i ciemności była nawet przyjemna. Samotność pod gwiaździstym niebem—cisza, w której rozlegał się tylko oddech zwierząt — wytężona czujność i myśl o tym, co może się zdarzyć w nieprzebitych cieniach nocnych, wszystko to razem dodawało uroku i zajęcia. Wkrótce wyróżnialiśmy sztuki bydła obdarzone wybitnym indywidualizmem, te które przewodziły innym w złośliwych psotach; uczyliśmy się poznawać cechy wspólnie wszystkim i te niewytłumaczone ruchy, około północy, kiedy całe stado podnosi się, każda sztuka okręca się w koło na miejscu i układa się napowrót do snu. Ale pod koniec straży każdy już zbadał wszystkie te osobliwości i zaczynał odczuwać nudę, wyczekując z upragnieniem zluzowaania go przez innych. Nowoprzybyły musiał zaczynać od początku i nieraz najbłahsze szczegóły narażały go na wielki kłopot.

Pewnej nocy, w początkach mojej karjery, niedowiedziałem się ścisle w którą stronę mam jechać do stada. Noc była ciemna, choć oko wykol. Odrazu zmyliłem kierunek i nie mógłem trafić ani do stada, ani do wozu. Dojechałem dopiero o samym wschodzie słońca. Zostałem powitany z głęboką pogardą przez niecierpliwego, który musiał stać na straży dwa razy dłużej, dlatego że nie przyjechałem go zwolnić.

Miałem i inne przygody, wynikłe bez mojej winy. Zwykle ludzie, trzymający w nocy straż, objeżdżali stada w przeciwnych kierunkach, nawołując się i śpiewając, jeżeli bydło objawiało

niepokój, dla uspokojenia go. Ale czasem coś nieprzewidzianego wywoływało popłoch, bydło uciekało cwałem, a wtedy strażnicy obowiązani byli trzymać się razem ze stadem, dopóki można i starać się zapanować nad nim.

Jednej nocy zerwała się wielka burza i my wszyscy, śpiący przy wozach, powstawaliśmy spiesznie i podążyliśmy na pomoc nocnym strażnikom. Nagle rozległ się przerażający grzmot, piorun uderzył w pobliżu stada i bydło uciekło, zadarłszy w górę rogate łby i ogony. Przez chwilę nie mogłem nic rozróżnić w ciemności, oprócz czarnych zarysów bydła, biegnącego ze wszystkich stron i gdyby mój koń był się potknął, nadbiegające z tyłu zwierzęta byłyby mnie napewno stratowały. Potym stado rozdzieliło się i jedna część zawróciła na lewo, a druga popędziła prosto przed siebie—ja razem z nią. Usiłowałem doścignąć cielęta, biegnące na czele—te, które prowadziły stado—i zawrócić je, kiedy nagle rozległ się groźny plusk przedemną. Majaczące niewyraźnie w ciemnościach postacie zwierząt pędzących na czele i z boku znikły, a za niemi ja sam z koniem wpadam z wybrzeża do wody. Pochyliłem się na siodle i otóż mój koń zrazu zanurzył się głęboko, wydostał się jednak na powierzchnię i zaczął z wysiłkiem płynąć, przebierając się przez wodę i ruchome piaski, ku przeciwległemu brzegowi. Wtedy dopiero spostrzegłem drugiego *cow - boya*, jadącego przy tym samym, co i ja, stadzie, iecz wkrótce straciłem go znowu z oczu. Cwałowałem tęgim galopem po równinie, porosłej bawełnianemi drzewami i zatrzymałem tę część stada która

ze mną została, ale wkrótce spłoszone zwierzęta zawróciły i wpadły znowu na mnie, a powtarzały to dwa razy. Dopiero nad ranem reszta, która pozostała, zatrzymała się w biegu.

Deszcz padał gwałtowny dosyć długo. Zsiadłem z konia i oparłem się o drzewo, ale niezadługo djabelskie bydło puściło się znowu cwałem, a ja za nim. Po drodze spotkałem *cow-boya*, pieszo dźwigającego na głowie siodło. Był to mój towarzysz ostatniej nocy. Koń jego w pędzie wpadł na drzewo i zabił się na miejscu, ale jeźdźcowi nic się nie stało. Nie mogłem mu nic pomóc, bo musiałem sam gnać dalej za bydłem. Kiedy nareszcie przypędziłem je do wozu, ludzie wyznaczali właśnie na wielki objazd. Jeden z nich osiodłał więc innego konia, a ja zjadłem spiesznie śniadanie i wyruszyłem na dzienną robotę.

Ponieważ bydło w połowie nocy zostało spędzone napowrót, objazd był wyjątkowo uciążliwy, gdyż dopiero w dziesięć godzin powróciliśmy do wozu. Zmieniliśmy tylko konie i objeżdżaliśmy całe stado jeszcze po zachodzie słońca, dopóki ciemności nie przerwały nam roboty. W tym wypadku spędziłem blisko czterdzieści godzin na siodle, zmieniając przez ten czas pięć razy konia, a zmoczone ubranie wyschło doszczętnie na mnie. Na szczęście ci, którzy wrócili późnym rankiem i przespali się tylko trochę w dzień, zwolnieni zostali z nocnego dyżuru przy stadzie, więc mogliśmy spać do czwartej rano. Na objazdach zwykle nikt nie może wyspać się dowoli.

W tym jednym wypadku spędziłem był najdłuższy czas na siodle, ale, jak wspomniałem,

zmieniałem pięć razy konie, a jest to wielka ulga dla jeźdźca, gdy dostaje świeżego wierzchowca. Innym razem spędziliśmy z Sylwanem Ferrisem około szesnastu godzin na siodle, nie zmieniając konia i ujechaliśmy siedemdziesiąt do osiemdziesięciu mil przez ten czas. Objazd wtedy dotarł do oznaczonego miejsca nad dolną Missouri, gdzie musieliśmy jeszcze objechać wszystko bydło i dopiero potym powrócić na swoje miejsce.

W innym jeszcze wypadku, zdarzyło mi się spędzić z Merrifildem dwadzieścia cztery godziny na tym samym koniu. Ale wtedy nie jechałem prędko. Wracaliśmy wozem z myśliwskiej wyprawy w górach Big Horn. Konie u wozu były zmęczone, a nam sprzykrzyło się posuwać żółwim krokiem. Dojechaliśmy do okolicy, którą powożący znał dobrze, uznaliśmy, że można ją bezpiecznie opuścić i przelecieliśmy w ciągu jednej nocy tą przestrzeń, na której przebycie wóz spotrzebował trzy dni następne. Noc była księżycowa, pogodna, a jazda roskoszna. Cały dzień przedtym wlekliśmy się stępa, zmęczeni i spotniali. Po wieczery przespaliśmy się dwie czy trzy godziny i nasze dzielne koniki były raźne, jak zawsze. Było to we wrześniu. Gdyśmy wyjechali poza obozy obronnych ognisk, świeże powietrze wionęło nam w twarze. W jasnym świetle księżyca, a potym przy świetle gwiazd, cwałowaliśmy po bujnym stepie, mijając stada antylop i bydła z długiemi rogami, a gdy pierwsze czerwone promienie słońca zajaśniały na szczytach gór przed nami, zjeżdżaliśmy już w dolinę dolnej Missouri, gdzie stał nasz dom.

Nie nabrałem nigdy biegłości w zarzucaniu arkanu, a jeźdźcem byłem zaledwie średnim wobec wymagań mieszkańców *ranchu*. Każdy na *ranchu* zmuszony jeździć z konieczności i na złośliwych koniach, nie może uniknąć wypadków, więc i ja musiałem opłacić tę daninę, raz złamanem żebrem, drugi raz nadwerężoną łopatką. Lekarz był o setki mil, i w każdym wypadku, będąc na objeździe, musiałem pełnić moje obowiązki, o ile mogłem, dopóki uszkodzone kości nie zrosły się same. Ujeżdżałem, o ile można było, konie łagodnie i stopniowo, poświęcając na to dużo czasu, a wybierałem te, które wydawały się najpodatniejsze do ujeżdżania. I z temi końmi nie miałem nigdy trudności, ani wypadku. Ale często nie było czasu ani możności do tak pracowitego ujeżdżania wierzchowców. Mieliśmy całe stada koni, z których każdy był siodłany i dosiadany przedtym parę razy, ale mimo siodłania i parokrotnego chodzenia pod siodłem, wcale nie ujeżdżony. Każdy z nas kolejno mógł wybierać konia dla siebie, a ja, jako właściciel *ranchu*, miałem pierwszeństwo.

Kiedy byłem pierwszy raz na objeździe z Sylwanem Ferrisem, Merrifildem i Meyerem, każdy z nas wybierał sobie konie. Trzy lub cztery z tych, które mnie się dostały, nie były łatwe do jazdy. Musiałem wysilać się na opanowanie wierzchowca, udając zadowolenie, zimnym wczesnym rankiem, kiedy moi koledzy „*cow-boye*“ otaczali mnie naokoło, szczerząc zęby i czekając, kiedy gniada zrzuci na ziemię gospodarza. Było to może ćwiczenie korzystne, lecz dalekie od przyjem-

ności. Złamałem żebro, zrzucony przez konia na kamień — a obojczyk, gdym dosiadał wielką, narowistą szkapę, noszącą miano Ben Buttera. Szkapa rzuciła się ze mną na ziemię. Kiedyśmy się podnieśli, szkapa nie chciała wcale ruszyć, więc Sylwan Ferris i Jerzy Meyer zarzucili jej powrozy na szyję, i tak ze mną siedzącym na siodle— ciągnęli ją kilkaset kroków. Koń dusił się, lecz stawiał opór, zaryły silnie wszystkiemi czterema nogami w ziemię. A jeżeli zwolnili sznury, kładł się znowu i nie chciał wstać. Objazd już był wyruszył, więc Sylwan Ferris pożyczył mi swojego konia, który czasem wierzgał i brykał, ale nie rzucał się nigdy na ziemię, sam zaś siadł na Bena Buttera. Ku wielkiemu memu zawstydzeniu Ben zaraz ruszył i szedł najspokojnej, a Sylwan zwrócił się do mnie z uwagą:

— Temu koniowi nic niemożna zarzucić: łagodny jak baranek.

Ale wkrótce Ben pozostał w tyle i wnet usłyszeliśmy wołanie Sylwana:

— Wracajcie! Hej! chłopcy! Do mnie! Ratujcie! Koń na mnie leży!

I rzeczywiście leżał. A gdyśmy wyciągnęli z pod niego Sylwana, wykonał on rodzaj wojennego tańca na niegodziwym Benie. Tego dnia nie mogliśmy już nic poradzić, ale później poskromiliśmy go o tyle, że można było na nim jeździć, ale nie był to nigdy koń dobry pod siodło.

Tak samo jak we wszystkich rodzajach zajęć i przy objazdach, człowiek średnio zręczny, który nie wykręca się od roboty, dlatego że nieprzyjemna, lub nudna, wyrobi sobie stanowisko.

Zdarzali się tacy jeźdźcy, którzy, chełpiąc się zręcznością w jeździe i w rzucaniu lassa, nie wiele przynosili pożytku. Podczas objazdów często krowa lub ciele, wpadłszy w kolczaste zarośla, nie chciały wyjść z gąszczu. Czasami ku wieczorowi objeżdżaliśmy daremnie takie miejsca, gdzie nie było bydła, choć mogło się tam znaleźć; albo rozszalały buhaj stawiał opór, lub zmęczone cielę kładło się na ziemi. Bywało też, iż dopiero po dwuch godzinach rozpaczliwych usiłowań i trudów wyciągnęło się krowę z kolczastych krzaków i zapędziło ją do wozu; albo sztuka bydła, ominięta przez objazd, znalazła się na krańcach przeszukiwanego obwodu, albo zmęczone cielę trzeba było wydźwignąć na siodło i wlec się z nim do obozu, gdzie dowódca przyjmował jeźdźca z wymówką, że się opóźnił przez lenistwo, że jest zawalidrogą w objeździe, że nie jest nic wart jako jeździec, i że nie umie zarzucać lassa...

Niedawno na zebraniu Postępowego Związku, spotkałem się z Jerzym Meyerem, który mi przypomniał jedno zdarzenie „z naszej“ karjery cow-boyów. Było to podczas objazdu, gdy razem pędziliśmy krowy z cielętami. Kiedy już tylko rzeka oddzielała nas od obozu, położonego na przeciwległym brzegu, dwa cielaki odmówiły posłuszeństwa i nie chciały iść dalej. Jerzy Meyer wziął jedno na plecy i po długich, ryzykownych wysiłkach udało mu się wsiąść z nim na konia i, pomimo oporu wierzchowca, przeprawić się, przez rzekę. Ale moje cielę było zaduże, żeby je wziąć na plecy, więc zrozpaczony

wziąłem je na powróz i postanowiłem ciągnąć za sobą. Ale cielę, dostawszy się na powróz, zaczęło wyskakiwać, beczeć i, skutkiem mojej niezręczności, okręciło się w około konia, przyczym sznur wsunął się koniowi pod ogon, koń podwinął ogon i „poszedł w taniec", jak się wyrażali w onych czasach *cow-boye*. Brzegi z obu stron rzeki były strome i wysokie na cztery stopy: koń skoczył na dół. Wpadliśmy z pluskiem w wodę. Na szczęście, cielę, pociągnięte przez nas, zakreśliło łuk w powietrzu i spadło obok. Przy tym ruchu powróz wysunął się z pod końskiego ogona, ale, mimo to, koń się nie uspokoił. Nie mógł, mimo przestrachu, wspinać się lub wierzgać w wodzie, gdzie na głębszych miejscach musiał płynąć, a na płytszych zapadał w grzązki piasek albo błoto; ale gdy się dostał na drugi brzeg, puścił się jak strzała i powlókł za sobą cielę.

Nieraz też musieliśmy gasić pożar w stepach. W książkach, jakie czytywałem w dzieciństwie, pożar stepów opisywano zawsze jako ogień w bujnych trawach, z których uciekają przed płomieniem wszystkie żyjące istoty; ale na naszych północnych stepach trawa nie była nigdy tak wysoka, żeby ogień groził niebezpieczeństwem ludziom, lub zwierzętom. Nie było to wcale podobne do pożaru lasów; lecz tlący się ogień, niszczy duże przestrzenie pastwisk, i dlatego staraliśmy się ugasić go jak najprędzej. Najczęściej w takim razie zabijaliśmy wołu i płatali go na dwie połowy; braliśmy dwuch jeźdźców, jeden wlókł sznur, umocowany przy siodle, uwiązany do

przedniej nogi wołu, a drugi jeźdźiec swój sznur do zadniej. Konie przynaglano ostrogą do wejścia w ogień i jeźdźcy, wlokąc wołu krwawiącą stroną zwróconego do ziemi, jechali samym brzegiem płonącej trawy; za niemi szli ludzie, niosąc zmoczone końskie dery i przyduszali niemi każdą pozostałą iskierkę. Była to męcząca robota, bo ogień i syczenie szarpiącego się na nierównym gruncie wołowego cielska, płoszyły śmiałe zwykle nasze koniki i trzeba było wysiłku jeźdźców, by je utrzymać przy tej robocie. Ale i nasza robota była męcząca, gdyż dokuczało nam pragnienie i gorąco. Z zamkniętemi ustami, uczernieni od stóp do głowy, posuwaliśmy się z trudem za końmi.

W owych czasach Stowarzyszenie Hodowców bydła w Montanie było potęgą. Jeździłem tam jako delegat z obwodu Dolnej Missouri. Zjazdy odbywały się w Miles City, typowym wówczas centrum hodowli bydła. Zjeżdżali się wszyscy hodowcy, nie wyłączając nawet największych bogaczów w tym zakresie, jak naprzykład Konrad Kohrs — najwspanialszy typ pjoniera w Górach Skalistych — i wielu innych.

Na zjazdach w Miles City, oprócz najgłówniejszych hodowców, bywały setki *cow-boyów*, którzy pędzili cwałem po szerokich, pełnych kurzu ulicach miasta, o każdej porze dnia i nocy. Trzydniowy zjazd przedstawiał się bardzo malowniczo. Odbywał się conajmniej jeden wielki bal w hotelu, a choć na nim niewielu tancerzy miało balowe stroje, tańczono z zachowaniem *decorum*.

W tańcach chórowych wielu mężczyzn tańczyło lepiej odemnie.

Podczas takiego tłumnego zjazdu w mieście dobijano się o nocleg, a w hotelu w każdym łóżku sypiało po dwuch ludzi. Miałem pewnego razu w pokoju współlokatora, którego nigdy nie widziałem, ponieważ przychodził później niż ja, a ja rano wstawałem wcześniej od niego. Dopiero ostatniego dnia wstał on jednocześnie ze mną, i zobaczyłem wtedy, że to Carter, znany pod przezwiskiem „Skromnego", krzepki i ładny chłopak. Żałowałem go szczerze, gdy dowiedziałem się później, że zginął, zastrzelony w jakiejś bójce.

Ostatnie wojny z Indjanami skończyły się były niedawno przed moim przybyciem na Zachód, lecz jeszcze zdarzały się pojedyńcze wybuchy w różnych miejscach, a bandy włóczących się młodych „wojowników", były nieustanną groźbą dla oddalonych i samotnych osad. Wielu też białych dopuszczało się bezprawi i gwałtów nad Indjanami. Na nieszczęście, obie strony skłonne były za złe czyny nielicznej garstki czynić odpowiedzialnym cały ogół, tak że zbrodnia spełniona przez łotra—białego czy czerwonoskórego—ściągała odwet na zupełnie niewinnych ludzi, co znowu budziło gorzkie gniewy, które znajdowały ujście w jeszcze bezwzględniejszej zemście.

W pierwszym roku mojego pobytu nad Dolną Missouri wojownicy z plemienia Siouxów ukradli konie wyprawie, złożonej ze stu strzelców, polujących na bawoły. Jeden ze strzelców chciał

się skwitować kradnąc konie myśliwcom ze szczepu Cheyenne, a ścigany schronił się do obozu *cow-boyów*, z czego w następstwie wynikły długotrwałe starcia między cow-boyami, a szczepem Cheyennów. Jeden z Indjan, raniony, a rozsądniejszy od innych, biorących udział w tych łotrowstwach, lepiej osądził białych. Przyszedł do naszego obozu i opatrzyliśmy mu rany.

W następnym roku byłem w oddalonym *ranchu*, przy błotnistej drodze, na szlaku Deadwood. *Ranch* ten należał do bardzo dzielnej i silnej kobiety, która miała zdrowy sąd i umiała upomnieć się o sprawiedliwość dla siebie. Mąż jej, niegodziwy nicpoń, upijał się wódką, dostarczaną mu przez poganiaczy z Missouri, powożących wozami, zaprzężonemi w woły. Pod wpływem wódki rozpoczął raz kłótnię z żoną i chciał ją obić, ale ona powaliła go na ziemię kuchennemi obcęgami, a zachwyceni poganiacze wyrzucili go, pozostawiając damę wszechwładną panią na ranchu. Kiedy byłem u niej, miała już drugiego męża, zezowatego człowieka, który dla niej pracował, a dawniej—jak mówił dowódca naszego obozu — „skakał po polach za garstką koni“. Kobieta ta robiła koszule z bawolej skóry, prawdziwie niezdarte. Tę, którą dla mnie uszyła i którą nosiłem przez długie lata, jeden z moich synów w Arizonie nosił jeszcze przez parę zim. Zapędziwszy się w tę okolicę za zbiegłemi końmi, przyjechałem był do ranchu, by u tej kobiety zamówić taką koszulę. Zastałem tam trzech Indjan, Siouxów, zachowujących się przyzwoicie i z godnością, a gospodyni objaśniła mnie, że

czekają na obiad i że jakiś biały człowiek podkradł się i próbował uprowadzić ich konie, ale Indjanie mieli się na baczności i schwytali złoczyńcę, a odebrawszy swoje konie, zabrali mu sztucer i puścili go wolno.

— Nie rozumiem, dlaczego go puścili! — wołała gospodyni. Myślę, że kraść konie Indjanom, czy białym, to wszystko jedno: powiedziałam im, że powinni byli zabrać go i powiesić. Nie byłabym im przeszkodziła. Ale, w każdym razie, nie wezmę od nich nic za obiad — dodała na zakończenie.

Ta kobieta wyprzedziła swych ziomków w pojęciach moralnych, jakie panowały w owych czasach i miejscach, gdyż biali czynili zawsze różnicę między ukradzeniem koni białych obywateli, a koni Indjan lub należących do rządu.

Jap Hunt, człowiek zupełnie uczciwy, który dawno już tam zginął śmiercią gwałtowną, wyjaśnił swoje stanowisko w obec Indjan, w słowach, które sam słyszałem. Założył on był ranch i skupował uczciwie konie zniszczone lub chore z rozmaitych stadnin, ażeby sprzedawać je po wyleczeniu. Kradzieże koni i zabijanie bydła trafiało się wówczas często na naszym terytorjum i w Montanie, więc kilku większych hodowców bydła utworzyło oddział strażników, przeznaczonych do ścigania koniokradów i złodziei bydła. Strażnicy ci spełniali sumiennie swoje zadanie; ale, jak zwykle się dzieje w tego rodzaju organizacjach, z czasem zrobili się niesforni, regulowali osobiste urazy i wieszali ludzi pod byle błahym pozorem. Przyjechawszy do ranchu Japa Hunta

chcieli go powiesić za to, że ma tak dużo koni, rozmaicie cechowanych. Ostatecznie uwolnili go, ale był bardzo wzburzony tą przygodą i tłumaczył ciągle wszystkim:

— Co za pomysł oskarżać mnie o kradzież koni. Nigdy w życiu nie ukradłem ani jednego konia białemu człowiekowi. Konie Indjan i te, które należą do rządu, nie wchodzą przecie w rachubę...

Jap wychował się wśród ludzi mających takie pojęcia o moralności, że, choć uznawali pewne obowiązki względem siebie, na rząd i na Indjan patrzyli jak na wrogie obozy, względem których nie obowiązują żadne prawa.

Ale i bandy dzikich, młodych wojowników postępowały równie niegodziwie z oddalonemi od innych siedzib osadnikami, a w dodatku jeszcze, często dopuszczały się morderstw. Taki oddział zwykle składał się z indyjskich młodzieńców, żądnych odznaczenia się i przygód. Niektórzy mieli nawet paszporty, dane im przez komisarza do spraw indyjskich, a dające im prawo podróżowania poza granicami Indyjskiego terytorjum, i pokazywali je ostentacyjnie, jeżeli równej siły oddział białych chciał im zaprzeczyć tego prawa.

Miałem raz zajście z taką właśnie bandą. Jechałem samym pasem granicznym, położonym na północ od mego ranchu i przejeżdżałem przez płaskowzgórze, gdy na przeciwnej stronie pasa ukazało się pięciu Indjan. Ujrzawszy mnie, przygotowali sztucery do strzału i puścili się pędem, wrzeszcząc i poganiając konie. Jechałem wtedy

na moim ulubionym koniu Manitou, starym i rozważnym, którego nerwy nie dały się byle czym wytrącić z równowagi. Zeskoczyłem zaraz na ziemię i przygotowałem także sztucer do strzału.

Być może, że Indjanie chcieli tylko mnie nastraszyć i nie mieli złych zamiarów. Ale nie podobało mi się ich zachowanie i pomyślałem, że, jeżeli pozwolę im się zbliżyć, zabiorą mi napewno konia i sztucer, a być może, że i zabiją. Dopuściłem ich więc na odległość stu yardów i posłałem kulkę pierwszemu. Indjanie—tak samo jak biali—nie lubią jechać ku człowiekowi, który stoi spokojnie gotów do strzału, więc w mgnieniu oka wszyscy rzucili się na konie, zawrócili i pognali cwałem, zmieniwszy odrazu kierunek, jak spłoszone stado kaczek.

Jeden z nich dał mi potym znak pokojowy swoją derką i podjechał z otwartą dłonią. Zatrzymałem go w przyzwoitej odległości i zapytałem, czego sobie życzy? Odpowiedział mi na to:

— Jakto? Ja dobry *Indjan!* Dobry *Indjan!*

Wyciągnął do mnie brudny papier, zapewne pozwolenie komisarza. Odrzekłem mu, że wierzę, iż jest „*dobry Indjan*“, ale żądam, by się nie zbliżał. Poprosił mnie wtedy o cukier i tytuń. Odpowiedziałem, że nie mam. Przez ten czas drugi Indjanin zaczął powoli podsuwać się ku mnie, pomimo wołania, by się zatrzymał; więc znowu wziąłem go na cel i wtedy dopiero obaj Indjanie usunęli się na drugą stronę koni i odjechali galopem, klnąc straszliwie, na dowód, że w tym przynajmniej kierunku znają dobrze angielski język. Wsiadłem na konia i skręciłem

z płaskowzgórza na otwartą równinę, bo w owych czasach Indjanie, choć nie tak dobrzy strzelcy jak biali, przewyższali ich o wiele umiejętnością podchodzenia i zaczajania się za każdym krzakiem. Dlatego najgorzej czynił biały, jeżeli wjeżdżał w zarośla, gdy tymczasem na pustej równinie, byle nie stracił głowy, mógł zatrzymać w oddaleniu nawet dwunastu napastników. Indjanie ci towarzyszyli mi jeszcze przez parę mil, lecz gdy wyjechałem na równinę, zawrócili ku północy i nie napastowali mnie więcej.

Za dawnych czasów świeżego mięsa na ranchu dostarczała nam tylko zwierzyna. Nikt nie chciał zabić wołu, a choć niekiedy można było zabić podczas objazdu jakiegoś roczniaka, unikaliśmy tego, bo gdyby raz wprowadzić zabijanie bydła—koniokrady i złodzieje skorzystaliby z tej wymówki i urządzali rzeź bydła na wielką skalę.

Zwykle ja bywałem dostawcą zwierzyny na ranchu. Wyjeżdżając, zabierałem zawsze sztucer albo przymocowany do strzemienia, albo położony w poprzek na siodle. Objeżdżając obozy lub jadąc za bydłem, spotykałem często jelenia lub antylopę. Ale czasem cały dzień schodził mi na szukaniu zwierzyny. W jesieni zabieraliśmy nieraz wóz i polowaliśmy cały tydzień, przywożąc osiem do dziesięciu jeleni, a prócz tego nieraz łosia i dzikiego kozła. Byłem zawsze strzelcem średniej miary i często miewałem nieprzyjemne zdarzenia, gdy nie dojrzałem zwierzyny, którą powinienem był widzieć, gdym chybił, albo też gdy zamiast zabić, postrzeliłem tylko. Zdaje mi się, że dziś, po latach, mogę przyznać, iż główną

moją zaletą była wytrwałość. Zabijałem tylko kozły, odstępując od tej zasady w wyjątkowych jedynie razach, gdy bardzo już nam głód dokuczał.

Czasami robiłem długie wyprawy w Góry Skaliste z zarządcą mego ranchu, Merrifieldem. Polowaliśmy na niedźwiedzie — czarne i szare— na pumy, wilki, kozły i łosie. Na jednej takiej wyprawie zabiłem bizona, samca, o pięćdziesiąt mil od mego ranchu, nad dolną Missouri. Wyprawa była pełna trudów. Każdy z nas miał tylko przytroczoną do siodła torbę, a w niej trochę mąki i słoniny. Zdarzyły się nam różne przygody. Pewnej nocy, nocując nad błotnistą kałużą na łące, gdzie nie było ani jednego drzewka, musieliśmy uwiązać konie do siodeł, a sami położyliśmy spać, oparłszy głowy na siodłach. W nocy coś spłoszyło konie i uciekły, wlokąc za sobą siodła. Kiedyśmy się obudzili i zerwali z ziemi, Joe popatrzył na mnie podejrzliwie i zawołał:

— O, Boże! Nie popełniłem nic, coby zasługiwało na taką karę... A może ty masz coś na sumieniu?

Oprócz moich prywatnych zajęć spełniałem czasami obowiązki delegata w północnej stronie naszego hrabstwa. Szeryf i ja miewaliśmy wtedy ciągłe zatargi w urzędowych i prywatnych naszych stosunkach. Obchodził się ze mną jak z najemnikiem, mimo że byłem deputowanym z wyboru. Szeryf nazywał się Bill Jones i był typowym mieszkańcem pogranicza. Zaradny w każdym wypadku i doskonały myśliwy. W końcu polubiłem go szczerze. Był to dobry człowiek, dopóki trzeźwy, ale gdy się upił—trochę dziki.

Podczas mego gospodarstwa na ranchu spędzałem większą część zimy na Wschodzie, a wracając na ranch wczesną wiosną, dopytywałem się ciekawie, co nowego zdarzyło się w czasie mojej nieobecności. Pewnego razu Sylwan Ferris i Bill Jones, po przywitaniu, wspomnieli coś o „warjacie", a gdy zapytałem, co to za jeden, Sylwan Ferris opowiedział mi całą historję:

— Bo to, widzisz, jechał on koleją i postrzelił chłopca z gazetami. Z początku nic mu nie mówili, sądząc, że zaspokoi się chłopcem. Ale ktoś zrobił uwagę, że „taki lubi ołów i może zastrzelić każdego z nas", więc wszyscy zabrali się do niego i wyrzucili go z pociągu właśnie tu, w Medorze, i zapytali, czy nie zechciałby kto zaopiekować się nim? Bill Jones powiedział, że on gotów to zrobić, bo jest szeryfem; więzienie ma dwie izby, a że on zajmuje jedną, wsadzi warjata do drugiej.

Tu przerwał mu sam szeryf, Bill Jones:

— Tak! I głupi byłem, żem to powiedział! Nie podjąłbym się drugi raz opieki nad warjatem, choćby całe hrabstwo prosiło!

I dodał z miną człowieka, który oznajmia o jakimś niezwykłym odkryciu:

— Przecież ten warjat miał źle w głowie! Nie chciał jeść, dopóki ja i Snyder nie *zmusiliśmy* go do jedzenia... Wiecie, że Snyder ma dobre serce. Zdawało mu się, że warjat licho wygląda, więc brał go trochę przewietrzyć... A chłopaki zakładali się, jak daleko warjat ubiegnie, zanim go dogonią...

Snyder był poczciwy, wielkiego wzrostu Holender z Pensylwanji, główny pomocnik sze-

ryfa. Zapytałem, coby był zrobił szeryf, gdyby Snyder kiedy nie dogonił i nie schwytał warjata? Takie przypuszczenie było nowością dla niego. Zastanowił się i odpowiedział, że przecie Snyder zawsze go schwytał.

— No! ale przypuśćmy, żeby go raz nie schwytał? — nastawałem. Co wtedy?

— Ha! — odrzekł Bill Jones — gdyby Snyder wypuścił warjata i nie schwytał go, to ja byłbym wypłoszył duszę ze Snydera!

Zapewne Snyder wiedział o tym i dlatego za każdym razem schwytał więźnia. Ale niech nikt z tego nie wyprowadza wniosku, iż z warjatem obchodzono się źle. Bynajmniej! Było mu tak dobrze, że przywiązał się szczerze do Snydera i do Bill Jonesa i opierał się, gdy, według praw obowiązujących względem warjatów, został wysłany do stołecznego miasta w tym obwodzie.

Podczas mojej służby na stanowisku pomocnika szeryfa przekonałem się, jaką przewagę ma urzędnik nad zwykłemi złoczyńcami, byle tylko dobrze rozumiał swoje stanowisko. Zdarzają się wyjątkowi przestępcy, ludzie na których głowę naznaczono nagrodę, ludzie niezachwianej odwagi, gotowi z zimną krwią do zabójstwa, prowadzący jawnie wojnę ze społeczeństwem, jak dziki człowiek na wojennym szlaku. Nad takim człowiekiem przedstawiciel władzy nie ma żadnej przewagi, oprócz tej, jaką może mu dać jego własna odwaga. Takim człowiekiem był Billly the Kid, głośny morderca i zbój w Nowym Meksyku, zanim w końcu padł z ręki mojego przy-

jaciela, Pata Garretta, mianowanego poborcą w El Paso podczas mojej prezydentury.

Zawdzięczam memu pobytowi na Zachodzie więcej, niż potrafiłbym wypowiedzieć, a raczej ludziom, których tam poznałem, ciężko pracującym mężczyznom i kobietom, zamieszkałym w dwustomilowym obwodzie nad dolną Missouri. Byłem zawsze mile widzianym gościem w ich domach, tak jak oni w moim domu. Każdy tam pracował, każdy starał się pomagać innym, choć nikt nie żądał od nikogo łaski i pomocy. Toż samo mogę powiedzieć o ludziach, spotykanych na objazdach. Przyjęli mnie oni za towarzysza i współpracownika i przypuszczam, że większość z nich zachowała dla mnie dotąd to samo uczucie. Żaden gość w Białym Domu nie był mi milszy od tych starych przyjaciół z ranchów i obozów — gdzie odbywałem z niemi długie objazdy i jadałem na desce wysuniętej z tyłu wozu — gdy ci nowi ludzie zjawili się u mnie w Waszyngtonie.

Zdarzali się na Zachodzie i niegodziwcy w owych czasach, a w tamtejszych warunkach życia byli nawet niebiezpieczniejsi, niż gdzieindziej. Ale niewiele miałem z niemi trudności. Nie bywałem w szynkowniach, a w podrzędnych hotelach nie schodziłem nigdy do sali, gdzie pito chyba że nie było innej w całym hotelu. Starałem się trzymać zdala od kłótni, dopóki moja godność na to pozwalała, ale, w ogóle, rzadko zdarzało mi się mieć zatargi.

Trafiały się także i zabawne zdarzenia, najczęściej podczas uganiania się za zabłąkanemi końmi, bo wtedy bywałem zwykle sam, a czasem

musiałem oddalić się o sto albo i sto pięćdziesiąt mil od mojej okolicy. Pewnego razu przyjechałem był do małej mieściny już późnym wieczorem, postawiłem konia w pustym budynku, a gdy poszedłem do hotelu i poprosiłem o łóżko na noc, powiedziano mi, że jest już tylko jedno wolne, ale że śpi już na nim jakiś gość. Pokój, do którego mnie zaprowadzono, miał dwa podwójne łoża; na jednym spało dwuch ludzi—a na drugiem jeden tylko. Rozebrałem się według ówczesnego i miejscowego zwyczaju, to jest zdjąłem spodnie i buty, które razem ze sztucerem umieściłem przy łóżku i położyłem się spać. W parę godzin obudził mnie hałas otwieranych drzwi i światło latarni, skierowanej prosto w moje oczy, odbijające się w lufie rewolweru, nastawionego do strzału. Ktoś powiedział do człowieka z latarnią:

— Nie, to nie ten...

A potym skrzyżowały się lufy nad moim towarzyszem i odezwało się wezwanie:

— Dalej, Bill! Nie rób hałasu i chodź z nami spokojnie...

— Nawet mi przez głowę nie przeszło robić hałas—odpowiedział Bill.

— I słusznie — odpowiedział mu przybyły. Nie chcemy ci zrobić krzywdy, ale musisz pójść z nami, wiesz sam dobrze, dlaczego...

Bill włożył spodnie, naciągnął buty i poszedł. Na drugim łożu panowała głęboka cisza. Dopiero teraz trzasnęła zapałka, zapłonęła świeca i jeden z gości śpiących na tym łożu obejrzał się naokoło. Przełamałem przyjętą etykietę i ośmieliłem się zadać pytanie.

— Ciekawy jestem, dlaczego zabrali Billa?—wyrzekłem.

Żadnej odpowiedzi. Powtórzyłem pytanie:

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego zabrali Billa?

Człowiek, który zapalił świecę, odpowiedział oschłym tonem:

— Zapewne im był potrzebny...

Zgasił świecę i umilkł.

Dowiedziałem się później, że ów Bill, w przystępie rozjuszenia, zatrzymał pociąg kolei Północnej na najbliższej stacji, strzelając do nóg konduktora „żeby zatańczył". Był to prosty żart ze strony Billa, ale urzędnicy kolei Północnej byli mniej żartobliwie usposobieni i na podaną przez nich skargę wyprawiono pościg za Billem, oskarżonym o zatrzymanie pociągu i opóźnienie poczty.

Raz jeden tylko miałem prawdziwą awanturę w jeszcze nędzniejszym hoteliku niż ten, o którym mówiłem.

Zajechałem tam, goniąc zbiegłe konie. Na dole była tam tylko izba z bufetem razem, jadalnia i przylegająca do niej kuchnia. Przyjechałem późnym wieczorem. Wchodząc, usłyszałem w bufetowej izbie parę strzałów, więc zastanowiłem się czy wejść, ale noc była zimna i nigdzie indziej miejsca. W izbie zastałem kilku ludzi i właściciela baru, a wszyscy mieli twarze nie budzące zaufania. Jakiś obdarty człowiek, z gotową do strzału strzelbą, chodził po izbie i gadał, sypiąc klątwami. Widocznie zabawiał się strzelaniem do zegara, który już miał kilka dziur na tarczy.

Nie był to „łotr“ prawdziwie niebezpieczny choć zawodowy morderca, lecz marna figura, brutal, który czasami lubił się awanturować. Jak tylko mnie zobaczył, powitał jako „czterookiego“ z powodu moich okularów i wykrzyknął:

— Czterooki będzie fundował!

Przyjąłem żart śmiechem, poszedłem w głąb izby i usiadłem, starając się nie zwracać niczym uwagi na siebie. Ale awanturnik poszedł za mną, a że obracałem jego zaczepki w żart, obraził się, stanął pochylony nademną na obu rękach ściskając broń i wykrzykiwał plugawe słowa. Było to bardzo nieostrożne, że stał tak blisko i z nogami zsuniętemi do siebie, bo taka postawa nie sprzyja utrzymaniu równowagi. Na jego powtarzane wciąż nalegania, bym kazał podać coś do picia, odpowiedziałem:

— No! Jeżeli trzeba — to trzeba...

Wstałem i uderzyłem go znienacka silnie prawą pięścią w dolną szczękę, a potym zaraz lewą i znowu prawą. Wystrzelił wtedy, ale nie wiem, czy był to mimowolny skurcz ręki, czy też chciał mnie zabić. Padając potem pod moim ciosem, uderzył głową w róg bufetu. W takim położeniu niepodobna korzystać ze swej przewagi, gdyby był się poruszył, byłbym mu przygniótł żebra kolanami, ale leżał bez przytomności. Odebrałem mu strzelbę, a zebrani w barze, oburzeni na niego, wywlekli go z izby i położyli w szopie. Zjadłem spiesznie obiad, usadowiwszy się w kącie najdalszym od okien i poszedłem zaraz spać na górę, gdzie panowały takie ciemności, że nikt nie mógł do mnie strzelić z zewnątrz. Ale nikt tego

nie próbował. Mój napastnik, odzyskawszy przytomność, poszedł na stację i nie szukał odwetu.

Jak już wspomniałem, pułk mój składał się w przeważnej części z ludzi poznanych na ranchach, a nawet miałem w nim dużo osobistych przyjaciół. Po rozwiązaniu pułku niektórzy z nich wiedli życie, urozmaicone w sposób niezwykły. Stosunki nasze pozostały jak najprzyjaźniejsze, i wszyscy mówili, że „uważają mnie za ojca". Ale w praktyce było to mniej piękne, niż w słowach, bo zwykle głosili to ci, którzy postępowali jak niegrzeczne dzieci. Większa część ludzi, po rozpuszczeniu pułku, powróciła do swoich poprzednich zajęć i ci głównie pomagali i mnie i sobie wzajemnie w każdej potrzebie. Nikt też nie mógł więcej odemnie chlubić się swoim pułkiem na wojnie i podczas pokoju. Ale niektórzy żołnierze byli zupełnie niezdolni do regularnego życia w spokoju, pomimo że w wojsku sprawiali się doskonale.

Od takich to ludzi przychodziły do mnie listy, których wstęp — zawsze jednakowy — boleśnie ranił mi serce. „Kochany Pułkowniku! Piszę do ciebie, bo jestem w kłopotach"...

Kłopoty te bywały różnego rodzaju. Jeden z korespondentów, naprzykład, pisał:

„Nie ukradłem konia, ale oskarżają mnie o kradzież"...

Inny użala się, że matka żony wsadziła go do więzienia, oskarżywszy o dwużeństwo. Inny miał jeszcze osobliwsze nieszczęście. Pisał do mnie tak:

„Kochany Pułkowniku! Udaję się do Ciebie, bo jestem w kłopotach. Postrzeliłem pewną damę

w oko. Ale, Pułkowniku, ja wcale nie mierzyłem do niej. Mierzyłem w moją żonę"...

Uważał to widocznie za wystarczające usprawiedliwienie. Odpowiedziałem mu, że nie wdaję się z takiemi, którzy strzelają do kobiet i przez długie lata nic już o nim nie słyszałem.

Ale, kiedym był prezydentem, jeden z moich podkomendnych w pułku, major Llewellyn, napisał list, pełen jak zawsze ciekawych wiadomości o dawnych towarzyszach broni. W tym liście był taki ustęp:

„Już po ostatnim moim liście kolega Ritchie zabił jakiegoś człowieka w Colorado. Podobno nasz kolega grał w pokera, a tamten człowiek przyłączył się do gry i używał takich wyrażeń, że kolega Ritchie musiał go zastrzelić. Kolega Webb zabił dwuch ludzi w Arizonie. Kolega Webb należy do służby leśnej, więc zabijanie należy niejako do jego obowiązków. Byłem w więzieniu i zastałem tam kolegę Gritta, który, jak sobie pewnie przypominasz, był skazany na więzienie za to, że zastrzelił siostrę swojej żony. Ale po jego uwięzieniu, kolega Boyne uciekł do Meksyku z żoną Gritta, więc ludność całego hrabstwa uznaje, że powinien on być wypuszczony na wolność"...

W mieszkańcach tego hrabstwa rozwinęły się sportowe instynkty. Urządzili oni wyścig, wypuszczając z więzienia kolegę Gritta, ażeby mu dać możność dogonienia kolegi Boyna i żony.

Żołnierze z mego pułku popierali mnie zawsze podczas wyborów. Pamiętam, jak Buck Taylor, z Texasu towarzyszył mi w wycieczce i przema-

wiał do wyborców. Słuchaczom podobała się jego mowa i mnie również, dopóki nie wygłosił następujących słów:

„Obywatele-koledzy! Głosujcie za moim pułkownikiem! Głosujcie za moim pułkownikiem! *On was poprowadzi tak, jak nas prowadził: jak barany do rzeźni!*“

Innym razem, podczas mego wyboru na wiceprezydenta, dawny żołnierz z mojego pułku pokłócił się w pociągu z jakimś człowiekiem, który wyrażał się o mnie niekorzystnie i, w uniesieniu sprzeczki, postrzelił go, lecz nieszkodliwie. Mimo to, musieliśmy oddać go pod sąd, a że nie miał pieniędzy na obronę, zostawiłem mu 150 szylingów, pożyczywszy je od senatora, towarzysza podróży. Po wyborach otrzymałem od niego list, w którym pisał:

„Kochany Pułkowniku! Ponieważ przeprowadziliśmy wybór innego kandydata na sędziego w naszym obwodzie, nie będę potrzebował wydać na obronę 150 sz., pożyczonych mi przez Pana. Zużytkowałem je na pewien interes, dotyczący kupna koni, w który byłem wplątany nieszczęśliwie“.

Ale w parę tygodni nadszedł od niego rozpaczliwy list, donoszący, że wybrany sędzia—zimny formalista—wsadził go do więzienia. Potym ucichła ta sprawa i dopiero po jakichś trzech latach, kiedy już jako prezydent odwiedzałem miasto w tym właśnie Stanie, na czele deputacji, która mnie przyjmowała, zobaczyłem mego korespondenta i postrzeloną przezeń ofiarę, żyjących w najlepszej przyjaźni, jako moich gorących stronników...

Jednego z najlepszych moich żołnierzy mianowałem na ważny urząd w Górach Skalistych. Spędził on był swą gorącą i bujną młodość na pograniczu, w czasach burzliwych i brał, naturalnie, udział w sprawach, które dziwnie się wydają „ludziom przywykłym umierać w łóżku z choroby". Ostrzegłem go tylko, że, zapewne, w Senacie powstaną trudności przy zatwierdzeniu mojej nominacji i dlatego muszę wiedzieć wszystko, co dawniej robił. Czy grał w karty? Grał—ale tylko wtedy, gdy grali wszyscy i nigdy nie grywał o grube pieniądze. Czy zabił kiedy kogo? Zabił—ale to było w Dodge City, kiedy służył w policji, a wtedy miasto to, dziś spokojne, pełne było włóczęgów i morderców; pokazał mi telegramy sędziów, usprawiedliwiających jego czyny, jako wywołane koniecznością utrzymania porządku. Na-ostatek zagadnąłem go:

— A teraz, Ben, powiedz mi szczerze: gdzie postradałeś połowę ucha?

Zawstydził się bardzo i odpowiedział:

— Pułkowniku! To odgryzione...

— Ale jak się to stało, Ben? W jakich okolicznościach ci je odgryźli?

— Poszedłem zaaresztować jednego gentlemana. Pobiliśmy się wtedy i on odgryzł mi ucho...

— A cóżeś ty zrobił temu gentlemanowi, Ben?

A Ben, coraz bardziej zawstydzony, objaśnił:

— Skwitowaliśmy się, pułkowniku...

Nie pytałem go już o dalsze szczegóły.

Po zaciętej walce udało mi się uzyskać od Senatu potwierdzenie go na urzędzie, i był je-

dnym z najlepszych urzędników policyjnych w całym Stanie, tak jak swego czasu był najlepszym żołnierzem w pułku. Trudnoby znaleźć człowieka bardziej zasługującego na zaufanie i lepszego obywatela.

Na pograniczu panował wtedy system, który radbym widzieć stosowany i na rozleglejszej widowni. Nie przebaczano tam zbrodni ludziom, wyróżniającym się okrucieństwem lub nikczemnością. Ale w wypadkach zwykłych wykroczeń winny, po odcierpieniu kary—jeżeli chciał się poprawić—miał utorowaną do tego drogę. Toż samo stosowało się i do kobiet.

Znałem i lubiłem bardzo wielu ludzi, należących do tej właśnie kategorji. W moim pułku był jeden żołnierz, który odsłużył karę za rozbój i okupił swoją winę długiemi latami uczciwego spełniania obowiązku. Dałem mu dobry urząd i nie było wśród moich podwładnych człowieka, któregobym wyżej od niego cenił. Cenilem go jako żołnierza, urzędnika, obywatela—jako przyjaciela—cenię go i szanuję dotąd.

Niech z tego nikt nie wyprowadza wniosku, że protegowałem ludzi o przeszłości zbrodniczej. Nie posiadam ani krzty tego niezdrowego sentymentalizmu, który rozpływa się w niedorzecznej litości nad zbrodniarzem, nie troszcząc się o jego ofiarę. Rad jestem, że złoczyńca został ukarany. Kara jest konieczna ze względu na bezpieczeństwo społeczne. Ale pragnąłbym, ażeby każdy przestępca, który odcierpiał karę i chce się poprawić, znalazł pomoc i poparcie.

V.

Idealizm w praktyce.

Na wiosnę, 1889 r. prezydent Harrison mianował mnie członkiem Komisji w wydziale spraw cywilnych. Od pięciu lat prawie nie brałem udziału w politycznym życiu, pomimo że pomagałem w robocie i wygłaszałem niekiedy mowy podczas wyborów.

Jako członek komisji służyłem sześć lat: cztery—za rządów prezydenta Harrisona, dwa—pod rozkazami prezydenta Clevelanda. Obaj okazywali mi wielkie poważanie.

Zadanie naszego wydziału było dwojakie: pomagać do skuteczniejszej działalności administracji, wydrzeć biura rządowe z rąk nieuczciwych polityków, i—co za tym idzie — zatamować zyskowne źródła łapówek i nieuczciwości. Przedajni politycy, którzy raz doszli do władzy, rządzą się zasadą, że urzędy są polem do rabunku, który zwycięskie stronnictwo może uprawiać na korzyść swoich stronników; ale, mimo to, w owych czasach, prace rządu bywały prowadzone dobrze, gdyż ludzie, stojący u steru, jeżeli byli zdolni

i z bystrym wzrokiem, rozumieli, że nieudolność administracji poczytaną im zostanie za winę i dlatego pilnowali podwładnych, by spełniali dobrze swoje obowiązki. A przytym, ludzie, którzy dobili się władzy nieuczciwemi drogami, musieli mieć wybitne zdolności i dużo energji, gdyż bez tych zalet nie zdołaliby wysunąć się do pierwszego szeregu. Lecz, mimo to, zdarzały się czasami wypadki rażącej nieudolności, zwłaszcza wtedy, gdy potężny zwierzchnik obsadził na urzędzie jakiegoś przyjaciela, stronnika, lub krewniaka. Charakter rządów, opartych na systemie zdobywania i utrzymywania władzy za pomocą przysług, nie mających nic wspólnego z urzędowemi obowiązkami, obniżał poziom moralności publicznej, zarówno ludzi dzierżących rządy, jak i polityków, którzy oddawali skromne przysługi, w nadziei otrzymania w nagrodę rządowych posad. Doktryna, wyznawana przez nieuczciwych polityków w Ameryce, w ciągu sześćdziesięciu lat, poprzedzających moje wystąpienie na widowni politycznej, a głosząca, że do zwycięzcy należą łupy, jest tak rażąco występna, że nie może jej bronić żaden człowiek uczciwy i rozumny. Zasada popierania, mianowania, lub usuwania z urzędu listonoszów, stenografów, kobiet piszących na maszynach, małych urzędniczków z powodu politycznych przekonań ich samych, lub ich przyjaciół, bez względu na wartość lub zasługi urzędnika, jest zarówno nierozsądna i poniżająca, jak szkodliwa.

Może się zdawać dziwnym, że system ten, mimo jego rażącej szkodliwości, jest tak trudny

do wykorzenienia. Lecz, na nieszczęście, był on tak długo praktykowany w życiu Ameryki, że utarło się przeświadczenie, iż urzędy są przeznaczone na wyłączny użytek zwycięskiego stronnictwa, i że przeciętny Amerykanin, przyzwyczajony do podobnego trybu rzeczy, uważa go za zupełnie zgodny z prawami natury. Cały naród zgadza się na taki porządek. Wielu obywateli sądzi, że nie może pełnić obowiązków w biurze pocztowym członek zwyciężonego stronnictwa. I dopóki nie będzie zabronione rozdawanie rządowych posad w nagrodę za oddane usługi, stronnictwo, które się rządzi tym systemem, musi zawsze mieć przewagę nad innemi. A że system ten trwał bardzo długo, każde stronnictwo naśladowało zły przykład, dany przez wrogów. Każde posługiwało się rozdawaniem urzędów, gdy było przy władzy, a zwyciężone oskarżało przeciwną stronę o to, co — samo przedtym czyniło.

Chcąc usunąć to zło, potrzeba było stopniowo wpływać na zmianę zapatrywań przeciętnego obywatela, starać się o zaprowadzenie odpowiednich praw i zapewnić sumienne ich stosowanie przez urzędników. Zadanie to dziś jeszcze dalekie jest od spełnienia. Jest jeszcze na urzędach mnóstwo ludzi, którzy dają się używać do obchodzenia prawa i podstępnego wyzyskiwania ogółu, zwłaszcza wtych zapadłych okręgach, gdzie stronnictwa nie są silne, a urzędnicy mają przewagę. Ale w samym centrum rządu dużo już ludzi otrzymuje nagrody w miarę swych zasług—a to, w przeważnej części, jest wynikiem pracy i zabiegów naszej komisji.

Każde usiłowanie, mające na celu reformę, odnoszącą się do całego kraju, stanu, lub gminy, stawia reformatorów oko w oko z bandą zorganizowanych łapowników, płatnych skarbowemi pieniędzmi za to, by mogli wyćwiczyć się tak doskonale, że każdy uczciwy obywatel, spotykając się z niemi przy wyborach, jest w położeniu takim, jak obywatelska milicja w obec wojsk regularnych; ci sami uczciwi obywatele opłacają z własnej kieszeni swych przeciwników i pozwalają im obsadzać na urzędach każdego, kogo zechcą. Reforma cywilnych zarządów stawia sobie za cel dać każdemu, przeciętnemu Amerykaninowi możność udziału w życiu politycznym, równą tej, jaką zdobyli sprzedawczycy.

System przekupstwa hoduje całą kastę ludzi, którzy mają materjalny interes w ponoszeniu tych trudów i zabiegów. Płatni są za swą robotę — a płatni z grosza publicznego. Skutkiem tego systemu protegowany otrzymuje urząd nie dlatego, że jest odpowiednio uzdolniony, lecz dlatego, by oddawał usługi swoim protektorom lub ich stronnikom. Pozostanie jego na urzędzie nie zależy od tego, czy spełnia on dobrze swe obowiązki — lecz od tego, czy zachował swoje wpływy w stronnictwie. Wynika ztąd, że zajęcie się sprawami ogółu i obowiązkami urzędu schodzi na plan dalszy, a na pierwszym stoi gorliwość względem stronnictwa i protektorów.

Nie ich potępiam za to. Potępiam tylko nas — cały naród — bo powinniśmy wyjaśnić stanowczo urzędnikom, że jedynym obowiązkiem

ich jest spełnianie czynności, przywiązanych do urzędów, jakie zajmują i że to jest ich służba narodowa, która nie ma nic wspólnego z wpływaniem na kierunek polityki rządu. Skutkiem niedbalstwa i niedołęstwa, my sami hodujemy całe zastępy ludzi, których interes sprzeciwia się interesom ogółu, a którzy, doskonale zorganizowani i znakomicie wyćwiczeni, żyją z polityki — najczęściej z występnej polityki. Znają oni wszystkie kółka i śrubki tej skomplikowanej maszynerji, więc gdy nadchodzą wybory, przeciętny uczciwy obywatel, który pragnie i stara się wybrać ludzi uczciwych i odpowiednich, staje bezradny w obec sprawnej organizacji tamtych, niby odosobniony szeregowiec w obec najemnych żołdaków nieprzyjacielskiej armji. Większość, która choć niejasno czuje jednak potrzebę i pragnie poprawy stosunków, musi walczyć z mniejszością bez skrupułów, która idzie zwartą masą. Nic dziwnego, że wynik walki bywa bardzo niepożądany.

Podczas sześcioletniej mojej służby w komisji zaprowadziliśmy system uwzględniania zasług, zamiast protekcji, najczęściej za pomocą egzaminów dla obejmujących urzędy. Wyniki tego okazały się zadawalające.

Jeszcze lepsze wyniki wydało wprowadzenie nowych, a skutecznych przepisów, gdzie tylko dało się to zastosować. Poddawaliśmy egzaminom urzędników, ale wielu tych, którzy otrzymali posady dzięki protekcji, dążyło do zniesienia niedogodnego systemu i płaciło swe partyjne zobowiązania rozdawaniem niższych posad swym stronnikom i poplecznikom. Niekiedy postępowali oni

z bezwstydną brutalnością, — innym razem wybiegami usiłowali obejść prawo. Z doświadczonemi, a skrytemi intrygantami, walka była trudna i reforma nie zawsze okazywała się wystarczającym do niej orężem. Przekonałem sie, że w wielu wydziałach stosowanie wydanych przepisów było poprostu komedją. Na początku musieliśmy starać się o zapewnienie ścisłego wykonywania praw. Ale do tego trzeba było zwalczać wielu wpływowych polityków w Kongresie i ich popleczników, skutkiem czego, popadliśmy w zatarg z wybitnemi senatorami i członkami Kongresu. Przeciwnicy nasi w wielu razach żądali naznaczenia śledztwa przeciw nam, a zdarzało się to tak często, że przyzwyczaiłem się w końcu do stawania przed władzami, naznaczonemi do rewizji i badania naszych czynności. Nieprzyjaciele nasi posługiwali się najczęściej jedną bronią: przedstawiali w fałszywym świetle nasze cele i sposoby postępowania, a nieraz posuwali się nawet do osobistych zarzutów.

Jedną z najgorszych stron starego „protekcyjnego“ systemu było okrutne i brutalne postępowanie z uczciwemi urzędnikami, którzy nie mieli wpływów ani poparcia. Zetknąłem się był raz w Waszyngtonie z rażącym przykładem następstw niegodziwego tego systemu, a zdarzenie to obudziło we mnie żywe współczucie.

Osoba, zajmująca posadę rządową w wydziale, z którym miałem często do czynienia, została nagle usunięta. Przyszła do mnie z prośbą o jakiekolwiek zajęcie. Była tak wybladła i stroskana, że obudziła we mnie żywe współczucie; dlatego zająłem się zbadaniem szczegółów, odnoszą-

cych się do niej. Była to kobieta uboga, mająca dwoje dzieci, wdowa. Cierpiała teraz z dziećmi wielką biedę. Wystarczało jej zaledwie na przyzwoite odzianie dzieci, lecz nie była w stanie dawać im pożywienia niezbędnego w ich wieku. Przez lat czternaście zajmowała posadę biurową w Waszyngtonie, z pensją 300 dolarów i pełniła sumiennie swe obowiązki, a dochód wystarczał dla niej i dzieci.

Pewnego dnia naczelnik biura wezwał ją i oznajmił, że, choć z wielką przykrością, zmuszony jest dać jej dymisję. Przerażona, zapytała dlaczego? Może nieudolnie wykonywa urzędowe czynności. Naczelnik odparł, że bynajmniej; że zadowolony jest z jej pracy i pragnąłby ją zatrzymać, gdyby tylko mógł, lecz że pewien senator — którego nazwisko wymienił — zażądał jej posady dla swojej protegowanej, osoby mającej wpływy i stosunki; nieszczęśliwa kobieta przedstawiła naczelnikowi swoje położenie, zwracając mu uwagę, że skazuje ją w ten sposób na nędzę: podczas kilkunastoletniej służby w biurze zerwały się jej stosunki ze stanem, z którego pochodzi. Naczelnik — dobry człowiek — obiecał, że ją zatrzyma i polecił jej wrócić do biura.

Lecz w trzy tygodnie potym wezwał ją ponownie i powiedział, że jest bardzo zmartwiony, lecz musi ją usunąć. Senator osobiście dowiadywał się, dlaczego nie spełniono jego życzenia i zagroził naczelnikowi usunięciem go z posady, jeżeli będzie się dłużej opierał; a senator miał bardzo wielkie wpływy. Naczelnik musiał spełnić jego żądanie, więc biedna kobieta straciła miej-

sce. Dodam tu nawiasem, że mimo starań, nie udało mi się przywrócić ją na dawny urząd. Umieściłem ją w innym biurze, na posadzie gorzej płatnej, którą dał jej na moją prośbę i przez współczucie inny naczelnik. Chyba ten przykład jest dostatecznym dowodem, że system, który wydaje takie owoce, jest okrutny i niegodziwy.

Pod koniec mojej pracy w komisji zacząłem rozumieć, że nie wystarcza sama reforma stosunków urzędniczych. Zaczynała rozwijać się we mnie—choć mglista jeszcze—świadomość, że trzeba będzie stoczyć gorętszą walkę dla poprawy ekonomicznych warunków—dla zapewnienia sprawiedliwości w stosunkach społecznych i przemysłowych, sprawiedliwości względem pojedyńczych osobników i względem całych warstw społeczeństwa. Zrozumiałem, że rząd ma obowiązek rozciągać opiekę nietylko nad kobietami i dziećmi, lecz i nad całą rzeszą słabych i bezbronnych pracowników. Że cały naród ma obowiązek czuwać nad tym, by sprawiedliwość panowała w stosunkach wielkich przedsiębiorstw z ich oficjalistami — i potężnych towarzystw z ich słabszemi współzawodnikami, z odbiorcami i całą publicznością. Zrozumiałem, że gdy rosną dywidendy, a zmniejszają się zarobki pracowników, to sprawa ta obchodzi nas wszystkich — nietylko pracodawców — i że w interesie całego narodu leży, ażeby robotnik, pracujący w potężniejącej dziedzinie przemysłu, miał także udział w zwiększonych zyskach. I że to również jest interesem całego narodu, ażeby każdy pracownik-inteligient czy robotnik—dążył do jak najlepszego wykony-

wania pracy narodowej; i że wysokość zarobku powinna być zastosowana do wartości wykonanej pracy. Te właśnie zadania tworzą dziś cały skomplikowany splot społecznych i przemysłowych zagadnień, najważniejszych w obecnym naszym życiu politycznym.

Kierunek tych spraw, moim zdaniem, winien być w rękach rządu. Ale choćby rząd uczynił, co jest w jego mocy, najważniejszą sprężyną wszelkich działań jest charakter przeciętnych mężczyzn i kobiet. Rząd może tylko poprzeć działalność indywidualną, ale działalność zbiorowa ogółu powinna być podjęta i prowadzona niezależnie od działalności rządowej. Trzeba wzmocnić siłę opinji publicznej, która musi dążyć stopniowo do podnoszenia poziomu moralnego jednostek.

Pracownik, robotnik, pracujący fizycznie, jest dotąd krzywdzony; należy mu się opieka i poparcie prawa i rządu, oraz ścisłe określenie jego praw do podwyższenia zarobków. Należy mu się więcej uznania i wyższa zapłata niż obecnie, ale tylko pod tym warunkiem, że będzie on dążył do wykonania swej pracy jak najlepiej — czy jest robotnikiem, czy pracuje jako lekarz, pisarz lub artysta. Należy podnosić poziom niżej stojących, a nie obniżać poziomu ogólnego do miary prostaków i niedołęgów; zająć się poprawą warunków bytu rolnika, czy robotnika fabrycznego i przyznaniem im korzyści, odpowiednich do usług, jakie oddają produkcji krajowej; ale jeżeli ten rolnik, robotnik lub dzienny najemnik jest leniwy i nieudolny — jeżeli wywija się od pracy — jeżeli jest głupi i gnuśny — żadne prawo

go nie zbawi: musi on zginąć, ustępując miejsca typowi wyższej wartości.

Stosunek mężczyzn do kobiet jest podstawą całego społecznego ustroju. W tym zakresie prawo może uczynić dużo, nadając kobiecie i mężczyźnie jednakowe prawa w całej rozciągłości—nawet prawo wyborcze — prawa władania własnością i obierania każdego zawodu na równi z mężczyznami. Ale nawet po ustanowieniu takich praw wyniki nie będą świetne, dopóki mężczyzni nie uznają swych obowiązków względem kobiety — a dopóki kobiety nie zechcą uznać, że nie mają żadnych praw, jeżeli nie spełniają obowiązków, które, jedynie, usprawiedliwiają odwoływanie się do przywilejów. Mężczyzna okrutny, samolubny lub rozwiązły, jest wstrętnym członkiem społeczeństwa — lecz, rozważywszy wszystko ściśle, jego czyny nie są, ostatecznie, gorsze od czynów kobiety, która zgadza się być pasorzytem, żyjącym kosztem cudzym, istoty zimnej, samolubnej, nie dbającej o nic, poza czczą zabawą i gnuśnemi wygodami. Obowiązek uczciwego trudu, obowiązek pełnienia służby w szlachetnym celu, bez względu na to, czy ta służba przynosi rozkosze, czy cierpienie, jest jedynym prawem do życia, zarówno mężczyzny, jak kobiety. Mężczyzna nie powinien być samolubnym, a kobieta, jeżeli ma rozum, nie dopuści do tego, by się w nim rozwinęło samolubstwo, ze względu nietylko na swój interes, ale i na jego własne dobro.

Należy, przedewszystkim, pamiętać, że każdy obowiązek ma dwie strony, napozór przeciwne

sobie, i że zbyteczny nacisk, kładziony na jedną ze stron, z pominięciem drugiej, może popsuć wszystko. Każdy, kto bada statystykę urodzin wśród Amerykanów z Nowej Anglji, lub wśród Francuzów we Francji, wie dobrze, że jeżeli przezorność i ostrożność są posunięte do granic zimnego samolubstwa i pobłażania dla siebie samego, naród skazany jest na zagładę. Odliczając procent kobiet, które dla słusznych powodów nie wychodzą zamąż i kobiet zamężnych, lecz bezdzietnych, lub mających tylko dwoje dzieci, łatwo obrachować, że każda kobieta która może mieć dzieci, powinna ich mieć przeciętnie czworo, jeżeli naród ma istnieć w przyszłości. Wynika to z prostego rachunku. Jednak ludzie samolubni i zanadto dla siebie pobłażliwi gniewają się na to twierdzenie, jakby gniewem można zaprzeczyć istnienia praw natury; a z drugiej strony, ludzie nieprzezorni, bez środków, nierozważni i brutalnych popędów, powołują się na nie, jakby to usprawiedliwiało ojców rodziny, którzy mając gromadę dzieci, źle żywionych i źle chowanych, nie troszczą się o ich przyszłe losy. Każdy mężczyzna musi dobrze się zastanowić, zanim się ożeni. Mężem powinien być kochającym i rozsądnym i mieć zawsze w pamięci, że względem nikogo nie ma większych obowiązków miłości, poważania i troskliwości, niż względem kobiety, która w cierpieniu i trudzie rodzi i wychowuje jego dzieci. Niema słów dostatecznie silnych dla wyrażenia pogardy jaką każdy uczciwy mężczyzna uczuwa dla męża brutala, męża który nie ma należnego szacunku i względów dla swojej żony, Mąż powinien pra-

cować—powinien spełnić swój obowiązek w świecie, ale żona powinna uznać, że niewolno jej uchylać się od obowiązków żony i matki, tak samo jak niewolno mężowi uchylać się od obowiązków pracy na chleb dla rodziny.

Dla kobiety każde pole pracy powinno stać otworem, a jeżeli pracuje ona wzorowo, należy się jej wynagrodzenie takie samo, jak mężczyźnie. Lecz w normalnym stanie rzeczy kobieta powinna być, przedewszystkim, gospodynią domu i wychowawczynią dzieci—mężczyzna zaś pracownikiem, który zdobywa byt dla żony, wychowującej jego dzieci. Taki rozdział pracy jest najwłaściwszy w społeczeństwie zdrowym: jest to główny cel życia, a inne zajęcia są tylko dodatkiem do najważniejszej pracy. Mąż i żona powinni mieć równe prawa, oparte na miłości, wzajemnym szacunku i braku samolubstwa w tej spółce, zawiązanej dla spełnienia najważniejszego ze wszystkich zadań: a życiu nadaje wartość tylko spełnianie obowiązku—nie gnuśne wygody i czcze rozrywki.

Z tego też stanowiska trzeba sądzić prawo wyborcze dla kobiet. Ja, osobiście, uważam, że jest to *prawo* i *obowiązek* tak mężczyzn, jak kobiet. Lecz trzeba, by spełniali je sumiennie, z korzyścią dla ogółu. Prawo głosu jest bronią obosieczną, która—jak sztucer—zależy od tego, w czyim jest ręku. Samo posiadanie prawa nie przyniesie korzyści mężczyźnie, ani kobiecie, niedostatecznie rozwiniętym umysłowo — tak samo, jak posiadanie europejskiego sztucera nie zrobi żołnierza z niewyćwiczonego egipskiego fellaha.

Prawo głosowania, dane mieszkańcom Haiti, nie uzdolniło ich do sprawowania rządów; ani kobiety ze stanu Utah, mającej prawo głosu, nie wpłynęły na rozwiązanie kwestji wielożeństwa Mormonów. Jeżeli wierzę, że prawo głosowania dla kobiet rozpowszechni się w Ameryce, to tylko dlatego, że uważam kobietę amerykańską za zdolną do korzystania z niego.

Dla wyjaśnienia zawiłej kwestji stosunku kobiet do mężczyzn, może posłużyć list, otrzymany przezemnie od nieznajomej korespondentki, który podaję tu w całości, gdyż wyjaśnia on lepiej te strony codziennego życia, na jakie kładę nacisk: że mężczyzna koniecznie musi być niesamolubny, że powinien mieć szacunek dla żony i spełniać wiernie swoje obowiązki względem niej przyjęte.

Pułkownik Teodor Roosevelt

d. 3 stycznia 1913 r.

Szanowny Panie! Zdaje mi się, że jesteś Pan zdania, iż kobiety w naszym kraju nie spełniają należycie swego obowiązku, jeżeli nie mają licznej rodziny. Radabym wiedzieć, czy Pan zna dokładnie wszystko, co się dotyczy tej sprawy? Możnaby tu dużo zrzucić na wpływ klubów i towarzystwa, lecz, w rzeczywistości, towarzyskie stosunki uprawia bardzo mało osób. Ja sądziłam, wyszedłszy zamąż w dwudziestym roku życia, że pierwszym obowiązkiem jest stworzyć rodzinę; a że mieliśmy bardzo skromne dochody, uznałam, że muszę pracować na tę rodzinę. Miałam dziewięcioro dzieci i sama spełniałam wszystkie do-

mowe prace, nie wyłączając prania, prasowania, sprzątania i pielęgnowania maleństw, przychodzących na świat, mniej więcej co dwa lata. Szyłam dla dzieci wszystko, nawet majteczki dla chłopców, czapeczki i paltociki dla dziewczynek, dopóki były małe. Pomagałam im także w nauce, gdy chodziły do szkoły; uczyłam ich muzyki, i t. d. Ale, w miarę jak dzieci rosły, ja pozostawałam w tyle. Nie należałam nigdy do żadnego klubu, ani związku; nie bywałam z wizytami u nikogo: nie miałam na to czasu. Skutkiem tego nie wiedziałam, co się dzieje w mieście, a jeszcze mniej o tym, co się dzieje w kraju, gdy, tymczasem, mąż mój kształcił się i wyrabiał w towarzystwie ludzi wykształconych i rozumnych, przysłuchując się rozprawom o kwestjach i zadaniach, obchodzących ogół.

W początkach małżeńskiego pożycia miałam umysł równie żywy i podatny do rozwoju, jak mój mąż, a wykształcenie wyższe od niego, gdyż posiadałam patent z ukończenia trzech klas wyższej szkoły. Ale stopniowo mąż coraz więcej uchylał się od roztrząsania ze mną różnych spraw, bo—jak mówił—„to wszystko jest dla ciebie obce“. A kiedy go pytałam: dlaczego? odpowiadał: „O, nie zrozumiałabyś nic, choćbym ci powiedział“...

I tak teraz — w czterdziestu pięciu latach— jestem beznadziejnie ograniczona i nudna, gdy, tymczasem, on może bywać w towarzystwach najinteligientniejszych i utrzymać się na równym z niemi poziomie. Jest członkiem stronnictwa

postępowego, brał żywy udział w ostatnich wyborach, i t. d. Ja także jestem postępowych zasad i starałam się, o ile mogłam, mimo tylu lat zadawnienia — obeznać się z zasadami, jakie on wyznaje i czytałam wszystko, co mogłam dostać, podczas lata i jesieni. Ale zadługo byłam odcięta od towarzystwa ludzi i teraz mój mąż woli bywać sam i rozmawiać z kobietami, które nie miały dzieci, lecz są „inteligientne“ (nie mam tu na myśli specjalnie żadnej z nich). Ja zaś poprostu nudzę go śmiertelnie, bo nie jestem tak rozwinięta umysłowo.

Niechże mi Pan teraz powie — czy to moja wina?! Wszakże ja tylko spełniałam to, co uważałam za obowiązek. Niepodobna dotrzymać kroku innym i utrzymać się na powierzchni, jeżeli latami całemi rozmawia się tylko z małemi dziećmi. A te dzieci, wyrastając, zachowują się względem mnie tak samo jak ojciec i często mi mówią: „O! mama tego nie wie i nie rozumie“.... Ale dla ojca mają uznanie i podziwiają go, bo jest człowiekiem światowym, bo umie zachować się w towarzystwie.

Czy po takim doświadczeniu mogę ja namawiać córki do zamążpójścia i wychowania licznej rodziny? Ja—której mąż wstydzi się żony dlatego, że straciła zgrabną figurę i dawną urodę?

Proszę—niech Pan, jako człowiek uznający prawa kobiet — przemówi do mężczyzn o obowiązkach, jakie mają względem żon, albo przestanie namawiać kobiety, by miały dużo dzieci. Ja jestem jedną z tysięcy kobiet, należących do średniej warstwy społecznej; kobiet uczciwych,

które poświęcają całe życie wychowaniu licznej rodziny, a potym mają serca przepełnione goryczą, skutkiem niesprawiedliwości, jaka je spotyka. Proszę, niech Pan nie rzuci mego listu do kosza, lecz zastanowi się nad jego treścią.

Łączę wyrazy poważania

_____ (podpis).

Nowy York, d. 11 stycznia 1913 r.

Droga Pani! List Pani napewno nie pójdzie do kosza. Będę nad nim rozmyślał i pokażę go mojej żonie. Ale niech mi wolno będzie powiedzieć na wstępie, że kobieta, która napisała taki list, nie może być „*beznadziejnie ograniczona i nudna*“! Jeżeli stan rzeczy jest taki, jak list przedstawia, niemożna się dziwić rozgoryczeniu Pani i owemu odczuciu niesprawiedliwości, jaka Ją spotyka. Starałem się zawsze wpajać w mężczyzn przekonanie, że obowiązki ich względem kobiet są jeszcze większe, niż obowiązki kobiet względem nich.

Nie chciałbym rozpisywać się szczegółowo o mężu, bo może Pani nie byłaby z tego zadowolona. Trudno mi, istotnie, uwierzyć, że małżonek kobiety, która mu wychowała dziewięcioro dzieci, może nie rozumieć tego, że on i dzieci są na zawsze jej dłużnikami.

Jeżeli położenie jest ściśle takie, jak się przedstawia w liście, dokonała Pani wielkiego i zdumiewającego dzieła, a jedynym usprawiedliwieniem postępowania męża i dzieci względem Pani, jakie mi się nasuwa, jest przypuszczenie,

że nie rozumieją oni w całej rozciągłości tego, co Pani dla nich uczyniła. Uwielbiam altruizm i poświęcenie, ale mam niezłomne przekonanie, że jest błędem pozwalać na rozwój samolubstwa u innych — choćby nawet u własnego męża i dzieci...

Podaję taki projekt. Przesyłam kopję listu Pani oraz moją na niego odpowiedź i proponuję wybrać z rodziny kogoś, z kim Panią łączy najwięcej wspólności pojęć i sympatji. Proszę mu pokazać oba te listy i rozmówić się szczerze o tej sprawie. Jeżeli zaś jest rzeczywiście taki człowiek, który wstydzi się żony dlatego, że postradała zgrabną figurę i urodę skutkiem trudów macierzyństwa, no!... to ten człowiek jest *psem*— i powinien, przedewszystkim, wstydzić się samego siebie!"...

Szczerze oddany

Teodor Roosevelt.

Dodam tu nawiasem jedną uwagę. Ilekroć mąż sądzi, że wyrabiając się umysłowo i towarzysko „prześcignął kobietę, która jest jego żoną, dobrzeby uczynił rozważając ściśle, czy ten rozwój nie poniżył go, zamiast wywyższyć i czy to nie on właśnie stanął niżej od żony, w zakresie spełniania obowiązków i szlachetności uczuć?

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul Powązkowskiej

VI.

Policja w Nowym Yorku.

Na wiosnę, 1895 r., burmistrz Nowego Yorku, Strong, mianował mnie członkiem Wydziału Policyjnego. Służyłem tam dwa lata, jako prezydujący.

Otrzymałem nominację z wyraźnym zastrzeżeniem, że mam zarządzać Wydziałem policyjnym z pominięciem wszelkich względów partyjnych i politycznych, stojąc tylko na stanowisku dobrego obywatela, którego jedynym celem jest polepszenie warunków bytu współobywateli. Zadanie przeto miałem bardzo proste. Burmistrz ofiarował mi był poprzednio Wydział oczyszczania ulic, lecz nie miałem wcale powołania do pracy w tym zakresie. Odmówiłem zatym, a burmistrz wtedy umieścił mnie w Wydziale policyjnym, gdzie praca odpowiadała więcej mojemu usposobieniu.

Przez dwa lata nieodłącznym mym towarzyszem pracy był Jakób Riis, Duńczyk z pochodzenia, lecz wzorowy obywatel amerykański. Nie miałem jeszcze wówczas dokładnego zrozumienia

naszych braków i potrzeb społecznych, politycznych i przemysłowych. Jakóba Riisa poznałem z napisanej przez niego książki: *„Jak żyje ta druga połowa ludności"*. Książka ta stała się dla mnie objawieniem i wskazówką dla moich dotąd niewyraźnie sformułowanych dążeń.

Zrozumiałem odrazu, że przy pomocy Jakóba Riisa zdołam wprowadzić w czyn dużo zamierzeń. On i ja mieliśmy jednakowe poglądy na sprawy życiowe—jednakowe ideały, przekonania i cele—jednakowe zapatrywania na sposoby poprawy.

Było to dawno, lecz dziś jeszcze o to samo idzie w zarządach miejskich: o zmiażdżenie przekupstwa, usunięcie urzędników miejskich od polityki i nacisk na burmistrza, ażeby był opiekunem nietylko przemysłu i wielkich przedsiębiorstw, lecz w jeszcze wyższym stopniu opiekunem i obrońcą mas robotniczych i dzieci ubogich.

Zdawałem sobie sprawę z dwojakiego zadania, jakie mnie czekało: po pierwsze, kierowanie Wydziałem policyjnym — i, po drugie, używanie władzy do tego, by miasto stało się lepszym miejscem pobytu i pracy dla ludzi, którzy żyją w najcięższych warunkach. Chcąc te cele osiągnąć, należało, przedewszystkim, podnieść poziom moralny policji—i całego miasta.

Ówczesne urządzenia policyjne utrudniały wszystko, co mogło przynieść pożytek, a zostawiały pole do bezgranicznych intryg i zmowy.

Jednak, pomimo to, uczyniło się dużo dla zreformowania policji.

Zacząłem moje rządy od usunięcia z policji wszystkich wpływów politycznych i wszelakiej

protekcji. O ile było to w ludzkiej mocy, nominacje i nagrody udzielano tylko według uzdolnienia kandydata i pożytku, jaki mogła przynieść jego służba. Przyjmowaliśmy kandydatów nie uważając na ich polityczne przekonania, religję, ani kraj w jakim się urodzili; dzięki temu zwerbowaliśmy najlepszych ludzi, jacy kiedykolwiek służyli w policji. Ale w początkach trudno było przekonać i polityków i ogół, że istotnie dążymy do tego, co głosiliśmy: że każdy może się spodziewać od nas sprawiedliwości. W poprzedzających latach nieuczciwość i przedajność rozpanoszyły się we wszystkim, co miało łączność z czynnościami wydziału policyjnego, a nawet istniała ustanowiona taksa opłat za posady i awanse. Wielu nieuczciwych polityków i ludzi przedajnych miało przekonanie, że i nadal w ten, czy inny sposób, można będzie zdobywać posady, drogami nieuczciwemi; wielu uczciwych obywateli podzielało to mniemanie. Ale postarałem się wybić im to z głowy, nadając jaknajwiększą jawność wszystkim naszym działaniom i uwydatniając to, że postawiliśmy sobie za cel wykorzenić gruntownie wszystkie formy przekupstwa.

Pracę naszą uwieńczyło powodzenie. Wzmogła się działalność i energja policji, jednocześnie z podniesieniem się poziomu jej moralności. Obezwładnieni politycy, świstki goniące za sensacją i tchórzliwi głupcy, bojący się rozgłosu, sprzysięgli się przeciw nam i usiłowali dowieść, że pracując nad umoralnieniem policjantów, osłabiliśmy ich energję. Ale nie cofnęliśmy się przed napaściami. Walka była ciężka, pełna przykrości

i niepokojów, lecz odnieśliśmy ostateczne zwycięstwo. Sędzia prokurator w okręgu nowojorskim winszował policji zdumiewającego zmniejszenia się liczby przestępstw, zwłaszcza ciężkich zbrodni.

Na tak pomyślne wyniki złożyło się dużo czynników. Wznowienie karności, skutkiem surowych kar na przestępców, bez względu na ich osobiste lub polityczne wpływy—surowe ściganie zbrodniarzy, którzy przedtym okupywali sobie protekcję, uznanie sprawiedliwe osobistych zalet—wszystko to wywarło wpływ ogromny. Sama odwaga i śmiałość nie mogą zastąpić braku karności, uzdolnienia i uczciwości, pomimo że są też niezbędne na tym stanowisku.

Jednakże to właśnie nasze postępowanie, ta walka, prowadzona z przekupstwem i niesprawiedliwością, ściągnęła na nas złośliwe i nieubłagane prześladowanie ze strony przedajnych i nieuczciwych ludzi. Połączyli się oni z najgorszemi żywiołami brukowej prasy i rzucali nikczemne potwarze i podejrzenia na nasze czyny. Chcieli nas przerazić intrygami lub zjednać nęcącemi obietnicami. Nie powiodło im się ani jedno, ani drugie.

Podczas moich rządów karaliśmy tak surowo policję za każde nadużycie władzy i brutalność, że wkrótce przewinienia te ustały i żaden spokojny obywatel nie miał powodu obawiać się policjanta.

Zaprowadziliśmy w policji naukę strzelania z rewolweru. Nauczycielem w szkole był doskonały strzelec, który, goniąc złoczyńcę, zatrzymywał go zawsze postrzałem nieszkodliwym w rękę lub w nogę.

Najwięcej sposobności do nadużyć i przekupstwa ma policja w stosunkach z szynkarzami. Gdy zostałem komisarzem w Wydziale policyjnym, Nowy York miał około piętnastu tysięcy szynkowni i — prawo, nakazujące zamykać szynkownie w niedzielę. Lecz sama ludność popychała do gwałcenia tego prawa, bo niedziela dawała największe zyski, jako dzień najtłumniejszego uczęszczania do szynkowni. Dawało to znowu szynkarzom sposobność i pochop do przekupywania i demoralizowania policji. Nowy York pragnął mieć uczciwą policję, ale chciał mieć szynki otwarte w niedzielę — wbrew przepisom. Wielu ludzi, na nieszczęście, więcej obchodziło otwieranie szynków w niedzielę, niż uczciwość rządów; a nawet ci, którzy obstawali za uczciwością, sprawę szynkownianą stawiali na pierwszym planie i, w zasadzie uznając pożytek zamykania, opierali się jednak wszelkim zarządzeniom, wydawanym w tym celu.

Politycy uważali sprawę szynkowni za doskonałą broń do walki z przeciwnikami. Ostatecznie powstało z tego zamieszanie, w którym policja, politycy i właściciele szynkowni skłębili się w jedną masę, ścigającą, protestującą i tolerującą nieprawne postępki. Najbogatsi szynkarze wywierali nacisk na polityków i policję, która znów ze swej strony gnębiła i ściągała haracz z mniej potężnych winowajców.

Pobierała haracz od właścicieli podejrzanych zakładów, od szulerni i biur, przyjmujących ubezpieczenia. Haracz przynosił miljony dolarów. Policja postradała doszczętnie poczu-

cie obowiązku i sprawiedliwości. Ale tu raz jeszcze powtarzam, że policjanci, pilnujący porządku na ulicach, ludzie zajmujący najniższe stopnie w hierarchji, starali się zawsze spełniać swe obowiązki, lecz tracili stopniowo odwagę i nadzieję.

Takie położenie zastałem w chwili objęcia obowiązków w Zarządzie policyjnym. Szynkownie były głównym źródłem nadużyć i z niemi należało stoczyć walkę. Jedna tylko była do tego droga: wykonywać ściśle przepis prawa. Ale podniósł się wrzask poprostu ogłuszający. Zawodowi politycy wpadli w szał — żółta prasa prześcigała się w obelgach i oskarżeniach przeciwko „tyranji". A jednak nie czyniliśmy nic, oprócz ścisłego wykonywania prawa.

Rezultaty okazały się na ogół dobre. W parę tygodni już dyrektor szpitala Bellevue zaznaczył, iż poraz pierwszy, odkąd pełni swe obowiązki, przez cały poniedziałek nie przywieziono mu ani jednego z bójki. Sądy policyjne zaświadczały to samo. Kasy oszczędności zaznaczyły wzrost wkładów, a lombardy zmniejszone obroty. Ale najwięcej wzruszyły nas listy żon i matek, mieszkających w domach robotniczych.

Jedną z najsmutniejszych stron działalności policji jest walka z prostytucją i podejrzanemi zakładami. Starałem się zawsze — o ile pozwalała na to moja władza — przy rewizjach, dokonywanych w tych podejrzanych miejscach — poddawać takiej samej karze ujętych tam mężczyzn, jaką wymierzano kobietom. Doświadczenie przekonało mnie, że prawo nie powinno tolerować

żadnych wykroczeń w tym zakresie. Nie wiem, w jaki sposób możnaby wytępić tę plagę, ale znam sposoby skuteczne na zmniejszanie rozmiarów tego zła. Jeden z najskuteczniejszych to jednakowa kara dla mężczyzn i dla kobiet za tę samą winę.

Mężczyźni i kobiety, trudniący się handlem białemi niewolnicami, są gorszemi zbrodniarzami niż mordercy. I do nich trzeba zastosować takie samo prawo jak to, które za staraniem posła Artura Lee uchwalił Parlament angielski: prawo nakazujące karę chłosty dla tego rodzaju przestępców mężczyzn. Doświadczenie nauczyło mnie, że nie powinno być żadnego pobłażania w tym zakresie i że trzeba prowadzić bez wytchnienia nieubłaganą wojnę z tym występnym handlem. Ludzie, którzy ciągną zyski i żyją z nędzy i znieprawienia istot ludzkich, są gorsi od zwykłych zbrodniarzy, i żadne środki przeciw nim przedsięwzięte nie mogą być zanadto surowe.

Co się zaś tyczy nieszczęśliwych dziewcząt, wciągnietych w to wstrętne rzemiosło, możnaby dużo dla nich uczynić, polepszając warunki ekonomiczne. I to uczynić trzeba. Przedewszystkim jednak, trzeba podnieść poziom moralny i wzmocnić odporność zagrożonych. Każdy, kto się zajmował badaniem tej kwestji, wie, że liczba kobiet różnych narodowości, zaplątanych w sieci prostytucji, nie zależy wyłącznie od warunków ekonomicznych.

Trzeba mieć i to na względzie, że młoda dziewczyna musi mieć nietylko zarobek wystar-

czający na życie, ale i trochę niewinnej rozrywki; że nie może być przeciążona nadmierną pracą. A przytym opinja publiczna i prawo powinny piętnować *„cuchnącą ludzką świnię“* — to jest mężczyznę, który poluje i ściga dziewczynę ubogą, płochą i bez opieki, choć z drugiej strony niemożna przez niedorzeczny sentymentalizm usprawiedliwiać dziewczyny, jeżeli nie spełnia swego obowiązku i schodzi z uczciwej drogi. Naszym obowiązkiem jest uznanie jednakowych praw moralnych dla obu płci, ale tego można dokonać, podnosząc poziom moralny mężczyzn, lecz nie obniżać nigdy poziomu kobiety i nie usprawiedliwiać pod żadnym pozorem tych, które nie spełniły swego obowiązku. Razem z Jakóbem Risem zajęliśmy się zniesieniem „przytułków policyjnych“, które były stałym mieszkaniem włóczęgów i zachętą do włóczęgostwa. Jako członek wydziału sanitarnego zetknąłem się też z bliska z warunkami życia w domach „familijnych“ dla robotników, które zwiedzałem zwykle z Riisem; i dzięki nabytemu doświadczeniu, mogłem walczyć, nietylko gorliwie, ale i skutecznie o polepszenie warunków życia w tych domach. Wywalczyliśmy dla robotniczej ludności postęp w kierunku wygód i przyzwoitości.

Nocne rewizje, odbywane z Riisem, dawały mi sposobność do wyglądania w czynności policji i zbadania różnych stron miejskiego życia. Podczas największych letnich upałów chodziłem przez cały tydzień po dzielnicach robotniczych większą część nocy i odwiedzałem policyjne biura. Był to tragiczny tydzień. Czyniliśmy, co było można, dla

ulżenia cierpiącym. Serce rozdzierał widok nędzy, zwłaszcza drobnych dzieci, duszących się w upale i spracowanych ich matek. Upał był taki, że konie padały masami na ulicach, a nasze środki przewozowe nie mogły nadążyć na usuwanie zwłok biednych zwierząt. Ludzie, przed których mieszkaniem padł koń, zasypywali nas skargami, że padlina, skutkiem upału, rozkłada się szybko, a leżąc po dwa i trzy dni, zatruwa powietrze. Jakiś gniewliwy człowiek słał nam wściekłe wezwania, dopóki nie poslaliśmy wozu po zdechłego konia, który leżał przed drzwiami jego sklepu. Ale olbrzymi wóz niósł już *jedenaście* padłych koni i nieszczęście zdarzyło, że przyjechawszy przed drzwi sklepu — rozpadł się i długi czas upłynął, zanim mogliśmy go stamtąd usunąć. Nieszczęśliwy człowiek, którego los prześladował, nawet w chwili spełnionego życzenia, zrozpaczony, zamknął sklep i przysłał nam wezwanie w tonie bardzo patetycznym, żądając albo usunięcia zdechłych koni, albo przeniesienia całego sklepu! Zostawiał nam do wyboru, co wolimy...

Przy bliższym zapoznaniu się z domami familijnemi dowiedziałem się, że dużo z nich należy do bardzo bogatych właścicieli, którzy przepłacają najlepszych adwokatów, ażeby wnoszone do sądu skargi odpierali, dowodząc, że to zamach na „konstytucyjne swobody".

Przez dwa lata naszej służby poskromiliśmy gwałtowne wybuchy tłumu, a przy tej sposobności, przywódcy związków robotniczych protestowali znowu przeciwko działaniom policji. Jednak,

mimo to, stałem się od tej pory gorącym zwolennikiem tych związków i obrońcą ich praw, ale dlatego właśnie baczyłem pilnie, by poskramiać bezprawia i gwałty, i nie pozwolić burzycielom na maskowanie swoich czynów pozorami przyjaźni i współczucia dla warstw robotniczych. Pilnowałem, by robotnicy mieli swobodne pole do działania, ale pod warunkiem, że nie będą dopuszczali się gwałtów.

Wynagrodziła mnie hojnie za trudy skwapliwość, z jaką masy robotnicze przyjęły moje zasady. Kiedym opuścił Wydział policyjny, wielu robotniczych przywódców, z któremi miałem do czynienia, przybywało wyrazić żal swój z powodu mego ustąpienia, chwaląc mój system postępowania ze Związkami robotniczemi. Otrzymywałem, prócz tego, listy z różnych stron, protestujące przeciw objęciu przezemnie czynności w Wydziale marynarki.

KONIEC TOMU I.

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul Powązkowskiej

Teodor Roosevelt.

Pamiętnik Roosevelta

PREZYDENTA
STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI.

Prekład z ang. M. G.

TOM II.

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul. Powązkowskiej

WARSZAWA.
1919.

Druk. M. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

VII.

Wojna nieprzygotowanej Ameryki.

Przypuszczam, że Stany Zjednoczone będą zawsze *„nieprzygotowane do wojny“*, a skutkiem tego, narażone na wielkie wydatki i na największe klęski w razie wojny. Rzecz to wadoma: Amerykanów uczą tylko katastrofy—a nie doświadczenie.

W 1812 roku nie byłoby wojny, gdyby Ameryka zamiast głosić, że „pragnie tylko pokoju“ i rządzić się zasadą, że nieprzygotowanie do wojny usuwa jej niebezpieczeństwo — gdyby, zamiast tych teorji zdecydowała się była na zbudowanie floty, złożonej z linjowych okrętów.

Najzupełniej bezużyteczni, a często bardzo szkodliwi są obywatele, zarażeni „międzynarodowemi ideałami“ — wyznawcy „pokoju za wszelką cenę“, zwolennicy „międzynarodowych sądów wojennych“, którzy zawsze skarżą się na wojnę, albo na koszta zbrojeń, zabezpieczające od wojny. W obecnym stanie cywilizacji dobre uzbrojenie jest najlepszą rękojmią pokoju.

Na wiosnę, 1897 r., prezydent Mac Kinley mianował mnie sekretarzem Wydziału Marynarki. Mianowanie to zawdzięczam głównie staraniom senatora Lodge z Massachussets, który powodował się w tym razie nietylko uczuciem dawnej przyjaźni dla mnie, ale także—chcę wierzyć — przejęciem się sprawami marynarki. Piętnaście lat przedtym wydałem „Historję wojny morskiej w 1812 r.“. Zawsze żywo interesowałem się marynarką, co jest obowiązkiem każdego dobrego Amerykanina. W tych czasach, gdy pracowałem nad moją książką, stan rzeczy w marynarce doszedł do zenitu; byliśmy wówczas najzupełniej niezdolni do walczenia z Hiszpanją, lub jakimbądź państwem, które posiadało marynarkę. Ale wkrótce potym zaczęliśmy nieśmiało, z wahaniem, budować flotę.

Podczas reakcji, jaka nastąpiła po olbrzymich zapasach wojny domowej, najdzielniejsi i najzdolniejsi obywatele poświęcili całą swą energję interesom, robieniu pieniędzy, rozwojowi przemysłu, wyzyskiwaniu, a nawet wyczerpywaniu, w jak najszybszym tempie, przyrodzonych bogactw kraju: kopalni, lasów, ziemi i dróg wodnych. Nie byli to ludzie słabi, lecz pozwolili sobie na krótkowzroczność i samolubstwo; a chociaż wielu z pośród nich miało w głębi duszy gruntowne przymioty i uzdolnienia, oraz wojenne talenty, reszta należała do typu prostych kramarzy i robigroszów: a ten gatunek, jeżeli rozrośnie się kosztem innych, tworzy najnędzniejszy w świecie naród. Swoje niegodne tchórzostwo w obec

najsłuszniejszej wojny lubi pokrywać pięknie brzmiącemi frazesami.

Z temi ludźmi trzymały masy istot słabych fizycznie i moralnie. Do tej rzeszy, dołączyć jeszcze trzeba ludzi uczciwych, lecz pozbawionych bystrości i przezorności, którzy są pewni, że wojny nie będzie, lecz że—na wypadek, gdyby wybuchła — można armję i marynarkę stworzyć na poczekaniu. Obok ludzi mądrych i wzniosłego umysłu, którzy z godnością walczą o utrzymanie pokoju, znajdą się zawsze i ograniczeni doktrynerzy, którzy tę walkę dyskredytują.

Wszystkie te żywioły, wzięte razem, tworzyły tak silny odłam opinji publicznej przez pierwsze dziesięciolecie po wojnie domowej, że zahamowały wszelkie usiłowania, czynione dla utrzymania kraju na stopie wojennej gotowości.

Nienawidzę wojny niesprawiedliwej. Nienawidzę niesprawiedliwości i wynoszenia się silnych kosztem słabych, tak samo między ludźmi, jak między narodami. Nienawidzę gwałtów i rozlewu krwi. Sądzę, że nie należy uciekać się do wojny, dopóki można jej uniknąć bez narażenia swego honoru. Szanuję mężczyzn i kobiety, którzy, ze wzniosłych pobudek, rozsądnie i z poszanowaniem swej godności, starają się, o ile mogą, zapobiec wojnie. Zalecam przygotowywanie się do wojny dlatego, ażeby wojnie zapobiec i nie będę głosował za wojną nigdy, chyba wtedy, gdy jest ona jedynym ratunkiem przed hańbą.

W czasach, o których wspominam, nie poczuwaliśmy się do obowiązków względem innych

krajów, a że dopuszczaliśmy się przechwałek w mowie, jednocześnie odrzucając wszelkie przygotowania do czynnego wystąpienia, nikt się z nami nie liczył poważnie. Lecz powoli zaczynała się dokonywać zmiana w naszych zapatrywaniach. Na początek zbudowaliśmy kilka nowego systemu krążowników. Potym spróbowaliśmy budować coraz większe statki bojowe, a że rozpowszechniło się mniemanie, iż sama ta nazwa nasuwa pojęcie przemocy i gwałtu, nadaliśmy nowym statkom miano „opancerzonych krążowników". Z tej nowej kombinacji wyłoniło się wspaniałe połączenie, w którym znalazły się wady obu typów, bez ich zalet. Wtedy dopiero zabraliśmy się do budowy prawdziwych statków wojennych. Ale tu stanęło nam na drodze przekonanie ogółu, iż, nawet w razie wojny, jedynym naszym zadaniem będzie „odparcie napaści". Byłby to system równie rozsądny, jak system boksera, któryby zamierzał zdobyć konkursową nagrodę, parując jedynie ciosy przeciwnika, zamiast uderzać na niego.

Chcąc uspokoić podejrzliwość tego licznego odłamu naszego społeczeństwa, zdobyliśmy środki na budowę statków wojennych, pod pozorem organizowania „eskadr, przeznaczonych do obrony wybrzeży". Skutkiem tego ustępstwa dla ludzi, mających *dobre chęci*, statki te nie były zbudowane tak, jak potrzeba do żeglugi na pełnym morzu i nie miały niezbędnej do tego pojemności. Postanowiliśmy więc potym budować prawdziwe statki wojenne. Lecz opinja publiczna nie otrząsnęła się jeszcze w zupełności ze złudzeń

„obrony wybrzeży“ i musieliśmy uczynić dla niej nowe ustępstwo, żądając kredytów na budowę *„okrętów wojennych do obrony wybrzeży i działań na pełnym morzu“*.

Marynarze mogli już ćwiczyć się w manewrowaniu pojedyńczemi statkami i całą eskadrą; mogli się obeznać z działami nowego systemu, jakiemi statki te były uzbrojone. Wielu starszych oficerów — pozostałych w służbie skutkiem niedorzecznego systemu udzielania awansów na zasadzie starszeństwa — nie miało żadnych danych do pełnienia obowiązków; lecz i między temi starszemi znalazł się pewien procent zdolnych i wykształconych, a młodzi oficerowie, prawie wszyscy uczniowie doskonałej szkoły marynarskiej w Annapolis, byli bez zarzutu. Zdawało się, że nakoniec dano im broń odpowiednią i bardzo prędko nauczyli się manewrować statkami pojedyńczo i w całej eskadrze; lecz w chwili, kiedy wybuchła wojna z Hiszpanją, zaledwie zaczynali obeznawać się z używaniem dział nowoczesnych.

Wkrótce po objęciu stanowiska w Wydziale Marynarki, nabrałem pewności, że wojna będzie. Powstanie na Kubie wlokło się tak długo, że warunki życia na tej wyspie stały się okropne, i hańbą było pozwalać dłużej na taki stan rzeczy.

Nie była to już „wojna“, lecz mordercza tyranja, poprostu pustosząca całą wyspę.

I kiedy my bawiliśmy się „w pokój“, sto razy więcej ludzi — mężczyzn, kobiet i dzieci — postradało tam życie, niż podczas trzech miesięcy wojny, która położyła koniec rzeziom i otworzyła

dla Kuby drogę pokojowego rozwoju. Hiszpanja nie była w stanie utrzymać wyspy, a opierała się więcej oddaniu jej Kubańczykom, niżeli nam po wojnie. My zaś mieliśmy na Kubie ważne interesy ze względu na cukier i cygara, a szczególnie ze względu na stosunek Kuby do projektowanego kanału Panamskiego. Ale jeszcze ważniejsze były względy moralne. Kuba leży w najbliższym naszym sąsiedztwie. Siedzieć bezczynnie i patrzeć na jej powolne konanie byłoby zbrodnią. Mieliśmy obowiązek dla własnego honoru i interesu położyć kres spustoszeniom i ruinie. Dla tych to względów popierałem wojnę, a dziś—gdy, po latach, lepiej można osądzić zaszłe fakty — nikt uczciwy i rozsądny nie zaprzeczy, że wojna była i słuszna i potrzebna.

Wielcy kapitaliści i ludzie, dbający o pieniądz i własny interes, a obojętni na honor narodowy, byli przeciwnikami wojny. Do nich przyłączyli się też ograniczeni filantropowie. Pisma, przez nich wydawane, lub broniące interesu kapitalistów, zohydzały wojnę i czyniły, co mogły, by powstrzymać przygotowania wojenne.

Mimo to, w Wydziale Marynarki mogliśmy zrobić dużo, dzięki energji i rozumowi naczelników i gorliwości podwładnych. Znalazłem tam wnet sojuszników i całego wpływu mego użyłem, ażeby im pomagać w przygotowaniach. Starałem się dowiadywać z dobrych źródeł o ludziach, najodpowiedniejszych do objęcia dowództwa w razie wojny.

Ogólny głos przemawiał za Deweyem, dowódcą eskadry. Miałem go już od pewnego czasu na oku.

Osądziłem, że ten człowiek przygotuje się zawczasu i potrafi działać szybko, bez obawy i na własną odpowiedzialność, w razie nagłej potrzeby. Postarałem się zatym o danie mu dowództwa nad eskadrą na wodach azjatyckich, gdzie więcej, niż gdziekolwiek, potrzeba było człowieka samodzielnego. I, w szczęśliwą dla naszego narodu godzinę, Dewey otrzymał dowództwo eskadry na wodach azjatyckich.

Kiedy nasz pancernik *Maine* wyleciał w powietrze w porcie Hawany, wojna stała się nieunikniona. Zwolennicy pokoju usiłowali dowieść, że statek zginął z własnej winy, lecz śledztwo wykazało, że wybuch wywołany był z zewnątrz. Marynarze, którzy dotąd, znudzeni bezczynnością, gromadnie dezerterowali, nabrali zapału, a tłumy dzielnej młodzieży zaczęły zapisywać się na listy ochotników. Oficerowie, spokojnie i szybko, z niezmordowaną wytrwałością, czynili przygotowania. Ale nasza marynarka miała jedną wadę, o której mało kto wiedział; a że nikt się nie domyślał, jak bardzo szwankuje ona pod względem celności strzałów, nie zdawaliśmy sobie dotąd sprawy, że nowego systemu działa są skomplikowane, że nie wystarczają do nauki celnego strzelania dawne metody. Jeden tylko człowiek to rozumiał: nasz *attaché* w Paryżu, porucznik marynarki Sims. Pisał on list za listem, wykazując nam straszne zacofanie pod tym względem, a jego listy zrobiły na mnie silne wrażenie. Na szczęście, Hiszpanie, o których Sim donosił, że są doskonale wyćwiczeni przez Francuzów—okazali się później jeszcze słabsi w strzelaniu, niż my. Ale ja, naglony

uwagami Simsa, zbadałem stan rzeczy i zaniepokoiłem się małym procentem strzałów celnych, danych z naszych statków. Zostawszy prezydentem, zająłem się tą sprawą i przekonałem się wtedy dowodnie, że trzeba zmienić całą metodę nauki strzelania. Simsowi oddałem główny kierunek ćwiczeń przy wprowadzaniu dział nowego systemu i jemu zawdzięczamy zdumiewający postęp marynarki.

Używałem całej mej władzy na przygotowanie do boju. Wiedziałem, że w razie wojny, eskadrę Deweya możemy spuścić na wroga, jak psy ze smyczy; wiedziałem, że—byle mu pozwolić — uderzy on bezzwłocznie i skutecznie na wroga; postanowiłem więc dać mu tę możność. Naradzałem się bezustannie z senatorem Lodge i nie czyniłem nic bez jego wiedzy. Pod koniec lutego uznaliśmy, że trzeba posłać rozkazy Dewey'owi i innym dowódcom na obcych wodach, ażeby rozwiązać im ręce do natychmiastowego działania.

Trzeba tu przypomnieć, śmieszną poprostu, panikę, jaka zapanowała na naszych wybrzeżach, gdy ujawniło się, że wojna jest możliwa—i potym, gdy została już wypowiedziana. Ogół zrozumiał, że rząd jest — jak zawsze — najzupełniej nieprzygotowany. Mieszkańcy nadbrzeżnych miast przerzucili się odrazu z bezzasadnej ufności do równie bezzasadnego strachu. Jeden z naszych filozofów, M. Dooley, zauważył, że podczas tej wojny byliśmy jak we śnie, a Hiszpanie jak odurzeni. I to wyrównywało szanse. Nasz naród przez całe dziesiątki lat odpychał samą myśl

przygotowania się do wojny, a teraz, gdy już było zapóźno, nietylko żądał użycia wszystkich środków — rozsądnych i niedorzecznych — dla wyrównania braków, które dawno powinny były być usunięte, ale wpadał poprostu w szał przerażenia, na samą myśl o tym, co może uczynić nieprzyjaciel.

Całemi latami wmawialiśmy w siebie, że nikt nie ośmieli się na nas uderzyć. A kiedy rozpoczęliśmy wojnę z niesłychanie słabym państwem, wpadliśmy w drugą ostateczność i zaczęliśmy przypisywać temu słabemu państwu plany zaczepnych działań, o jakich mu się nie śniło, i których nie byłoby nawet w stanie wykonać.

Gubernator jednego Stanu ogłaszał, że nie pozwoli miejscowej gwardji narodowej opuścić wybrzeży, gdyż musi ją zatrzymać do obrony przed możliwym najazdem Hiszpanów. Z Bostoniu tylu przemysłowców i kupców uciekło do Worcesteru, że w tamtejszych bankach zabrakło w „safe'ach" miejsca na depozyty.

Jako sekretarz Wydziału Marynarki zasypany byłem żądaniami niemożliwemi. Ci sami członkowie Kongresu, którzy sprzeciwiali się stworzeniu floty, domagali się teraz hałaśliwie statków dla obrony portów, położonych w ich okręgach. Izby Handlowe i Przemysłowe rozmaitych miast nadbrzeżnych do tego stopnia potraciły głowy, że podnosiły wrzask ogłuszający i żądały, ażeby rząd obrał najzgubniejszą drogę, to jest rozproszył flotę, rozsyłając pojedyńczo statki do różnych portów dla obrony — co nawet tak słabej flocie

jak hiszpańska, ułatwiłoby zniweczenie wszystkich naszych statków kolejno, po jednemu.

Żądań takich mieliśmy bez liku. Zdarzyło się nawet raz, że dwaj wpływowi senatorowie, dąwniej przeciwnicy zawzięci budowania okrętów, otrzymawszy odmowę na żądanie posłania statku do ich miasta, zwrócili się „wyżej", do samego prezydenta i wywarli na niego taki nacisk, że polecił mi zadość uczynić ich żądaniu. Nie mogąc nie spełnić rozkazu, obszedłem go w ten sposób, że posłałem im odwieczną kanonjerkę (z czasów jeszcze wojny domowej) z jednym działem i załogą, złożoną z dwudziestu ludzi milicji marynarki pod osłoną holownika. Była to wyprawa niebezpieczna dla nieszczęśliwej milicji, lecz udała się pomyślnie. Radość i spokój zapanowały w mieście wpływowych senatorów, a nikt nie domyślał się, że ten opiekuńczy statek nie oparłby się nikomu, chyba galerom z czasów Alcybjadesa.

To wszystko stanowiło jedną stronę spraw wojennych. Drugą było dostarczenie na plac boju sił odpowiednich. Na szczęście, w Kongresie mieliśmy sporo ludzi z głową i krwią zimną, a wśród publiczności — prócz tych, co potracili głowy — mnóstwo mężczyzn i kobiet zabrało się do pracy i przyszło nam z pomocą. Młodzież tłumnie zapisywała się do wojska. Podczas pokoju trudno było zapełnić szeregi nielicznej armji i marynarki, a teraz załogi statków i pułki były przepełnione.

Anglja zapomniała o swej przyjaźni—Japonja również. Wielkie lądowe mocarstwa europejskie odnosiły się do nas niechętnie, szydziły z naszych statków i wojska, z zarozumiałą pewno-

ścią dowodząc, że Hiszpanom nie dadzą rady „handlarze“ bez żadnych ideałów, bo żołnierze ich uciekną z pola po pierwszych strzałach.

Przyjazne stosunki łączyły mnie z jednym wojskowym lekarzem, Leonardem Wood, który, nie mając majątku, musiał pracować na życie. Skończył on medyczny wydział w Harvardzie, a potym wstąpił do służby wojskowej na Południo-Zachodzie. Wood posiadał wszystkie przymioty, potrzebne żołnierzowi i dowódcy; w niesłychanie uciążliwych i męczących wyprawach przeciw Apaszom spełniał urzędownie obowiązki lekarza, lecz, w rzeczywistości, był dowódcą nie jednej wyprawy. I on — tak jak ja — pragnął wziąć w wojnie udział.

Gdy wojna była już blisko, Wood i ja zaczęliśmy starania, by się dostać na linję bojową. Kongres upoważnił do sformowania trzech pułków jazdy ochotniczej, oprócz wojsk rządowych. Za pomocą sekretarza Wydziału Wojny, jenerała Algera, który znał mnie i Wooda, otrzymałem nominację na dowódcę jednego z tych pułków. Odpowiedziałem Algerowi, że, po sześciu tygodniach służby polowej, będę mógł podjąć się tych obowiązków, lecz teraz nie potrafiłbym ani dowodzić pułkiem, ani go sformować, gdy tymczasem Wood jest zupełnie do tego przygotowany i, jeżeli on otrzyma dowództwo, to ja zgadzam się być przy nim pomocnikiem. Jenerał Alger uważał to za zbyteczną skromność z mej strony i chciał mianować Wooda porucznikiem, ażeby spełniał za mnie czynność dowódcy, lecz odpowiedziałem mu, że nie chcę wynosić się cudzym kosztem i korzystać

z cudzej pracy. Jenerał śmiał się, ale przypuszczam, że w duchu zgadzał się na moje zdanie— i ostatecznie zrobił tak, jak żądałem. Wood został dowódcą pułku, a ja porucznikiem w pierwszym pułku ochotniczym jazdy.

Wood zabrał się natychmiast do sformowania oddziału. Zebrał dawnych, uwolnionych z armji oficerów, rozdał im nominacje i dał upoważnienie do rekwizycji na wyekwipowanie pułku. Za punkt zborny obrał San-Antonio, położone w okolicy, obfitującej w dobre konie, niedaleko portu, dawnego arsenału i dawnego wojskowego posterunku.

Załatwiwszy inne jeszcze sprawy, Wood wyjechał z Waszyngtonu, a gdy przybył do San-Antonio, zaczęły już tam nadciągać wojska.

Sprawy Wydziału Wojny łatwo było zbadać, gdyż żaden plan tam nie istniał. Nawet w ostatnich czasach, przed samym rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich, czyniło się tam bardzo mało skutecznych przygotowań. Pewnego razu, gdy wszyscy wiedzieli, że za kilka dni nastąpi wypowiedzenie wojny, poszedłem w wojskowych sprawach do jenerała, zajmującego jedno z najwyższych stanowisk w armji, który w takiej chwili, powinien był pracować osiemnaście godzin na dobę, mając tak ważne zadanie przed sobą. Zastałem go zajętego przymierzaniem nowej formy eleganckiego munduru; zapytał mnie o zdanie, gdzie radziłbym umieścić kieszenie na bluzie, ażeby to ładnie wyglądało!

Pomocnik tego jenerała—choć niby dzielny żołnierz w czynnej służbie — kiedy go zapytałem o radę, jaki mam sprawić mundur na kampanje,

największy kładł nacisk na kupno wysokich, czarnych butów do galowego stroju, tłumacząc, że takie buty efektownie wyglądają na *piazza*, w hotelu i w salonie!

Wojna zwykle wydobywa na jaw najwznioślejsze i najnikczemniejsze strony duszy ludzkiej. Dostawcy, którzy dostarczają wojsku i marynarce złych towarów, niewiele więcej są warci od handlarzy białemi niewolnicami. Ale, oprocz nich, jest jeszcze inny gatunek ludzi, niepojęty dla tych, którzy mają choć trochę patrjotyzmu i zrozumienia rzeczy: ludzie tacy — którzy chyba nie rozumieją, co czynią — starają się robić majątki na potrzebach niezbędnych wojska podczas wojny, gdy cały naród ponosi wielkie ofiary, pieniężne i osobiste, dla tej samej sprawy.

W Wydziale Wojny działo się jeszcze gorzej, niż w Marynarce. Młodzi oficerowie, wychowańcy akademji West-Point, mieli zupełnie te same zalety, co ich koledzy, marynarze z Annapolis, ale od skończenia wojny domowej panowały w armji takie warunki, że każdy oficer, po paru latach służby, musiał zardzewieć.

W chwili wybuchu wojny z Hiszpanją marynarka była już postawiona na stopie wojennej, ludzie wyćwiczeni o tyle, o ile to jest możliwe podczas pokoju. Na czele oddziału stali oficerowie, doświadczeni już na morzu; zarząd cywilny starał się o postawienie floty na stopie odpowiedniej i nawet Kongres nie mógł opierać się, wobec faktów, bijących w oczy.

Ale w wydziale Wojny wszystko szło inaczej. Nikt nie był obowiązany zdawać sprawy ze

swych rządów, a sekretarz Wydziału miał jeden tylko sposób zyskania łask dla siebie i Zarządu: oszczędność. Najłatwiej mu było oszczędzać na tym, czego nikt nie odczuwał, dopóki nie nadeszła wojna. Ogół nie interesował się wojskiem; demagogowie podnosili wrzaski przeciw armji i—mimo, że była tak nieliczna — żądali jeszcze jej ograniczenia. Działacze polityczni liczyli się tylko z ochotnikami. Żołnierz regularnego wojska przez czas służby nie miał prawa głosowania, więc dla polityków nie przedstawiał żadnej wartości. Nawet działalność wojska przeciwko Indjanom, ograniczała się do tworzenia oddziałów z pięćdziesięciu do stu ludzi. Oficer, dopóki był pomocnikiem, miał sporo roboty i taką samą praktykę w polu, jak i jego kolega z marynarki na morzu, dzięki czemu dobrze wywiązywał się z zadania. Lecz, gdy otrzymał wyższy stopień, nie miał już pola do pracy w swojej specjalności. Kiedy niespodziewanie spadła na nas wojna z Hiszpanją, wielu ociężałych, starszych oficerów otrzymało—wbrew swojej woli — nominacje na dowódców pułku, brygady, a nawet dywizji, lub gorzej— całego korpusu. Ludzie ci popełnili opłakane błędy, ale nie była to ich wina, lecz wina nas wszystkich, całego narodu, który tolerował podobne warunki, prowadzące do zniedołężnienia tych ludzi.

Sekretarzem Wydziału wojny, w chwili wybuchu, był Alger i na jego głowę spadła odpowiedzialność za wszystkie braki. Zrobiono go kozłem ofiarnym za błędy całego narodu. Prawdziwym winowajcą, była tu biurokracja o ciasnych mózgach, która tamowała wszystkie próby stwo-

rzenia jakiegokolwiek planu, i dobrego spożytkowania naszych zasobów i ludzi.

Jednym narodom trzeba szczepić ideały pokojowe, bo militaryzm jest ich klątwą i nieszczęściem. Inne — nasz naród naprzykład — są w tym szczęśliwym położeniu, że nie zagraża im klęska wojny.

Nie jesteśmy narodem wojennym. W normalnym stanie rzeczy wystarcza nam niewielka stała armja, ale musi ona mieć koniecznie w rezerwie ludzi, wyrobionych wojskowo—i to w takiej liczbie, ażeby ta rezerwa wystarczała na postawienie armji na stopie bojowej. Prócz tego, młodzież powinna zrozumieć, że każdy ma obowiązek tak się przygotować, ażeby, w razie potrzeby, mógł się przedzierżgnąć w dobrego żołnierza.

Podczas formowania pułku wolnych strzelców, spotkałem się z doświadczeniami dziwnemi i pouczającemi. Zamało było broni i zasobów, a współzawodnictwo wielkie między dowódcami ochotniczych oddziałów. Nasz oddział, dzięki doświadczeniu wodza, sformował się szybko i sprawnie. Dzięki wodzowi, dostaliśmy dla naszego pułku karabinki tego samego systemu, co wojsko regularne; nastawaliśmy bardzo na ten szczegół, nie tylko dlatego, że broń była dobra, ale że stawiało to nas na równi z kawalerją rządową, która miała iść zaraz na linję bojową.

Jeden czcigodny naczelnik wydziału bronił nas od zaliczenia do oddziałów partyzanckich. Dowiedziałem się przy tej sposobności, że — ponieważ nadchodził lipiec, a zwykle w tym miesiącu wydawano wojsku zimowe ubrania, ażeby był

czas rozesłać mundury do najdalszych posterunków, zaproponowano znowu uroczyście zimowe uniformy, bez względu na to, że wyruszaliśmy na letnią kampanję do kraju podzwrotnikowego! Wydaje się to nieprawdopodobne tym, którzy nie mieli nigdy do czynienia z ociężałą biurokracją— a jednak jest to szczera prawda. Oparłem się i zdobyłem rozkaz wydania nam mundurów letnich, *z khaki*. Wystąpiły nowe trudności co do przewozu i brak rozmaitych przedmiotów; o każdy szczegół musieliśmy odwoływać się do głównego Zarządu w Waszyngtonie. Kiedy po raz ostatni przedstawiłem otrzymany rozkaz, znudzony naczelnik, widząc że losy sprzysięgły się na niego, przechylił się w tył na krześle i wykrzyknął:

— O! Boże! Miałem taki wzorowy ład w moim biurze, a tu wybuchła wojna i zamąciła wszystko!

Pułk nasz zebrał się w San Antonio. Kiedy tam przyjechałem, zwożono z pośpiechem ludzi, konie, broń, siodła i dery. Dzięki zarządzeniom Wooda, przybyliśmy do Tampy, wyekwipowani lepiej, niż pułk regularnego wojska.

Każdy mniej więcej wysławia pułk, w którym służył. Ale, jednak, zdaje mi się, że żaden pułk nie zasługiwał więcej od naszego na pochwały. Wood był wyjątkowym dowódcą, energicznym i doskonałym organizatorem. Szeregowcy i oficerowie odznaczali się bitnością i umiejętnością jazdy konnej. Mieliśmy sporo młodzieży ze Wschodu, z uniwersytetow Yale, Harvard i Princeton, ale większość stanowili ludzie z Południo-Zachodu, z Terytorjów Indyjskich, z Oklahomy,

Arizony i Nowego Meksyku. Obeznani byli z bronią palną, nawykli do życia na rozległych przestrzeniach, inteligientni i zaradni, zahartowani i wytrwali, a nadewszystko obdarzeni zimną krwią i męstwem. Szli na wojnę obliczywszy się dobrze z zadaniem i dbali nadewszystko o honor pułku. Zakupili przeszło 800 egzemplarzy podręczników mustry kawaleryjskiej i studjowali je pilnie. Niedziwota, że z takim materjałem można było pułk uformować, wyćwiczyć, uzbroić, dowieść koleją do Tampy, wsadzić na statek, wylądować, rozpocząć działania zaczepne i stoczyć dwie zwycięskie bitwy, w których zginęła jedna trzecia część oficerów, a jedna piąta część szeregowców. Jest to najlepszym świadectwem dzielności naszego pułku i wartości naszego dowódcy Wooda.

Wood, po moim przyjeździe do San Antonio, oddał mi kierunek ćwiczeń. Uczyłem więc swoich ludzi mustry konnej i pieszej, a przytym uczyłem się sam. Odrazu zaznaczyliśmy, że w naszym pułku niema miejsca dla tych ludzi, którzy chcą się uchylać od spełniania obowiązku, i otrzymaliśmy dobre wyniki.

W Nowym Yorku służyłem był trzy lata w Gwardji Narodowej i dosłużyłem się w niej stopnia kapitana. Dzięki tej praktyce, potrafiłem wyuczyć naszych ludzi mustry, bez czego pozostaliby bezładnym tłumem.

Mieliśmy w pułku trochę ludzi z Gwardji i trochę z regularnej armji, którzy służyli na Zachodzie, brali udział w wojennych wyprawach i oswojeni byli z długiemi pochodami, niedostatkiem, niebezpieczeństwem i nieprzewidzianemi

zdarzeniami. Ci ludzie byli doskonałym nabytkiem dla pułku.

Ale ci, którzy sądzili, że umieją już wszystko, dlatego że odbyli służbę w Gwardji Narodowej lub w spokojnym garnizonie regularnego wojska, byli gorszym materjałem, niż ludzie zupełnie surowi. Nie mogli i nie chcieli zrozumieć, że czego innego potrzeba na wojnie, niż w koszarach, podczas pokoju.

Z San Antonio ruszyliśmy do Tampy. W dziełach różnych socjologów europejskich czytamy jeremjady nad tym, że służba wojskowa w wielkich europejskich armjach, drobiazgową, maszynową niemal ścisłością i systematycznością zmierza do stłumienia osobistej inicjatywy oficerów i żołnierzy. Niebezpieczeństwo takie nie groziło jednak ochotniczym oddziałom w Ameryce, kiedy nasz kraj z rozkoszną lekkomyślnością rzucił się w wojnę, zupełnie do niej nieprzygotowany. Nie było rozleglejszego pola do ujawnienia indywidualizmu, niż to, jakie otworzyło się przed nami w drodze z San Antonio do Tampy, podczas obozowania tam i przeprawy na Kubę.

Nikt nie mógł dać nam ścisłych objaśnień, a te wskazówki, jakie zdobywaliśmy na własną rękę bywały zwykle mylne. Każdy z nas musiał liczyć na własny przemysł—nie oglądając się na skrupuły — by zdobyć żywność dla swoich ludzi i paszę dla koni.

W Tampie zastaliśmy dziki zamęt. Na przestrzeni wielu mil stały ładowne wozy, a o ich ładunek nikt się nie troszczył; Wood i ja musieliśmy sami pilnować, ażeby nas nie pozosta-

wiono przy wyruszeniu wyprawy. Dowiedzieliśmy się wreszcie, że mamy wyruszyć następnego rana i dostaliśmy rozkaz przemaszerowania wskazaną drogą na spotkanie pociągu. Poszliśmy, gdzie kazano, ale pociąg nie przyszedł wcale. Posłano nas inną drogą, na inny pociąg, ale i ten nie przyszedł. Zastaliśmy tam jednak pociąg z węglem, wsiedliśmy i konduktor — częścią z musu, częścią przez życzliwą uległość—zawiózł nas na wybrzeże.

Rozmaite oddziały—piechota i jazda, wojsko regularne i ochotnicy — przybywały na wybrzeże i błąkały się, nie mogąc otrzymać żadnych wskazówek. Nakoniec Wood dostał polecenie „postarać się o jaki statek, który nie ma dotąd przeznaczenia". Zabrał, bez pytania, małą łódź parową i popłynął do transportowca „*Yucatan*". Zapytany przez kapitana, jakim prawem przybywa, odrzekł, że działa „z rozkazu jenerała Shaftera" i polecił wprowadzić statek do doków. Przysłał mi rozkaz, ażebym był w pogotowiu i gdy pierwszy statek przybije do brzegu, wprowadził nasz pułk na jego pokład. Dowiedziałem się, że statek ten ma zabrać pułk regularny wojska i pułk ochotników; widząc, że nie zmieści się na nim nawet połowa tych ludzi, postanowiłem w duchu, że nie pozwolę pozostawić nas na brzegu. Z ochotnikami poszło mi łatwo. Poprostu przeprowadziłem moich ludzi przed niemi i kazałem im obsadzić pomost. Ale z wojskiem musiałem wziąć się do dyplomacji, bo dowódca pułku był starszy odemnie rangą i znał swoje prawa. Przysłał mi rozkaz ustąpienia z drogi i usunięcia na jedną stronę moich ludzi,

ażeby żołnierze jego mogli wejść na pomost. Na morzu widzieć już było można zbliżający się statek i stojącego na pokładzie Wooda. Usiłowałem więc zyskać na czasie. Przez oficerów przesłałem pełne uszanowania zapytanie dowódcy, rozpocząłem układy i tłumaczenia, dopóki statek nie podpłynął tak blisko, że, krzycząc z całej siły, mogłem zacząć rozmowę z Woodem. Nie usłyszałem jego odpowiedzi, choć do mnie coś mówił i—na własną odpowiedzialność skomponowałem, że kazał mi pozostać na pomoście. Objaśniłem oficerom, że muszę wypełnić rozkaz mego oficera i — choć bardzo mi przykro, i t. d. — nie mogę ustąpić. Zaledwie transportowiec przybił do brzegu, wprowadziłem na pokład moich ludzi krokiem podwójnym. Za nami dopiero weszła połowa pułku regularnego; druga jego połowa i pułk ochotników pojechały osobno.

Na statku, tak natłoczonym ludźmi, że trudno było poruszać się na pokładzie, trzymano nas dni kilka, lecz w końcu flota ruszyła z miejsca i popłynęliśmy zwolna do Santiago, gdzie wysiedliśmy na ląd z takim samym zamętem, jak przy wsiadaniu. Część innych oddziałów pomieszano razem; niełatwe było, potym, zadanie zgromadzić porozrzucane baterje. Naprzykład, na jednym statku były armaty, na innym zamki do nich i dużo czasu upłynęło, zanim zebrała się całość z wyładowanych na ląd części. Tu byli żołnierze, a żywność dla nich gdzieindziej: wylądowanie zaś samo zależało od osobistej energji. Na szczęście dla mnie, był wtedy dowódcą małego statku dawny mój pomocnik z Wydziału Marynarki, kapitan

Sharp, dzielny człowiek, którego udało mi się wyprowadzić na to stanowisko. Dał on nam murzyna — pilota, ktory doprowadził nasz statek do brzegu, a reszta statków ciągnęła za nami, jak stado owiec. Wylądowaliśmy z bronią i w pasach z ładunkami, lecz bez niczego więcej. Miałem w kieszeni trochę żywności i lekki płaszcz gumowy — to było moje jedyne zaopatrzenie na na następne trzy dni.

Przyłączono nas do kawalerji jenerała Younga. Czuwał on osobiście nad wylądowywaniem swoich dwuch pułków, a późną już nocą przysłał nam wiadomość, że otrzymał rozkaz wyruszenia o świcie i zaatakowania czołowych pozycji Hiszpanów. Rozkazał naszym dwum szwadronom (trzeci pozostał w Tampa) iść krawędzią gór, a sam poszedł ze swoimi dwoma pułkami przez dolinę. Wood poprowadził nas o świcie i uderzyliśmy na Hiszpanów jednocześnie z oddziałem, który przyszedł dolną drogą.

Kraj był górzysty i lesisty, miałem więc nielada trudność, by dojść na plac boju i spełnić, co trzeba. Myślałem, że ja tylko jeden nie wiem, co mam czynić, ale inni wiedzą; dopiero później dowiedziałem się, że wszyscy tak samo, jak ja, błądzili omackiem. Zaszliśmy jednak Hiszpanów tak, jak mieliśmy w planie: Wood zatrzymał nas i uszykował do boju. Kazał rozwijać się stopniowo kompanjami na prawo i lewo od drogi. Dowództwo lewego skrzydła oddał majorowi Brodie, wychowańcowi szkoły West-Point i doskonałemu żołnierzowi, a mnie naznaczył dowódcą prawego skrzydła, nakazując utrzymać łączność z regularnym wojskiem, stojącym od prawej strony. Było

to łatwe w teorji, ale że las był gęsty, pierwsza kompanja, rozwinąwszy się na prawo, znikła w gęstwinie i nie zobaczyłem jej już aż po skończonej bitwie. Byłem w śmiertelnym strachu, że dostanę się pod sąd wojenny za to, żem ją zgubił. Następna kompanja pod wodzą Brodiego odeszła na lewo, a następną ja znowu poprowadziłem na prawo.

Kiedy pierwszy mój pluton zaczął zapuszczać się w gęstwinę, zrozumiałem, że jeżeli wypuszczę go z ręki, stracę go z oczu, tak samo jak poprzednią kompanję. Postanowiłem więc nie wypuszczać ostatniego plutonu. Podczas wojny robi się szybkie postępy. Kazałem ostatniemu plutonowi i następnym dwu kompanjom iść zwartą kolumną przez gęstwinę, nie rozwijając ich, dopóki nie doszliśmy na linję strzałów. Zdaje się, że to łatwo. Ale nie było to tak proste, jak się zdawało. Nie wiedziałem właściwie, kiedy doszliśmy do linji strzałów. Słychać było strzały na prawo i na lewo i prosto przed nami. Posuwałem mój oddział przed siebie, licząc że wpadniemy gdzieś na przeciwnika.

Doszliśmy wreszcie na samą krawędź, nad głęboką doliną. Przed nami słychać było gęstą strzelaninę, ale że nieprzyjaciel miał proch bezdymny, nie mieliśmy pojęcia, gdzie jest i do kogo strzela. Ujawniło się jednak wkrótce, że służymy im za cel. Kule zaczęły przelatywać nad naszemi głowami, trzaskając sucho; moi ludzie zaczęli od nich padać. Kazałem żołnierzom położyć się na ziemi i szukać osłony za drzewami. Wpatrując się przez lunetę, ujrzeliśmy Hi-

szpanów, oszańcowanych w odległości trzech ćwierci mili. Trudno ich było dojrzeć. Było ich niewielu, lecz w końcu wypatrzyliśmy ich śpiczaste kapelusze, gdyż szańce były licho usypane. Ruszyliśmy na nich, strzelając ciągle i wyparliśmy ich ze stanowiska.

Ale nie miałem pojęcia, co dalej czynić? Przed nami leżała niebezpieczna, zarosła gęsto lasem dolina. Las otaczał nas naokoło; strach mnie zdjął, że stracę łączność z innemi oddziałami i że, może, posuwam się w mylnym kierunku. O ile mogłem widzieć, nie było przed nami nieprzyjaciela, któryby do nas strzelał, a niektórzy żołnierze z lewej strony twierdzili uporczywie, że to właśni nasi ludzie strzelali do nas, ale — jak się potym przekonałem — twierdzenie to powtarzało się podczas każdej bitwy. Tym razem było niesłuszne.

Nagle, poza rozpadliną z prawej strony, pojawił się oddział regularnego wojska i dał do nas salwę, lecz gdy wyskoczył nasz sierżant, ukryty za drzewem i dał im znak sztandarem, przestali strzelać. Ale z lewej strony dochodziły wciąż strzały, i zupełnie nie wiedziałem, co robić. Zdawało mi się jednak, że zamały udział bierzemy w bitwie, której odgłosy dochodziły z lewej strony.

Pozostawiłem więc mój oddział na miejscu i pojechałem kłusem w stronę strzałów, wziąwszy paru ordynansów, ażeby ich posłać z rozkazami. Miałem wtedy przy sobie szablę, według zwyczaju, ale w gęstwinie zaczepiała się i plątała bezustannie, więc później jeździła już zawsze przytroczona do bagażów.

Znalazłem wkrótce Wooda i z radością dowiedziałem się, że postąpiłem tak właśnie, jak było potrzeba, bo zaraz po moim przybyciu przyszła wiadomość, że Brodie poległ i Wood kazał mi objąć dowództwo nad lewym skrzydłem. Las był tam rzadszy i kiedy niekiedy, przynajmniej, migali mi się wśród drzew żołnierze mego oddziału, mogłem więc śledzić ich poruszenia. Słychać było gęste strzały, ale nie mogłem nigdzie dojrzeć ani Hiszpanów, ani naszych. Wreszcie przekonaliśmy się, że strzały padają z domu pokrytego dachówką, a stojącego prosto przed nami, więc przypuściliśmy szturm do tego domostwa. Hiszpanie, zobaczywszy że się zbliżamy, uciekli, pozostawiając kilku zabitych.

Kiedy objęliśmy w posiadanie ten budynek, strzały ucichły. Nie miałem pojęcia, co się dzieje: czy bitwa już się skończyła, czy też nastała tylko przerwa w walce; ani gdzie są Hiszpanie, ani też czy powinniśmy na nich uderzyć.

Zacząłem rozciągać linję mego oddziału, ażeby połączyć się z temi, co stali na prawo. Zaniepokoiła mnie fałszywa wieść, że Wood poległ, lecz wyjaśniło się zaraz, że to nieprzwda; że Hiszpanie cofają się gościńcem, i że Wood z kilkoma oficerami jest niedaleko. Idąc do niego, spotkałem się z kapitanem dziesiątego pułku jazdy, który z posępną miną oznajmił mi, że jego pułk się spóźnił i winszował nam zwycięstwa. Podziękowałem mu serdecznie, nie zdradzając się z tym, że sam nic nie wiem o zwycięstwie; a potym znalazłem trzech naszych jenerałów, siedzących z Woodem w lesie. Pochwalili mnie za

sposób, w jaki poprowadziłem mój oddział—choć ja sam byłem pewny, że dopuściłem się ciężkich błędów. Przyjąłem ich pochwały z miną obojętną, nie zdradzając się, jaką ulgę mi sprawiły; a że przez cały ranek zachowałem na pozór zimną krew i pewność siebie przy dowodzeniu oddziałem, dopiąłem celu, bo wszyscy żołnierze, będący pod memi rozkazami, nabrali zaufania, że prowadzę ich dobrze.

W tydzień po tej utarczce, ruszyliśmy na Santiago. Przed naszem wyruszeniem, jenerał Young zachorował na febrę i jenerał Wheeler objął dowództwo nad lewym skrzydłem armji, które walczyło pod samym miastem. Brygadjer Sumner otrzymał dowództwo nad dywizją kawalerji, Wood został dowódcą naszej brygady, a ja, z wielką radością, dowódcą naszego pułku, zanim jeszcze nastąpiły najważniejsze walki.

Późnym wieczorem obozowaliśmy w El Poso.

Wczesnym rankiem, artylerja nasza zaczęła strzelać ze szczytu wzgórza, przed którym obozował nasz pułk. Wielu ludzi zabiły nam i zraniły szrapnele Hiszpanów, odpowiadających na nasz ogień.

Ruszyliśmy potym ze wzgórza na dół, błotnistą drogą przez lasy, do Santiago. Upał był wielki.

Jedna dywizja piechoty, uderzyła na niewielką wioskę El Caney, leżącą o parę mil na prawo; druga dywizja piechoty i dywizja spieszonej jazdy miały zatrzymać hiszpańskie wojska w Santiago, dopóki Lawton nie zdobędzie El Caney. Ale hiszpańskie wsie i miasteczka ze swemi

mocnemi budowlami, stanowią rodzaj fortu, o czym już dawniej przekonali się Francuzi, podczas hiszpańskiej kampanji, a my w Meksyku. Hiszpanie w El Caney bili się mężnie, tak samo jak Hiszpanie, których mieliśmy przed sobą.

Tymczasem my, z lewego skrzydła, zostaliśmy stopniowo wciągnięci w bitwę, która rozdrobniła się na cząstki.

Mój pułk szedł na czele drugiej brygady, a maszerowaliśmy śladami pierwszej brygady. Hiszpanie z początku nie mogli się zdecydować na działanie, dopiero, gdy pierwsza brygada przeprawiła się przez rzekę i ruszyła drugim brzegiem, podczas przeprawy naszego pułku rozpoczęli strzelaninę.

Niepodobna było posuwać się pod ich flankowym ogniem. Pierwsza brygada zatrzymała się, rozwinęła front i zaczęła strzelać. Nasza brygada stanęła również. Od czasu do czasu od strzałów padali nasi żołnierze; posyłałem więc parę razy do sztabu prośbę o pozwolenie zaatakowania wzgórz, ciągnących się przed naszym frontem. Nakoniec jenerał Sumner przysłał rozkaz posunięcia się naprzód, z objaśnieniem, że mam podtrzymać regularne wojska, nacierające na wzgórza.

W pierwszej bitwie miałem ciągłe wątpliwości, co należy czynić, lecz pod San Juan było inaczej. Hiszpanie mieli mocną pozycję, ale było ich widać i wiedziałem już, co robić. Kiedy doprowadziłem mój pułk do regularnego wojska, uznałem, że niedorzecznością byłoby pozostawać dłużej w dolinie i strzelać do pagórków, bo by-

liśmy tam najwięcej wystawieni na kule. Trzeba było, przedewszystkim, uderzyć na oszańcowane pozycje. W regularnym wojsku nie było oficera wyższego odemnie stopnia, a gdym się dowiedział, że nie mają żadnych rozkazów, oznajmiłem, że obejmuję komendę nad niemi. Stary oficer, dowodzący pułkiem, opierał się jednak moim rozkazom, powiedziałem mu więc bez wahania:

— Jeżeli tak, proszę przepuścić mój pułk!

I ruszyłem bezzwłocznie, a za mną moi ludzie, szczerząc zęby z zadowolenia. Młodzi oficerowie i żołnierze regularni skoczyli za nami i dogonili nas zaraz. Dałem znak kapeluszem i popędziliśmy, jak, wiatr na pagórek. Zdobywszy go, ujrzeliśmy Hiszpanów pod blokhauzem, z lewej naszej strony, w szańcach, które atakowała brygada Hawkinsa. Kazałem rozpocząć ogień do Hiszpanów. Kiedy żołnierze Hawkinsa zdobyli blokhauz, nakazałem szarżować na drugie pasmo wzgórz, ale tylko czterech ludzi poszło za mną i wszyscy czterej padli. Jednemu, który był tylko ranny, rzuciłem moją manjerkę z wodą i zawróciłem do pułku, rozgniewany, że nikt za mną nie poszedł, ale dowiedziałem się, że nie usłyszeli mojej komendy. Jenerała Sumnera, który właśnie nadjechał, poprosiłem o pozwolenie na szarżę, a gdym je otrzymał, polecieliśmy, jak wiatr, na szańce Hiszpańskie. Bój był gorący, wzięliśmy trochę jeńców, a zagarnąwszy zapasy Hiszpanów, zjedliśmy je z wielkim zadowoleniem tego samego wieczora. Znaleźliśmy tam i butelki wina i dzbany ognistego spirytusu, które kazałem natychmiast porozbijać, ale jednak paru żołnierzy,

zdążyło wypić zawiele. Jenerał Sumner przysłał mi rozkaz pozostania na zdobytych stanowiskach. Hiszpanie próbowali jeszcze kontrataku tego samego popołudnia, lecz zostali odparci bez trudności, a nasi żołnierze śmiechem i okrzykami powitali rozkaz strzelania, bo do tej pory zdobywali tylko szańce pod ogniem artylerji, radzi więc byli zmierzyć się z Hiszpanami w otwartym polu. Całą noc spędziliśmy pod bronią, a że byliśmy oblani potem, a nie mieliśmy koców, oprócz kilku zabranych poległym Hiszpanom, odczuwaliśmy przykre zimno podzwrotnikowej nocy, dopóki nie zaświtał ranek.

Podczas popołudniowej utarczki, kiedy byłem najstarszym rangą na linji bojowej, dwuch dzielnych oficerów jazdy przybyło do nas, pod ogniem nieprzyjacielskim, z wiadomością, że krążą głuche wieści o odwrocie. Przybyli więc zaprotestować przeciw takiemu rozporządzeniu. Nie uwierzyłem pogłosce, gdyż Hiszpanie najwidoczniej, nie byli już zdolni do kontrataków. Ale wieczorem, po bitwie, odwiedził mnie jenerał Wheeler i nakazał być w pogotowiu, bo lada chwila może nadejść rozkaz odwrotu. Odrzekłem mu na to:

— Jenerale! Nie wiem, czy powinniśmy usłuchać, gdybyśmy otrzymali nakaz odwrotu... Możnaby wziąć to miasto szturmem, więc jeżeli mamy porzucić nasze stanowiska, to już lepiej pójść tam, gdzie trzeba"...

Oficerowie potakiwali, a sędziwy jenerał, po namyśle, pochwalił moje postanowienie i przyrzekł, że postara się zapobiec rozkazowi od-

wrotu. Był on od paru dni chory, lecz, mimo to, brał udział w bitwie.

Około trzeciej rano, rozpoczęła się strzelanina na naszym froncie; zaalarmowała nas wieść, że Hiszpanie nadciągają. Nasi żołnierze, choć znużeni, głodni, obdarci, zerwali się i pobiegli na sam grzbiet pagórka, gotowi odeprzeć atak do którego jednak nie przyszło.

Nazajutrz walka przeszła w oblężenie, obfitujące w rozmaite wypadki. Walczyliśmy przeważnie w transzejach i po dwuch tygodniach Santiago poddało się. Wood został jenerałem brygady, ja komendantem zdobytego miasta; a w kilka dni później otrzymałem dowództwo brygady. Stan zdrowia naszych żołnierzy był niedobry i pogarszał się z każdą chwilą. Panowała dysenterja, zdarzały się wypadki żółtej febry, ale najwięcej dokuczała malarja, bardzo złośliwej natury. Po skończonym oblężeniu, władze w Waszyngtonie, nie wiedząc nic o warunkach, jakie są w Santiago, nakazały zatrzymać tam wojsko. Rozporządzenie to byłoby wyrokiem śmierci dla trzech czwartych części żołnierzy, którzy byliby pomarli lub legli obłożnie chorzy, skutkiem rozprzestrzeniającej się, jadowitej malarji — nie mówiąc już o wzrastającej dysenterji i innych chorobach. Nie było żadnego celu ani korzyści trzymania armii w zdobytym mieście. Jenerał Shafter czynił, co mógł, by otrzymać z Waszyngtonu rozkaz powrotu wojsk do kraju. Ponieważ mu się to nie udało, zwołał wszystkich dowódców dywizji i brygad wraz z lekarzami, dla naradzenia się nad położeniem.

Pomimo że otrzymałem dowództwo brygady, z rangi byłem tylko pułkownikiem, nie miałem zatym zamiaru, uczestniczyć w naradzie, lecz jenerał polecił mnie zawiadomić, że jestem koniecznie potrzebny. Gdy się zaczęła rada, jenerał zwrócił się do lekarzy, prosząc o objaśnienie co do warunków sanitarnych, a oni jednomyślnie odrzekli, że są bardzo złe i bez żadnej wątpliwości pogorszą się jeszcze; że chcąc uniknąć straszliwych spustoszeń, skutkiem chorób — zwłaszcza malarji — należy wojsko odesłać zaraz do północnych prowincji Stanów Zjednoczonych. Jenerał odrzekł, że nie może przekonać rządu Waszyngtońskiego o tej konieczności, że nie może zainteresować ogółu publiczności tą sprawą; zdaje mu się jednak, że trzeba koniecznie starać się o nadanie jej rozgłosu, któryby zmusił Ministerjum Wojny do działania, dopóki jeszcze można uratować armję od ostatecznej zguby. Wszyscy zebrani zgodzili się ze zdaniem jenerała.

I wtedy wyszło na jaw, na co potrzebna była moja obecność. Jenerał Shafter i inni, prócz niego, wytłumaczyli mi, że jako ochotnik, który po wojnie zamierza wrócić do cywilnego życia, mogę łatwiej, niż każdy wojskowy i z mniejszym narażeniem własnej osoby, podjąć się ogłoszenia sprawozdania, zwracającego uwagę ogółu. Uznałem, że mają słuszność i postanowiłem napisać list albo memorjał, któryby można wydrukować w dziennikach. Jenerał brygady Ames, będący w takim samym, jak ja, położeniu, oznajmił, że gotów jest również napisać podobne sprawozdanie.

Ułożyliśmy, że napiszę artykuł w formie wywiadu z dziennikarzem, ale Wood, będący wówczas komendantem miasta Santiago, zrobił uwagę, że lepiej napisać to w formie listu do jenerała Shaftera, co też i uczyniłem. Po napisaniu listu poszedłem do jenerała Shaftera z korespondentem Zjednoczonej Prasy. Podałem list jenerałowi, lecz ten odsunął go i odrzekł:

— Nie przyjmę tego listu. Możesz pan zrobić z nim, co zechcesz...

Ja jednak nastawałem usilnie, by go wziął, lecz jenerał podsunął list korespondentowi, który go pochwycił, gdy ja wypuściłem z ręki. Jenerał Ames napisał swoje sprawozdanie pod adresem korespondenta i posłał tej samej treści telegram sekretarzowi Wydziału Marynarki w Waszyngtonie, kopję zaś telegramu doręczył korespondentowi. Jednocześnie dowódcy dywizji i brygad, obecni na poprzedniej naradzie, uznali, że lepiej będzie, jeżeli sami też zaczną działać.

Napisali więc do jenerała Shaftera podanie, które podyktował im jenerał Wood, a po podpisaniu go przez wszystkich, doręczył jenerałowi Shafterowi, który w taki sam sposób jak mój list, podał je do wiadomości publicznej.

Bardzo mnie ucieszyło to, gdy jenerał stwierdził później w swym raporcie, że nie pojmuje, jaką drogą dostały się te sprawozdania do dzienników.

W wojsku potrzeba, przedewszystkim, ludzi, zdolnych i chętnych do boju, co nie przeszkadza i innym przymiotom. Najlepsi żołnierze—z małemi wyjątkami — w późniejszym życiu są też i najlepszemi obywatelami kraju.

Najulubieńsi moi żołnierze, najzdolniejsi do boju, skutkiem tego, że ich wyróżniałem, najczęściej bywali wystawiani na niebezpieczeństwo, na największe trudy i wysiłki. Często posyłałem moich wybranych tam, gdzie śmierć groziła — i często też śmierć ich zmiatała — ale moi podwładni nie mieliby dla mnie szacunku, gdybym postępował inaczej. Mieli to samo przekonanie, co ja — ja zaś tę samą zasadę stosowałem do siebie, co do nich. Nie można oszczędzać życia najlepszego nawet człowieka, jeżeli konieczność nakazuje go narazić. Doznawałem zawsze uczucia gniewu i pogardy dla tych, którzy żądają zniesienia kary śmierci przez współczucie dla zbrodniarzy. Jeżeli bez wahania, w imię obowiązku, posyła się na śmierć ludzi mężnych i uczciwych, szczytem głupoty szkodliwej i wstrętnej jest żądanie, ażeby zbrodniarzy—którzy zasłużyli na śmierć — uwalniać od zasłużonej kary.

W takim pułku, jak nasz, zdarzały się ciekawe osobistości i zabawne wypadki. Jeden, np. żołnierz—dawniejszy zaganiacz bydła w *ranchach*, pełniący na objazdach czynności kucharza, doskonały strzelec i jeździec, miał zatarg podczas przeprawy na Kubę. Uważał on, że musi słuchać rozkazu oficerów ze swojego pułku, lecz, jak wielu ochotników, nie pojmował, że obowiązek rozciąga się na wszystkich innych oficerów. Gdy oficer regularnego wojska wydał mu rozkaz, nie posłuchał go. Kiedy zaś oficer oznajmił nieposłusznemu, że ma się uważać jako więzień, winny odpowiedział pogróżką, że obije oficera, bez żadnych

względów. Oddano go, skutkiem tego, pod sąd wojenny, który skazał go na rok ciężkiego więzienia.

Na statku więzienia nie było, kara więc ograniczyła się do tego, że drugi kolega, także dawny zaganiacz bydła, trzymał przy skazanym straż, niepewny, czy ma go zastrzelić, w razie gdyby probował uciec, czy też puścić go wolno? Przy wylądowaniu, ktoś powiedział więźniowi, że za karę przeznaczyłem go do pilnowania taboru. Przybiegł do mnie, bardzo wzruszony, wołając:

— Pułkowniku! Podobno pan mnie przeżnacza do taboru, kiedy zacznie się bitwa? Pułkowniku! Jeżeli pan to zrobi, nie będę mógł oczu pokazać w Arizonie! Pułkowniku! Jeżeli mnie pan pośle na linję bojową, przyrzekam że będę posłuszny wszystkim, których pan wskaże.

Był przekonany, że takie ustępstwo przejedna mnie odrazu. Odpowiedziałem mu szczerze:

— Shields! W całym pułku niema nikogo, któryby więcej od ciebie zasługiwał na kulę, więc pójdziesz na linję bojową.

Wdzięczność jego nie miała granic, powtarzał ciągle:

— Nigdy tego nie zapomnę, pułkowniku! Nigdy!

I rzeczywiście nie zapomniał. Ilekroć dokuczał nam brak żywności, Shields zawsze zdobył mąkę i likier, robił smaczne ciastka, przynosił je i z radością patrzał, jak zajadałem. Sprawiał się doskonale w obu bitwach, więc po drugiej wezwałem go do siebie i darowałem mu

karę — czego uczynić nie miałem prawa, choć sądziłem, że czynię dobrze i sprawiedliwie.

Kiedy po powrocie rozpuszczono nasz pułk oficer, przysłany do tej czynności, po uwolnieniu żołnierzy zapytał mnie, gdzie jest więzień?

— Jaki więzień?

— No! więzień! Żołnierz, skazany przez sąd wojenny na rok ciężkiego więzienia.

Odrzekłem bez ogródki:

— Tego człowieka ułaskawiłem.

A oficer na to:

— Przepraszam! Nie dosłyszałem... Co pan powiedział?

Dopiero wtedy pojąłem, że dopuściłem się nadużycia władzy. Odpowiedziałem więc szczerze:

— Ułaskawiłem go i odszedł już z towarzyszami. Oficer osunął się na krzesło i szepnął:

Skazanego przez sąd wojenny, po zatwierdzeniu wyroku przez naczelnego wodza armji, ułaskawił pan — mający rangę pułkownika! Nic więcej już nie mam do powiedzenia...

Nie ulega wątpliwości, że w warunkach takich, jakie były w naszym pułku, musiałem czuwać nad karnością, nagradzać i karać żołnierzy według okoliczności danej chwili.

Po bitwie pod Santiago spotkałem jednego z moich żołnierzy, który prowadził na powrozie jeńca Hiszpana. Powiedziałem mu, by go oddał, koledze, prowadzącemu paru jeńców do sztabu, ale żołnierz uraził się i rozgniewał:

— Jakto! Pułkowniku! Nie mogę zatrzymać go dla siebie?! — zawołał żałośnie.

Zapewne chciał go, jako łup wojenny, zatrzymać w roli służącego.

Wszyscy żołnierze w pułku łowili dobre konie, ale celował wśród nich specjalnym talentem nasz kapelan pułkowy. Trudnoby znaleźć lepszego człowieka i odpowiedniejszego kapelana. Pielęgnował chorych i rannych, nie oszczędzał się nigdy, pełnił gorliwie swoje obowiązki. A w dodatku jego talent zdobywania koni wzbudzał ogólny podziw całego pułku. Po poddaniu się Santiago, przyjechał do głównej kwatery jenerała Wheelera znajomy mój, duchowny z Filadelfji i odwiedziwszy jenerała, oznajmił, że chce się wybrać do naszego pułku, bo zna dowódcę. Adjutant jenerała, Steele, który lubił nasz pułk i jego oficerów i pochwalał nasze działania, usłyszawszy, że duchowny zna pułkownika Roosevelta, zapytał:

— Ale czy pan zna również i żołnierzy pułkownika Roosevelta?

— Nie znam—odrzekł duchowny.

— No! Jeżeli tak, pozwól mi pan dać sobie radę. Jadąc w odwiedziny do pułkownika Roosevelta, nie spuszczaj z oka swego konia, a jeżeli zastaniesz tam kapelana, to radzę wcale już z konia nie zsiadać!

Nasza służba trwała niewiele dłużej, niż cztery miesiące. Ale niema w całym moim życiu czterech miesięcy, którebym wspominał z większą dumą i zadowoleniem.

Przyszłość Ameryki zależy w znacznej części od tego, czy przeciętny Amerykanin będzie miał te same zalety, jakie mieli ludzie z mojego pułku pod Santiago.

Jest jeszcze jedno, co nasz naród powinien mieć zawsze w pamięci—ten naród, który szczerze miłuje pokój—*pokój sprawiedliwy*. Oto najszczersi zwolennicy i głosiciele takiego pokoju nie zawahali się wejść na właściwą drogę, gdy szło o pokój *niesprawiedliwy*. Popierali zawsze sprawę pokoju, lecz, mimo to, uznali za obowiązek stoczenie wojny o wolność Kuby.

Ale są inni—zwolennicy pokoju za wszelką cenę, którzy zamykają oczy na rzeczywistość i łudzą się mżonkami o wszechświatowych sądach wojennych, uważając je za coś wykonalnego. Wszyscy ci ludzie, wraz ze swemi stowarzyszeniami, nie uczynili setnej nawet części tego dla sprawiedliwości i pokoju, co uczynił nasz naród, kiedy stoczył wojnę z Hiszpanją, a potym odważnie i uczciwie wziął się do rozwiązania zadań, jakie wynikły z tej wojny.

Nasza armja i marynarka — nasz cały naród nauczył się dużo z wojny hiszpańskiej i wyciągnął korzyści z tej nauki. W następnym dziesięcioleciu armja i marynarka zrobiły wielkie postępy, nietylko w uzbrojeniu, lecz i w wartości bojowej żołnierzy i dowództwa.

VIII.

Na stanowisku gubernatora Nowego Yorku.

We wrześniu, 1898 r., nasza jazda ochotnicza z resztkami piątego korpusu armji wylądowała w Montauk Point. Wkrótce po wylądowaniu pułki nasze zostały rozwiązane, a w parę dni potym stronnictwo republikańskie postawiło moją kandydaturę na gubernatora Nowego Yorku.

W ciągu poprzedniego roku stronnictwo republikańskie pod przewodnictwem senatora Platta poniosło ciężką porażkę w Nowym Yorku i całym Stanie Nowojorskim, gdzie demokraci przeprowadzili wybór swego kandydata Parkera na prezesa Sądu Apelacyjnego, i to większością osiemdziesięciu tysięcy głosów. Parker, człowiek zdolny, należał do Konserwatywnych Demokratów, którzy chcieli uwolnić stronnictwo demokratyczne od wpływu Bryana. Powitano więc wybór Parkera jako dar niebios, bo stanowisko to dawało mu możność postawienia później swej kandydatury na prezydenta.

Republikanie zrozumieli wtedy, że położenie jest złe. Szukali kandydata, któryby im dawał

jakie takie widoki zwycięstwa. Takim kandydatem byłem ja, więc, po stwierdzeniu tego faktu, pod naciskiem przywódców stronnictwa i opinji ogółu, senator Platt wysunął mnie na front. Był ze mną zupełnie szczery. Nie udawał wcale, że mnie osobiście lubi; polegał tylko na zdaniu tych, którzy dowodzili, że jestem jedynym człowiekiem, mającym widoki zwycięstwa, i dlatego zostałem postawiony jako kandydat stronnictwa.

Po postawieniu mojej kandydatury odbyłem ciężki i utrudzający objazd całego Stanu. Przeciwnikiem moim był człowiek uczciwy, sędzia, za którym stał Croker, władca Tammany Hall. Musiałem wyjaśniać wyborcom, że właściwym moim przeciwnikiem nie jest sędzia, lecz Croker i że w tym razie muszą oni wybierać między systemem, przedstawionym przez Crokera, a mną.

Croker, śmiałego i wojowniczego charakteru, nie zwykł tchórzyć przed atakiem, więc zaatakowany przezemnie, wystąpił na front, a wtedy ujawniło się, że właściwie walka wyborcza toczy się między nim a mną. Dzięki temu, wbrew wszelkim przewidywaniom, zwyciężyłem w tej walce, choć niewielką większością osiemnastu tysięcy głosów.

Dziewięć dziesiątych ludzi, szczerze pragnących reform, poparło mnie, ale *ultra-pacyfiści*, tak zwani *antyimperjaliści i antymilitaryści,* czyli zwolennicy pokoju za wszelką cenę — stanęli po stronie Crokera.

W owych czasach panowanie przywódców w stronnictwach doszło do granic ostatecznych. W 1896 r. kandydatura Bryana, stronnika srebrnej

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie

waluty, groziła tak wielkiemi klęskami interesom wielkich przemysłowców i kupców, że, wogóle, wszyscy oni skwapliwie przeszli do republikańskiego stronnictwa. Bryan walczył w obronie reform, gwałtownie potrzebnych ludowi; lecz jego ekonomiczne projekty, w razie zastosowania, pogrążyłyby cały naród w gorszych warunkach, niż te, którym miały zaradzić. Dlatego to, nietylko przemysłowcy, ale i klasy pracujące zrozumiały, że nie można się liczyć ze stratami, byle nie dopuścić do zwycięstwa demokratów. Obawa reform Bryana popchnęła przywódców wszystkich sfer społecznych w objęcia jego przeciwników.

Wodzowie republikańscy, potężni i popierający zawsze klasy uprzywilejowane, zrozumieli, że teraz wszystko pomaga im do zwycięstwa. Nawet dobrzy i rozumni ludzie konserwatywnych przekonań, pod wpływem przerażenia, połączyli się z największemi zacofańcami z pośród polityków i przemysłowców.

Jak często bywa, wybryki i pogróżki nierozsądnego, krańcowego radykalizmu dopomogły do wzmocnienia stronnictw reakcyjnych.

W stanie Nowoyorskim senator Platt był głową stronnictwa republikańskiego. Za nim stał „wielki przemysł", lecz z tego nie zdawano sobie dostatecznie sprawy. Ja sam—dopiero gdym został gubernatorem, zrozumiałem to w całej rozciągłości. Przedtym mówiliśmy zawsze o „maszynie", czyli organizacji stronniczej, jak o czymś czysto politycznym, w czym przemysł nie gra żadnej roli. Senator Platt nie korzystał ze swych wpływów dla osobistego wzbogacenia się—i tym

różnił się od innych polityków. Mieszkał w hotelu i nie miał kosztownych upodobań. Właściwie, o ile mogłem zbadać, nie miał on żadnych upodobań, poza namiętnością do polityki.

Wielcy przemysłowcy dawali mu znaczne sumy na organizację dla zapewnienia sobie jej pomocy, ilekroć groziło im wprowadzenie niedogodnych ustaw. Pieniądze te składano do rąk Platta, który uważał je za kasę wojenną i rozdawał zapomogi organizacjom i przywódcom prowincjonalnym tam, gdzie było potrzeba. Pieniądze dawano, nie żądając żadnych zobowiązań wzamian, bo — jak mi raz powiedział senator — „jeżeli kto ma taki charakter, że potrzeba brać od niego zobowiązania, to i jego obietnice nie mają żadnej wartości".

Najszkodliwszym w działaniach organizacji było to, że tylko ten mógł zostać wybrany, komu senator Platt udzielił pomocy. Kandydat mógł być najuczciwszym i zdolnym, lecz, jeżeli nie miał dość pieniędzy na kampanję wyborczą, nie zostałby wybranym bez pomocy Platta. Wybrani zaś, przez wdzięczność, musieli łączyć się z przewrotnemi i przedajnemi politykami i zostawali członkami organizacji Platta.

Sądzę też, że po większej części ci, którzy dawali mu pieniądze, byli uczciwi i nie szukali osobistych korzyści, a tylko tego, ażeby rządy w kraju sprawowane były w sposób odpowiedni. Lecz, na nieszczęście, trudno było odróżnić tych uczciwych patrjotów od innych, którzy płacili olbrzymie sumy przywódcom dla zdobycia zysków i osobistych korzyści, kosztem ogółu.

Zdarzało się i tak czasami, że wielkie stowarzyszenia dawały zapomogi... obu politycznym stronnictwom. Wiem o takim wypadku, że wielkie przedsiębiorstwo jawnie ofiarowało na koszta kampanji wyborczej jednemu stronnictwu sto tysięcy dolarów, a przeciwnej stronie—pięćdziesiąt tysięcy. Przedsiębiorstwo należało do demokratów — więc większą sumę przeznaczono dla demokratycznych przywódców. Gdy jednak wybrano kandydata republikanów i dano mu ważny urząd, a on zaczął działać na niekorzyść przedsiębiorstwa, które dało pięćdziesiąt tysięcy na wybory, zażądano od niego tłumaczenia, dlaczego przyjął tę zapomogę. Bo, gdyby było wiadomym, jaka będzie jego działalność po wybraniu, nie danoby mu ani jednego dolara. Zagadnięty zadziwił się więcej, niż zmieszał i odrzekł, że bardzo mu przykre jest to nieporozumienie, lecz nic tu nie zawinił, bo jasno i wyraźnie określił swoje stanowisko przed wyborcami. Nie może pieniędzy zwrócić, bo ich nie ma, ale, jego zdaniem, sami sobie są winni ci, którzy dawali zapomogę w tym przekonaniu, że kandydat po wyborze będzie się krępował otrzymanemi pieniędzmi w spełnianiu swych obowiązków.

Platt i jego pomocnicy rządzili w organizacji niemal wszechwładnie. Pomiędzy „głowami“ zdarzały się czasami niesnaski, wybuchały niekiedy tu i owdzie bunty, lecz obywatele nie mieli żadnego wpływu na działania organizacji, z wyjątkiem nielicznych okręgów. Kiedy wybrano mnie na gubernatora, niepodobna było mianować kogokolwiek bez zezwolenia wodzów. Oni zaś naj-

częściej wybierali człowieka, którego lekceważyli, ażeby się z nim nie potrzebowali liczyć.

Senator Platt miał wrodzony dar do tego rodzaju polityki. Prywatne swoje interesy prowadził dobrze, ale całą jego duszę pochłaniała polityka i złączone z nią intrygi. Zorganizował świetnie całą „maszynę“ za pieniądze, otrzymywane od stowarzyszeń i bogaczów i skupił wokoło siebie większość ludzi, uzdolnionych w tym kierunku. A nie byli to bynajmniej źli obywatele, ani też nie działali z nizkich wyłącznie pobudek. W organizacji można było spotkać ludzi wybitnych i nieraz obywateli najlepszych w danej miejscowości.

Ale Platt miał także bardzo wielu przeciwników, głównie wśród *„jedwabnych pończoch“*, ludzi, którzy brzydzili się jego metodami więcej ze względów estetycznych, niż moralnych—brzydzili się szorstkiemi i ordynarnemi politykami, którzy wyrządzali szkody całej kaście. „Jedwabne pończochy“ nie rozumiały zupełnie potrzeb, interesów, sposobu myślenia i przekonań przeciętnego prostaczka, a prostaczek to odczuwał, choć nie umiał tego określić; czuł jednak, że tych panów nie obchodzi wcale jego dobrobyt i że nie może spodziewać się od nich większej korzyści, niż od „organizacji“ Platta.

Ludzie ci, występując do walki z Plattem, wysuwali jakiegoś męża pełnego dobrych chęci, którego największą zaletą było to, że się kąpał co dzień i że nie kradł; człowieka, który „zasługiwał na szacunek“, lecz nie rozumiał zasadniczych kwestji, potrzebujących rozwiązania. I zwy-

kle na tym się skończyło, że, jeżeli proponowane reformy obrażały delikatne nawyknienia „jedwabnych pończoch", ostatecznie „jedwabne pończochy łączyły się z grubemi rybami" — przeciw ludowi.

Kiedy zostałem gubernatorem, sumienie ogółu było w uśpieniu. Ludzie zgadzali się na wszystko i czynili to, na co dziś nie zgodziliby się nigdy. Sami nie mieli jasnego pojęcia, czego właściwie żądają od reform. Ale ja, znając dobrze i „organizację" i „reformatorów w jedwabnych pończochach", zrozumiałem, że ani na jednych, ani na drugich niemożna liczyć, jeżeli się chce zdobyć poprawę warunków społecznych i ekonomicznych. Postanowiłem więc pominąć ludzi, zajmujących urzędowe stanowiska i ludzi, stojących na czele „organizacji" — i po nad ich głowami odwołać się wprost do ludu. Zamiast tworzyć własne „organizacje", prowadzić intrygi dla zaszachowania przeciwników, zacząłem przemawiać do tłumu wyborców, do ludu—który, raz obudzony, potrafi narzucić swoją wolę swoim przedstawicielom. Powodzenie mojego planu zależało od tego, ażeby ten lud przejął moje poglądy, ażeby zainteresować go i skłonić do rozciągnięcia kontroli nad czynnościami wybranych przedstawicieli.

Zwracałem się do „lepszych żywiołów"—do rozumnych, uczciwych mężczyzn i kobiet, zajętych pracą zarobkową, do ludzi, którzy zaczynali już poznawać się na wartości tak „reformatorów" jak i „polityków". Trzeba było przekonać tych ludzi o mojej dobrej wierze, i—co więcej—o mo-

im rozsądku i energji. Byli to po większej części zapalczywi członkowie stronnictw i tylko jakieś bardzo doniosłe i rażące nadużycie mogło ich oburzyć i wyzwolić z więzów stronniczych.

Czułem, że na poparcie ze strony tych ludzi mogę liczyć zawsze, o ile zdołam przekonać ich, że walczą nie z Plattem i jego organizacją, lecz o sprawy ważne, o uczciwe i energiczne rządy i o zmuszenie bogaczów do zajęcia właściwego stanowiska w sprawach, dotyczących dobra ogółu. I w tych wypadkach wyborcy popierali mnie zawsze, nawet wtedy, gdy podczas strajków w Croton Aqueduct i w Bufallo bez wahania wezwałem na pomoc wojsko, by zapobiec rozruchom i gwałtom.

Przeciw mnie występowali najzawzięciej w takich razach miejscowi politycy, którzy zawsze schlebiali wyborcom; ale miewałem też poważne zatargi i z przywódcami organizacji w Stanie Nowoyorskim. Starałem się zawsze przekonać senatora Platta i jego otoczenie o słuszności moich dążeń i tłumaczyłem im to w prywatnych rozmowach. Nigdy nie wywoływałem niepotrzebnych antagonizmów i nie dążyłem do upokorzenia przeciwników. Nie tryumfowałem nigdy po zwycięstwie, a tylko starałem się zawsze przeprowadzić to, co uważałem za potrzebne i korzystne dla mieszkańców Stanu. Jeżeli mogłem przekonać tych panów z organizacji i jeżeli mnie poparli—tym lepiej. Wtedy mogliśmy już pracować wspólnie, w najprzyjaźniejszych stosunkach.

Jeżeli zaś nie dali się przekonać, stawałem

jawnie do walki i, po większej części, udawało mi się przeprowadzić moje zamiary i otrzymać pożądaną zmianę ustaw.

A tymczasem lud stopniowo budził się i zaczynał rozumieć, że politycy nie dają mu takich rządów, jakich pragnął. W miarę zaś jak ta świadomość rozszerzała się na inne Stany, po całym kraju zaczynała słabnąć potęga przywódców organizacji; ale wtedy zaszła ciekawa zmiana. Oto ci sami reformatorzy, którzy dotąd krytykowali ich głośno—zaczęli zmieniać swoje postępowanie. Wydawcy dzienników, prezesowie kolegjów, prawnicy i wielcy przemysłowcy dopóty walczyli z przywódcami i popierali reformy, dopóki te reformy nie zagrażały ich interesom, lub interesom ich wspólników. Ale gdy ujawniło się, że ten nowy ruch dąży do zwalczenia nietylko przywilejów wielkiego przemysłu, lecz w ogóle wszelkich przywilejów — w polityce, w społecznych i przemysłowych urządzeniach—dotychczasowi przeciwnicy stanęli zgodnie — ramię przy ramieniu — do wspólnej walki, przeciw reformom, zagrażającym przywilejom.

Byłem zawsze demokratą z przekonań i z wrodzonego popędu, ale, gdybym potrzebował dopiero przyswajać sobie demokratyczne zasady, byłoby mi wystarczyło do nawrócenia postępowanie nietylko bogaczów, lecz nawet ludzi, szczycących się swym wykształceniem i kulturą, gdy zaczęliśmy wojnę z niesprawiedliwością naszych urządzeń społecznych i przemysłowych, nie oszczędzając winnych, bez względu na ich stanowisko i majątek. I dopiero zostawszy gu-

bernatorem, zrozumiałem rzeczywiste przyczyny postępowania tak bogaczów, jak i tych, którzy dostrajają się do tonu bogaczów.

Wkrótce po objęciu stanowiska gubernatora miałem sposobność przekonać się, jak bezwzględne rządy sprawują przywódcy stronnictw. Senator Platt w stosunku osobistym do mnie był zawsze uprzejmy i przyjacielski. Ale gdy w sprawie budowy kanału Erie, przy której za poprzednich rządów działy się skandale, postanowiłem wybrać na dyrektora robót kanałowych człowieka zdolnego i nieposzlakowanej uczciwości, Platt pochwaliwszy mój wybór, wręczył mi telegram od innego kandydata, który oznajmiał, że gotów jest przyjąć ten urząd. Nie miałem nic przeciw temu kandydatowi prócz tego, że mieszkał w mieście, położonym przy linji kanału, co, według mnie, stanowiło już dostateczną przeszkodę do powierzenia mu tego stanowiska. Musiałem też zaznaczyć w tym wypadku, że ja — i tylko ja sam — rządzę w powierzonym mi wydziale. Powiedziałem więc senatorowi bardzo grzecznie, że—choć z żalem — nie mogę mianować jego kandydata. Wywołało to wielki wybuch gniewu senatora, ale ja starałem się zachować spokój i powtórzyłem, że nie mogę przyjąć kandydata, wybranego przez innych, bo postanowiłem wybrać go sam. Mówiłem grzecznie, lecz tak stanowczo, że Platt i jego sojusznicy musieli ustąpić. Wybrałem na dyrektora inżyniera z Brooklynu pułkownika Partridge i przedstawionego przezeń pomocnika Cornella. Obaj oni w wydziale—najważniejszym ze wszystkich—rządzili wzorowo przez czas moich rządów

gubernatorskich i sądzę, że trudnoby znaleźć lepiej prowadzone roboty, niż te, jakie odbywały się pod ich kierunkiem.

Sprawa ta i sposób, w jaki sprawowałem rządy, postawiły odrazu moje stosunki z senatorem Plattem na stanowisku jasno okreslonym; ale mimo to mieliśmy parokrotnie burzliwe starcia. Usiłowałem za każdym razem przekonać go, że nie dążę do wyrwania stronnictwa z pod jego władzy — wyjaśniałem mu szczerze powody, jakiemi się kieruję i, dopiero po wyczerpaniu wszystkich możliwych argumentów, oznajmiałem, że nie cofnę się nawet przed walką.

Senator był stary, słabowity i byle co mu szkodziło. Do piątkowego wieczora obowiązki zatrzymywały go w Waszyngtonie, a ja byłem wtedy w Albany. Chcąc się z nim widzieć, szedłem w sobotę do jego hotelu, gdzie jedliśmy razem śniadanie. Nie dopuszczałem nigdy do żadnych spotkań w tajemnicy. Żądałem zawsze jawności w postępowaniu, ale nie przeszkodziło to moim przeciwnikom do rozgłaszania różnych uwag o tych „śniadaniach". Ja zaś, chcąc przeprowadzić różne sprawy, niemiłe Plattowi, obrałem tę właśnie drogę, ażeby mu grzecznie i szczerze wytłumaczyć moje plany i zjednać go dla nich. Dopóki nie było między nami „tarcia", śniadania stawały się zbyteczne, lecz, ilekroć groził zatarg, musiałem bezzwłocznie iść do niego. Śniadania te bywały zawsze zapowiedzią wojny między nami, lecz kończyło się wszystko moim zwycięstwem, choć nie w takiej formie, jak sobie życzyłem.

Senator, ostatecznie, zgadzał się — choć nie-

chętnie i z gniewem — na przedstawiane przezemnie projekty i nie doszło nigdy do zerwania między nami. Przeprowadziłem mnóstwo ustaw, dotyczących spraw robotniczych, np. pomnożenie inspektorów fabrycznych, komisję, czuwającą nad domami *„familijnemi“* (która uzyskała znaczną poprawę warunków mieszkaniowych), nadzór nad fabrykami cukierków, zaprowadzenie ośmiogodzinnego dnia i powiększenie płacy, prawo o ścisłym przestrzeganiu godzin zajęcia pracowników kolejowych, uregulowanie godzin pracy dla kobiet w fabrykach, zabezpieczenie kobiet i dzieci od niebezpieczeństwa maszyn, zaprowadzenie porządnych rusztowań dla robotników budowlanych, i t. d.

Wielu dzielnych ludzi pomagało mi w tych walkach, a gdy robiłem przegląd domów familijnych i sklepów ze słodyczami towarzyszył mi zawsze Jake Riis, dawny mój towarzysz z czasu rządów w Wydziale Policyjnym. Dzięki naszym rewizjom nastąpiły korzystne zmiany, nietylko w ustawach, ale i w samej administracji. Przeprowadziliśmy uchwalenie zasiłku dla szpitala suchotników, prawo, zapobiegające fałszowaniu produktów spożywczych i prawo, opiekujące się mleczarzami. Uzyskaliśmy ustawy, korzystne dla rolników, ustawy, zabezpieczające lasy i zwierzynę i wiele innych jeszcze, które tu pomijam.

W sprawach tych dawałem sobie jako tako radę z „organizacją“. Ale w dwuch wypadkach, gdzie wchodziły w grę interesa „grubych ryb“, musieliśmy staczać zacięte walki z senatorem i z organizacją stronnictwa republikańskiego.

Najważniejsza sprawa, w jakiej miałem zatarg

z senatorem, odnosiła się do zasadniczych podstaw polityki i wywołała pierwszy krok do poddania rządowej kontroli wielkich przemysłowych towarzystw. W tym razie musiałem toczyć walkę z organizacją demokratyczną i republikańską; gdyż przywódcy obu stronnictw — senatorowie Platt i Hill — stawili jednaki opór moim zamiarom, a wielcy przemysłowcy i bankierzy stanęli razem, bez względu na przynależność partyjną. Wywołało to wielkie wzburzenie i zapoczątkowało—we wschodnich przynajmniej Stanach — próby zniszczenia wielkiego przemysłu, ażeby nie stawiał oporu życzeniom ogółu i rozporządzeniom rządu.

Zamiana tramwajów konnych na elektryczne w Nowym Yorku otworzyła pole do najgorszego rodzaju machinacji i układów między przemysłowcami a politykami. Przywilej udzielony był bez zabezpieczenia jakichkolwiek wzamian opłat od uprzywilejowanych; a to skutkiem niewłaściwego protekcjonizmu. Wzamian za udzieloną protekcję, politycy otrzymywali od protegowanych Towarzystwa zasiłki na koszta kampanji wyborczej, a Towarzystwa wypłacały pieniądze członkom obu stronnictw.

Zanim zostałem gubernatorem, wniesiono do Nowojorskiego Zgromadzenia Prawodawczego projekt opodatkowania tramwajów, co zagrażało stratą towarzystwom uprzywilejowanym; projekt więc spoczął, skazany na drzemkę. Oba stronnictwa były mu zarówno przeciwne, ale, według praw Stanu Nowojorskiego, bill taki mógł być wprowadzony na porządek dzienny posiedzeń Zgromadzenia z pominięciem kolei porządkowej, gdyby

gubernator zażądał tego, przysyłając urzędowe wezwanie. Rozejrzawszy się w tej sprawie, doszedłem do wniosku, że najprostsze zasady uczciwości nakazują towarzystwom tramwajowym opłacać podatek, tym więcej, że nie czyniły one nic dla publiczności, wzamian za otrzymane przywileje. Wydawało mi się to tak proste i naturalne, że nie przypuszczałem nigdy, jaką burzę i gniewy wywołam moją propozycją. Senator Platt czynił, co mógł, ażeby mnie skłonić do zaniechania zamiaru—a razem z nim, szli i przywódcy przeciwnego stronnictwa. Senator Platt był zupełnie szczery. Napisał list w tonie przyjaznym i umiarkowanym, a w liście tym uczynił mi osobliwy zarzut, że jestem „altruistą". Zaznaczał, że nie ma nic przeciw mojej niezależności w polityce, bo ufa, że postępuję uczciwie i jawnie, ale że go ostrzegano—zanim przedstawiono mnie jako kandydata — że jestem człowiekiem niebezpiecznym, jako „altruista", a teraz on sam—Platt—obawia się, że moje postępowanie stwierdzi słuszność tego zarzutu. Zastanowiła mnie nietylko szczerość senatora, ale i użycie nazwy „altruista" w znaczeniu ujemnym, jak np. „socjalista" lub „komunista".

Odpowiedziałem senatorowi, że, jako gubernator, stłumiłem bez wahania — mimo mego „altruizmu"—zaburzenia w Buffalo i innych miastach, nie zważając na oskarżenia, jakiemi obrzucali mnie przywódcy ludowi; ale że nie pozwolę na żadne nadużycia kapitału, tak samo, jak nie dopuszczę do żadnych zamachów na prawo własności.

Listy, wymienione między mną a senatorem, wiosną 1899 r., określają jasno przekonania dwuch obozów republikańskiego stronnictwa, których nieprzyjaźń rosła wciąż, aż doprowadziła do wybuchu w trzynaście lat później. W 1912 polityczne i finansowe potęgi, których obrońcą był senator, zagarnęły rządy w stronnictwie, skutkiem czego wystąpili z jego szeregów wszyscy ci, którzy chcieli uczciwie pogodzić zasady stronnictwa z potrzebami i warunkami obecnych czasów.

Postanowiłem był jednak niezłomnie, owej wiosny 1899 r., przeprowadzić bill, spoczywający w Zgromadzeniu Prawodawczym i 27 kwietnia wysłałem odpowiednie orędzie. Przywódcy rozgniewali się srodze, a senator Platt podarł moje wezwanie, nie przeczytawszy go w Zgromadzeniu. Całą noc zużytkowali na przygotowania do obalenia billu—co nie było trudne, bo sesja zbliżała się już do końca. Nazajutrz rano, o siódmej, dowiedziałem się, co zaszło. O ósmej byłem już na Kapitolu, i posłałem obradującym nowe orędzie z takim wstępem:

„Dowiedziałem się, że orędzie, przysłane przezemnie wczoraj wieczorem w sprawie billu o opodatkowanie towarzystw tramwajowych, nie zostało odczytane na posiedzeniu. Dlatego wysyłam powtórne wezwanie w tej samej sprawie. Nie potrzebuję chyba tłumaczyć Zgromadzeniu konieczności uchwalenia tego billu natychmiast".

Posłałem orędzie przez mego sekretarza Williama Youngsa, poleciwszy mu dodać ustne objaśnienie, że — jeżeli pismo moje nie zostanie

zaraz odczytane, przyjdę i odczytam je sam, osobiście. Opozycja stropiła się i bill przeszedł w obu Izbach, gdzie dopomogli mu do zwycięstwa moi przyjaciele; ale zanim wprowadzono w wykonanie uchwalone prawo, musieliśmy jeszcze staczać liczne walki z temi, którzy starali się je opuścić i osłabić jego skuteczność.

Jednym z najprzykrzejszych obowiązków naczelnej władzy, tak w Nowym Yorku, jak w całym państwie, jest odmowa ułaskawienia. A jednak, uważam, że dobry obywatel musi koniecznie mieć ten hart ducha, który pozwala oprzeć się naleganiom o łaskę. Największy nacisk w tym kierunku bywa w dwuch wypadkach: gdy wydano wyrok śmierci — albo gdy skazany zajmował stanowisko wybitne w świecie handlowym czy przemysłowym, i jeżeli, skutkiem tego, przestępstwo jego ma łączność ze sprawami finansowemi.

Po wydaniu wyroku śmierci, największy kłopot z tym, że wrażliwi ludzie — tak kobiety jak mężczyźni — widzą tylko człowieka, którego los został rozstrzygnięty, lecz nie widzą ani jego ofiary, ani tych licznych mas, które ucierpiałyby w przyszłości, gdyby zbrodniarz został ułaskawiony.

Zwykle każdy przestępca, choćby najgorszy, ma kogoś, kto za nim prosi, a nieraz nawet ci, których najsroższej skrzywdził. Jeżeli ma matkę, to zjawia się ona zawsze, niezłomnie przekonana że popełnione przestępstwo jest wyjątkowe i że ma prawo do ułaskawienia. Niewypowiedzianie bolesny jest widok krewnych i przyjaciół mordercy, skazanego na śmierć. W rzadkich tylko

wypadkach spełnianie urzędowych obowiązków pozbawiało mnie snu, ale zaliczyć muszę do nich noce, po rozmowie z nieszczęśliwą matką skazańca, nieraz tak niegodziwego, niebezpiecznego i szkodliwego, że byłoby zbrodnią z mej strony darować mu życie.

Bywały i takie zdarzenia, że żądanie łaski budziło we mnie poprostu gniew i oburzenie. Do tego rodzaju zbrodni zaliczam gwałt, rozpowszechnianie pornograficznej literatury i wszystko, co ma związek z t. zw. handlem „białemi niewolnicami"; zamordowanie żony, okrucieństwo względem kobiet i dzieci, uwiedzenie i porzucenie uwiedzionej, lub też nacisk uwodziciela na niewinną dziewczynę, ażeby poddała się zbrodniczej operacji.

W tych zaś wypadkach, gdzie przestępstwo połączone było ze sprzeniewierzeniem znacznych sum, trudność wynikała z innych powodów.

Rodziny przestępców nawykły do wygód, często nawet do zbytku i wykwintu; dzieci otrzymały staranne wykształcenie. W takich razach przestępstwo ojca staje się klęską dla żony i dzieci: więc całe koło znajomych — mimo rozgoryczenia przeciw ojcu—zaczyna współczuć doli zgnębionej rodziny, pokutującej za winy ojca. Gdyby mieć wzgląd tylko na rodzinę, każdy przebaczyłby chętnie przestępcy. Ale byłoby to niesłuszne. Doświadczenie przekonało mnie, że za zbrodnie takie, jak morderstwo, gwałt i t. p., zamiana kary śmierci na dożywotnie więzienie jest niesprawiedliwością; tak zwane „dożywotnie więzienie" kończy się zwykle uwolnieniem po latach czternastu.

Rozumie się, że w wielu razach zmniejszałem kary lub ułaskawiałem winnych, i czyniłem to z prawdziwym zadowoleniem. Jako prezydent, często zmieniałem wyroki za kradzież koni na Terytorjach Indyjskich, gdyż kara w tym wypadku bywa nieproporcjonalna do wielu innych przestępstw, a winy dopuszczał się zwykle jakiś młody chłopak, który zabierał spotkanego, na pół dzikiego konia, nie przypuszczając, że grozi mu za to tak sroga kara.

W jednym wypadku ułaskawiłem w Nowym Yorku człowieka, który popełnił morderstwo: a uczyniłem to, kierując się zdaniem mego przyjaciela, Ojca Doyle, ze zgromadzenia Paulinów. Zaprzyjaźniłem się z Paulinami jeszcze wtedy, gdy pełniłem urząd sekretarza Wydziału Policyjnego i nawykłem polegać na ich sądzie, bo przekonałem się, że mówili zawsze prawdę, bez względu na to, czy oskarżony był katolikiem, czy nie.

W wypadku, o którym mówię, oskarżonym był niemłody, uczciwy Irlandczyk, strażnik przy wielkiej rzeźni. Młodzi łotrzy z tej dzielnicy dopuszczali się kradzieży w różnych zakładach, a w zatargu ze stróżem nocnym jeden z łotrów został zabity. Stróża sąd ułaskawił, lecz cała dzielnica oburzyła się na wyrok. Wkrótce potym ta sama banda łotrów napadła innego strażnika, tego właśnie starego Irlandczyka, który w obronie życia zabił jednego z napastników. Mimo to, opinja tej dzielnicy zwróciła się przeciw niemu i ludzie, mający wysokie stanowiska w Zarządzie Towarzystwa, do którego należała rzeźnia, stchórzyli i uznali, że lepiej poświęcić strażnika. Ska-

zano go na śmierć. Ojciec Doyle przyszedł wtedy do mnie, zapewnił, że zna dobrze skazanego, że to jeden z najlepszych ludzi w całej parafji, uczciwy i zacny, że był poprostu zmuszony walczyć w obronie własnej przy spełnianiu obowiązku i że skazanie go jest tryumfem dla najgorszych żywiołów dzielnicy. Zbadałem sprawę, doszedłem do tego samego przekonania, co Ojciec Doyle i ułaskawiłem całkowicie skazanego, jeszcze przed upływem przepisanych dni trzydziestu.

Walki, jakie staczałem z organizacją związkową, zwycięstwa jakie nad nią odnosiłem i wzrastające wśród ludu zajęcie sprawami publicznemi wywołały dziwny skutek. W 1900 r., w Filadelfji, na zebraniu związku Republikanów, senator Platt, wraz z organizacją Nowojorską, postanowił usunąć mnie ze stanowiska gubernatora, ze względu na nieprzyjaźń, jaką obudziłem w kierownikach wielkich przedsiębiorstw. Ale nieprzyjaciele moi wiedzieli, że trudno będzie usunąć mnie, wobec wielkiej popularności, jaką mam w narodzie. Postanowili więc „przepchnąć“ mnie na wice-prezydenta, licząc, że właśnie moja popularność pomoże im do przeprowadzenia tej kandydatury. Ja sam nie doceniałem własnej popularności, a że nie nęciła mnie godność wice-prezydenta, interesowały zaś i zajmowały rządy na stanowisku gubernatora, odpowiedziałem, że się nie zgadzam. Lecz w Filadelfji zastałem położenie niebezpieczne, gdym pojechał tam jako kandydat. Wystąpił na widownię senator Hanna i opierał się memu wyborowi na wiceprezydenta, a senator Platt wybór ten popierał, chcąc się mnie pozbyć z urzędu gubernatora.

Obaj ci mężowie żywili względem mnie jednakie uczucia. Moi stronnicy zaś w Nowym Yorku chcieli mnie tam zatrzymać, ale ogół wyborców w innych Stanach, pochwalając moją dotychczasową działalność, żądał mej nominacji na wiceprezydenta. Nieprzyjazne względem mnie stanowisko senatora Hanny budziło niechęć, skutkiem czego, obawiając się oporu przy powtórnym wyborze prezydenta Mac-Kinleya, zaczął się wahać.

Tymczasem na zebraniu delegatów z Nowego Yorku senator Platt oznajmił mi, że jeżeli nie przyjmę stanowiska wice-prezydenta, zostanę pobity przy wyborze na gubernatora. Odpowiedziałem mu, że przyjmuję wyzwanie, że uwiadomię delegatów o jego groźbie i że mam niezłomne postanowienie walczyć i zdobyć wybór na gubernatora. Doprowadziło to senatora do upamiętania. Na wice-prezydenta postawiono kandydaturę Woodruffa.

Myślałem, że to koniec sprawy i że nie będzie już żadnych usiłowań mianowania mnie wiceprezydentem. Ale wynik był przeciwny moim oczekiwaniom. Zwycięstwo, odniesione nad organizacją Nowojorską, zachęciło delegatów z innych Stanów do przeprowadzenia mojej kandydatury. Senator Hanna doszedł do wniosku, że jest to nieuniknioną koniecznością i przyłączył się do nich. Ponieważ nie życzyłem sobie, ażeby mieszkańcy Nowego Yorku głosowali za moją kandydaturą na wiceprezydenta, gdyż wyglądałoby to, że chcą się mnie pozbyć jako gubernatora, zostałem wybrany głosami posłów z innych tylko Stanów. Nie postawiono żadnego innego kandydata.

Zadania moje — jako gubernatora — były prawie skończone, gdy nagle otworzyło się przedemną nowe pole do działania. Tammany Hall zaczęła gorąco popierać kandydaturę Bryana na prezydenta w 1900 roku, a gdy Tammany kogo popiera tak gorąco, ludzie z przeciwnego obozu powinni mieć się na baczności.

Powróciwszy z wycieczki na Zachód do Sagamore Hill, postanowiłem użyć całego mego wpływu dla zapewnienia uczciwych wyborów na prezydenta.

Wybory odbyły się w porządku, uczciwie, bez nadużyć.

IX.

W domu i za domem.

Sagamore Hill nazwano tak na pamiątkę starego Sagamore Mohannisa, wodza niewielkiego szczepu, który zrzekł się praw do tej ziemi, przed dwoma i pół wiekami. Dom stoi na szczycie pagórka, oddzielony od innych domów polami i lasami, a widok ma na zatokę i cieśninę. Słońce zachodzi za rozległemi przestrzeniami ziemi i wody. Mnóstwo ptaków przemieszkuje na drzewach, otaczających dom, na polach i w lasach okolicznych, a w zimie, mewy i dzikie ptactwo przylatują na wody zatoki i cieśniny. Miłe nam są wszystkie pory roku: śnieg i obnażone drzewa wśród zimy, szmery rosnących traw, rozwijających się liści i kwiatów wiosną; złociste zboża, dojrzewające owoce, głęboki cień zielonego listowia w lesie i ostre, jesienne wichry, które odzierają jaskrawe barwy, strojące drzewa na pożegnanie kończącego się roku.

Cieśnina jest zawsze piękna. W letnie noce, wpatrujemy się w nią z *piazzą* przed domem, śledząc światła statków, przepływających po mo-

rzu. Czasem spędzamy cały dzień na wodzie, wiosłując sami: wysiadamy, by zjeść śniadanie w południe, pod staremi dębami, na samej krawędzi postrzępionego wybrzeża, lub między dzikiemi śliwami, na ławicy białego piasku, gdy w oddali migają w słońcu białe żagle szkut.

Long Island nie obfituje tak w kwiaty, jak zatoka nad Hudsonem. Ale jednak i tu kwiatów nie brak. Już na początku kwietnia, zbocze pagórka w naszym sąsiedztwie jaśnieje żywemi barwami białego i różowego kwiatu. Kwitną tam wtedy ciernie i jerzyny, a choć nigdy nie zrywamy polnych kwiatów, wysyłamy jednak zawsze pęk kwiatów tarniny do przyjaciół w Panamie, którzy tęsknią za urokami północnej wiosny.

Potym zakwitają delikatne anemony i wdzięczne wiśnie; czaruje przez krótką chwilę urok sadów, pełnych kwitnących jabłoni; rozwijają się koleją rozmaite kwiaty w lasach i na polach, aż zamknie urok wiosny kwiat laurów i słodko pachnący kwiat akacji. Potym nastają kwiaty letnie—wspaniałe lilje, lewkonje, malwy i blade róże pnące, a gdy dnie już krótsze i zaczyna się myśleć o ogniu na kominkach, różnobarwne astry i gieorginje.

Większa część ptaków w naszej okolicy należy do pospolitych gatunków, żyjących w pobliżu domu i śpichrza, mieszkańców lasów i pól; ale i wśród nich zachodzą dziwne zmiany. Wesołej przepiórki — niestety, niema już u nas prawie wcale. Ale za to inne ptaki, nie widywane dawniej, przybywają teraz do nas. Za moich chło-

pięcych czasów nie gnieździła się w pobliżu ani zielona piegża z czarnym gardziołkiem, ani czyżyki, a teraz są tu bardzo pospolite.

Kiedy byłem prezydentem, mieliśmy domek w Zachodniej Wirginji, śliczny, pomimo że zbudowany z prostych tarcic. Spędzaliśmy w nim często dłuższy czas jesienią, i mieliśmy tam zawsze upolowane przez siebie przepiórki i króliki, a nawet raz dzikie indyki. Przebywaliśmy tam czasem i wiosną. Naturalnie, ptaki były tu inne, niż nasi przyjaciele w Long Island: słyszeliśmy przedrzeźniacza, najzabawniejszego z ptaków i niebieskie grzebodzioby, kardynały i mysie króliki, pięknie śpiewające. Ale najciekawsze były latające wiewiórki, polatuchy; cieszyliśmy się całą taką rodziną wiewiórczą, złożoną z rodziców i kilkorga młodych wiewiórcząt, które sobie obrały mieszkanie między belkami pułapu. W nocy sypialiśmy tak twardo, że nie przeszkadzały nam wcale szalone harce zwierzątek, latających po pokoju, choć zdarzało się, że któreś z nich spadło na nasze łóżko i przebiegło po posłaniu.

Pewnego razu, w kwietniu, gdy jeszcze leżał śnieg głęboki, pojechałem do parku Yellowstone z przyjacielem przyrodnikiem, chcąc mu pokazać dzikie zwierzęta, tam umieszczone, które dały się zdumiewająco obłaskawić i oswoić z widokiem ludzi. Są tam owce, jelenie, antylopy i wielkie stada łosi, bojaźliwszych niż mniejsze zwierzęta. W kwietniu były one osłabione po bardzo ciężkiej zimie. Udało mi się spędzić, z wielką trudnością, duże stado, ale mój przyjaciel niebardzo się niemi zainteresował. Więcej

zajmowały go ptaki, zwłaszcza mała sówka, wielkości rudzika, która, siedząc w biały dzień na drzewie, obojętna na blask słońca, wydawała osobliwy głos, podobny do wyciągania korków z butelki.

Podczas polowań na wilki w Texasie i na niedźwiedzie w Luizjanie (Mississippi) zajmowały mnie nietylko lasy, lecz i różne nieznane ptaki, zwierzęta, drzewa i kwiaty. Wyprawiłem raz w Białym Domu, pamiętam, uroczystość: obiad dla *„łowców niedźwiedzi“*. Myśliwi ci przyjmowali mnie tak gościnnie na swych polowaniach, a tacy dzielni byli to ludzie, że zapragnąłem ich ugościć obiadem w urzędowej rezydencji prezydenta. Udało mi się pewnego dnia grudniowego zgromadzić ich około trzydziestu, doskonałych myśliwych, śmiałych jeźdźców i wzorowych obywateli. Nigdy chyba godniejsze towarzystwo nie zasiadało przy biesiadnym stole w Białym Domu. Oprócz innej zwierzyny, pojawił się na tej uczcie czarny niedźwiedź, upolowany przez jednego z gości.

Zwiedzając Kalifornję, radowałem się widokiem drzew-olbrzymów *Sequoia*, a raz wybrałem się na zwiedzenie tamtejszych *sierras*, mając za przewodnika Johna Muira, który przywiódł ze sobą kilku towarzyszów i dwa muły do dźwigania naszego namiotu, pościeli i żywności podczas trzydniowej wycieczki. Pierwszą noc mieliśmy pogodną i spędziliśmy ją pod ciemnym sklepieniem lasu olbrzymich *Sequoia*. Wspaniałe pnie, pięknego koloru i kształtu, otaczały nas, jak filary katedry, piękniejszej od wszystkich dzieł ludzkich.

Ptaki śpiewały przed wieczorem, a rano, o brzasku, rozpoczynały znowu swoje pienia. Dziwiłem się, że towarzysz mój—nie tak jak przyrodnik, o którym przedtym wspominałem—nie interesował się wcale ptakami ani ich śpiewem; tego znów zajmowały tylko kamienie i skały.

I ja — jak wielu Amerykanów — wiem dużo o ptakach europejskich, zwłaszcza tych, które żyją w Anglji: pragnąłem więc zawsze zobaczyć je i posłuchać ich śpiewu. Zdarzyła mi się do tego sposobność w czerwcu, 1910 r., kiedy spędziłem parę tygodni w Anglji. Towarzyszył mi w tej wyprawie sir Edward Grey, wielki znawca i miłośnik przyrody, który zna doskonale życie ptaków. Nie mogłem marzyć o lepszym przewodniku.

Wyjechaliśmy z Londynu 9 marca, na dwadzieścia cztery godziny przed moim wypłynięciem z Southamptonu. Z pociągu poszliśmy pieszo do ładnej, śmiejącej doliny Itchen, gdzie błądziliśmy parę godzin. Wypiwszy herbatę w gospodzie, powędrowaliśmy do drugiej gospody, stojącej na przeciwnym brzegu lasu. Przy rozstaniu towarzysz mój spisał mi nazwy wszystkich ptaków, jakie widzieliśmy lub tylko słyszeli. Zdumiałem się obfitością tej skrzydlatej rzeszy, gdym przeczytał spis, zawierający aż czterdzieści nazw różnych gatunków.

Dolina Itchen jest typowym okazem tej Anglji, jaką znamy z powieści, z historji i studjów. Piękna, bogata, żyzna pięknością, poprzerzynana strumieniami, płynącemi wśród sitowia, pełna zieleni liści i traw—ze wspaniałemi lasami, licznemi ogrodami i malowniczemi domkami—wśród których

widać wielkie, bogate pałace, otoczone rozległemi parkami. W tej wędrówce najwięcej uderzyły moją uwagę kosy. Nie słyszałem nigdy i nigdzie tyle śpiewających kosów, które tu rej wiodły w potężnym chórze ptasim. Kosy tu skaczą wszędzie, po trawnikach i drzewach, a gnieżdżą się w ogrodach, jak u nas rudziki, do których podobne mają zwyczaje.

Doszliśmy do gospody o dziewiątej wieczorem dopiero; zastaliśmy tam wygodny nocleg, wzorowy porządek, doskonałą kąpiel i wieczerzę; nie spędziłem przyjemniejszych dwudziestu czterech godzin w czasie całej wycieczki mojej do Europy.

W dziesięć dni później—w Sagamore Hill—byłem już wśród moich własnych ptasząt. Przyglądałem się im i przysłuchiwałem z wielkim zajęciem, porównywując je z tamtemi, które widziałem w Anglji. Wieczorem, siedząc w fotelu na biegunach na otwartej werandzie, wpatrywałem się we wspaniały zachód słońca nad cieśniną. Zbocze pagórka, porosłe gęstą trawą, dochodziło do lasu, skąd dolatywał śpiew ptaków, odmawiających wieczorne modlitwy. Nad moją głową, w gęstym listowiu drzewa, gwizdały wilgi, świergotały rudziki, które usłały sobie gniazda nad frontowemi i tylnemi drzwiami domu i między gałązkami pachnącego wina. Przez pierwszą dobę po powrocie słyszałem i widziałem w pobliżu domu i w sąsiednim lesie *czterdzieści dwa* gatunki ptaków. A śpiewały donośnie, bo na Long Island śpiew ich milknie dopiero w połowie lipca, kiedy

kwitnące orzechy zasypią wszystkie ścieżki w lesie puchem swego żółtawo-zielonkowego kwiecia.

W Sagamore Hill drogie nam jest wszystko: ptaki, drzewa i książki—konie i strzelby—dzieci i zajęcia domowe—i rozkosz, jaką nam daje życie. Mamy tam kominki z wielkiemi ogniskami, na których kłody drzewa trzaskają i płoną w długie zimowe wieczory. A na upalne ciche popołudnia letnie jest *piazza* przed domem. W każdym domu jest mnóstwo rzeczy cennych dla właścicieli, choć dla obcych nie są zupełnie obojętne. Człowiek, który był prezydentem i zajmował prócz tego inne stanowisko urzędowe, ma zawsze zbiór drogocennych pamiątek, bez względu na wartość położonych przez niego zasług.

Wśród moich zbiorów najcenniejszą, może, jest bronzowa grupa, przedstawiająca jeźdźca na dzikim koniu, ofiarowana mi przez żołnierzy po rozwiązaniu naszego pułku—i wielki srebrny wazon, dar marynarzy z wojennego statku „Luizjana", wręczony pani Roosevelt, po powrocie z wycieczki do Panamy. Było to dla nas zupełną niespodzianką, gdy w Białym Domu zjawiło się czterech barczystych marynarzy z wazonem. Marynarzy poznałem dopiero zostawszy prezydentem, a gdy po skończonej podróży na „Luizjanie" wygłosiłem krótką mowę do ludzi, z załogi towarzyszących nam statków, jeden z oficerów zaproponował trzykrotny okrzyk na moją cześć w tych słowach:

— A teraz, chłopcy, trzy razy „hurra" na cześć prezydenta Roosevelta, wzorowego obywatela amerykańskiego!

W taki sposób — najwłaściwszy — osądzili mnie i moją działalność.

Czterech delegatów, przybyłych wieczorem do pani Roosevelt, witali i przyjmowali dwaj moi najmłodsi synowie, a gościli ich jak starszych, dorosłych braci. Chłopcy obwozili marynarzy po Waszyngtonie naszym landem i pokazywali im wszystkie osobliwości miasta.

Mamy też i inne pamiątki w domu: *Purytanina*—dzieło rzeźbiarza Saint-Gaudens'a — dar moich towarzyszy z czasu rządów gubernatorskich *Pumę*, podarunek „*tennisowego ministerjum*", które, prócz tego, ofiarowało mi jeszcze piękną, srebrną czaszę; „*Jeźdźca*" Macmonnies'a i wielki bronzowy wazon, w stylu glinianych wazonów, wyrabianych przez Indjan na Południo-Zachodzie. Oprócz tych pamiątek, mam jeszcze mnóstwo innych darów, począwszy od „*Buddy*„ przysłanego mi przez Dalaj Lamę i *psałterza* od cesarza Menelika; mam miecz Samuraja, dar Japonji — na pamiątkę zawarcia pokoju w Portsmouth i pięknie inkrustrowaną zbroję japońską od ulubionego mego bohatera, admirała Togo, kiedy odwiedził mnie w Sagamore Hill. Od europejskich przyjaciół otrzymałem mozaikowy portret papieża Leon XIII — minjaturę z Windsoru — wspaniałe wydanie Nibelungów i Danta, *Historję wojen* mego ulubieńca, Eugenjusza Sabaudzkiego — miecz króla Agandy — złotą skrzynkę z dyplomem „obywatela miasta Londynu" i mnóstwo innych darów, z różnych stron, nawet od sułtana i cesarzowej-wdowy chińskiej. Mam skórę podbiegunowego niedźwiedzia od Pearego, tiunikę,

z bawolej skóry i malowidłami na niej, arcydzieło jakiegoś dawno zmarłego artysty Siouxa— i wiele, wiele innych pamiątek. Naprzykład, świecznik, przy którym pieczętowano traktat pokojowy w Portsmouth i trzewik Dana Patcha, szybkobiega, co przebył milę w ciągu 1 minuty i 59 sekund.

W pokoju, t. zw. *„północnym*, z meblami, zrobionemi z drzewa, które mi przysłali wojskowi przyjaciele z wysp Filipińskich, są łby bizonów i innych zwierząt; są cenne obrazy i szkice. A książki mamy wszędzie — w *północnym* pokoju i w bawialni — w bibljotece i nawet w myśliwskim pokoju, skąd jest najpiękniejszy widok...

Książki gromadzimy bez żadnego specjalnego systemu,—ale książki takie, *które się czyta*. Książki o treści przyzwoitej, zdrowej i — zajmującej, co uważam za warunek niezbędny. Książka, która czytelnika nie zajmuje, nie przyniesie mu pożytku. Naturalnie, każdy powinien wyrabiać w sobie dobry gust, ażeby książki pożyteczne zajmowały go, a śmiecie książkowe nie—ale, po za tym warunkiem, każdy musi dostosowywać książki do własnych potrzeb i upodobań. Ja, osobiście, odniosłem korzyść tylko z tych książek, które czytałem z przyjemnością. Każdy też powinien być szczery i nie udawać, że budzą w nim zajęcie książki, które go w rzeczywistości nudziły, bo każdy ma swoje osobiste upodobania i nastroje, do których musi dobierać odpowiednie książki. Ja, naprzykład, zachwycam się Macbethem, a bardzo rzadko czytuję Hamleta, mimo że lubię niektóre jego ustępy. Nie dowodzi to,

bynajmniej, że Hamlet ma mniejszą wartość, ani też ja nie potrzebuję zapierać się tego i udawać zajęcie, którego nie odczuwam. Lubię epickie eposy i ballady — a nie zajmuje mnie dramat. Zdarza mi się czasami, że tak żywo zachwycam się jakimś współczesnym dziełem, iż piszę list do autora lub autorki. I zwykle żałuję potym, że pisałem, gdyż wprowadziłem ich mimowolnie w błąd. Pochwała moja nasuwa im przypuszczenie, że ogół podziela moje zdanie, gdy tymczasem zdarza się to rzadko.

W Sagamore Hill miłe nam są książki, lecz jeszcze milsze dzieci. Wieś jest najodpowiedniejszym miejscem dla dzieci, a jeżeli nie wieś, to, przynajmniej, miasto tak małe, ażeby można z niego łatwo wyjść na pola. Kiedy nasze dzieci były małe, mieszkaliśmy przez kilka zim w Waszyngtonie, ale każdej niedzieli popołudniu cała rodzina jechała do Rock Creek Parku, gdzie byliśmy zupełnie jak na wsi. Brałem tam zwykle wózek dziecinny, a kiedy najmniejsze nóżki zmęczyły się chodzeniem, wyścigami, lub wycieczkami przy zbieraniu kwiatów, czy innych skarbów, właściciel nóżek mógł zawsze usiąść do wózka dla wypoczynku.

Gdy byłem sekretarzem marynarki, Leonard Wood i ja zabieraliśmy często nasze dzieci i dzieci sąsiadów na przechadzki. Chłopiec Wooda, jak się okazało, miał mnie za ojca całej gromady, z wyjątkiem jego własnego rodzeństwa. Przeprowadzaliśmy raz dzieci po obalonym pniu, na drugi brzeg Rock Creeku, a ja, stojąc na samym środku, pilnowałem, by które nie wpadło do

wody, lecz usiłując przytrzymać jedno dziecko, wyjątkowo ruchliwe i roztrzepane, sam wpadłem do rzeki. Gdym się zamoczył, usłyszałem przeraźliwy krzyk synka jenerała Wooda:

— Oj! Oj! Ojciec wszystkich dzieci wleciał w wodę!

Dzieci cieszyły się bardzo łupami myśliwskiemi, jakie przywoziłem z wypraw. Kiedy wyruszałem na wojnę, w 1898 r. chwila pożegnania z domem nie była przyjemna, lecz najmłodszy chłopczyna rozproszył smutny nastrój, objął mnie rączynami za nogi i zawołał rozpromieniony:

— Ojciec jedzie na wojnę? I przywiezie nam niedźwiedzia?

A kiedy w pół godziny później ktoś zapytał, gdzie jest ojciec? odpowiedział:

— Nie wiem, gdzie ojciec, ale pułkownik jest w kąpieli...

Trudno wymarzyć przyjemniejsze dla dzieci i odpowiedniejsze do ich wychowywania miejsce, nad ten zakątek starodawnej Ameryki, gdzie leży Sagamore Hill, i gdzie mieszkały w sąsiedztwie trzy nasze rodziny, mające razem szesnaścioro dzieci. Była to wieś prawdziwa; dzieci miały potrzebną swobodę a my — możność rozciągnięcia nad niemi nadzoru; nie mogły wykręcać się od lekcji, zabronione im było nieposłuszeństwo; ale miały tam niewyczerpane źródła rozrywki. Biegały boso, bawiły się w falach zatoki. Pływały, wiosłowały, goniły się lub ślizgały; żyły w zażyłej przyjaźni z krowami, kurczętami, świńmi i innemi zwierzętami. Miały dwa konie—jenerała Granta najpierw, a gdy mu już nogi zesłabły

i potykać się zaczął, drugiego białego konia Algonquina, który żyje do tej pory, pędząc spokojny żywot w stajni lub na pastwisku, gdzie, mimo wieku, trzeba go wiązać, ażeby nie ścigał i nie płoszył krów. Stateczny *„Jenerał Grant“* ciągnął zwykle wózek, którym jeździły maleńkie dzieci, a woźnicą była stara niania Mame. Wypiastowała ona ich matkę od urodzenia, a z dziećmi łączyło ją uczucie żywsze, niż najbliższe pokrewieństwo. Raz jeden tylko widziałem starą nianię rozgniewaną, a to wtedy, kiedy z wielkiej dla niej miłości, dzieci nazwały jej imieniem, ulubioną świnkę!

Dzieci miały też i swoich osobistych ulubieńców. Pierwsze miejsce wśród nich zajmowały morskie świnki, które, dzięki swemu obojętnemu usposobieniu, nadają się bardzo na towarzyszki dzieci, serdecznych lecz zanadto wylewnych w objawach swych uczuć. Były także u nas polatuchy, kangurowe szczury, łagodnego i ufnego charakteru, a nawet borsuk, który, choć gniewliwy, był jednak w gruncie bardzo przyjacielski. Nazywał się Jozjasz, a chłopczyk, jego właściciel, miał zwyczaj nosić go, objąwszy silnie rączkami w pasie, gdyby w ogóle borsuk miał jakąś „figurę“. Ponieważ Jozjasz, stojąc na ziemi, brał się często energicznie do gołych łydeczek swego pana, zrobiłem raz uwagę, że byłoby niebardzo przyjemnie, gdyby skorzystał z tej wygodnej pozycji w objęciach opiekuna i zabrał się do twarzy. Ale właściciel Jozjasza odparł z oburzeniem niesłuszny zarzut, czyniący ujmę charakterowi borsuka.

— Jozjasz czasem gryzie w nogi — ale w twarz—nigdy!

Mieliśmy i młodego, czarnego niedźwiadka, lecz ten był ponury i uparty; psów, naturalnie, było bez liku. Przez cały swój psi żywot były niememi i cenionemi przyjaciółmi rodziny, a zgony ich stanowiły tragiczne wydarzenia w życiu domowym.

Najulubieńszym miejscem igrzysk dziecięcych, zwłaszcza w dni słotne, była stara stodoła, zbudowana przed stu laty, miła, jak wszystkie takie stare budowle. Stodoła stała w miejscu, gdzie się schodziły trzy płoty, a najprzyjemniejszą zabawą stanowiły wyścigi z przeszkodami, gdy w stodole było pełno siana. Dopóki dzieci były małe, ojcowie ich brali udział w wyścigach, lecz gdy, z biegiem lat, zaczęli się uchylać od czynnego udziału w zabawie, dzieci boleśnie dotknięte, uważały to za opłakany upadek ducha u starszych.

Drugim miejscem igrzysk była piaszczysta ławica, nad zatoką, o milę od domu. Podczas przypływu morza, biorący udział w wyścigach, mieli dodatkową przyjemność brnięcia tam przez wodę.

Jak tylko malcy nauczyli się pływać, wolno im było wiosłować samym podczas przejażdżek łodzią, robić wyprawy dalsze i spędzać noce na wybrzeżach cieśniny. Czasami jeździłem z niemi ja sam, zabierając wtedy i młodsze dzieci. O dwanaście mil od nas, koło przylądka, rozbiła się była kiedyś szkuta, a jej szczątki trzymały się jeszcze jakiś czas na skałach, obdarte ze wszystkiego do samych żeber. Te szczątki by-

wały dla nas miejscem noclegu podczas większych wypraw, w których i dziewczynki brały udział, bo wtedy umieszczaliśmy je pod osłoną rozbitka, a chłopcy nocowali na wybrzeżu, na odkrytym miejscu.

Dzieci moje, póki były małe, chodziły do najbliższej szkoły. Przez lat blisko trzydzieści urządzaliśmy w tej szkole choinkę na Boże Narodzenie. Przed rozdaniem podarunków obowiązany byłem zawsze wygłosić mowę, krótką na szczęście, bo moje dzieci, zupełnie szczerze, wyjaśniły mi zapatrywania swych kolegów na takie urzędowe przemowy. Następowały potym popisy dzieci, a rodzice wsłuchiwali się z zachwytem w drewnianą deklamację swych latorośli. Ale za to wszystko wynagradzało drzewko i upominki.

Mieliśmy i sanki, lecz gdy spadły duże śniegi, a cała rodzina pragnęła jechać, zakładaliśmy na płozy wielki wóz folwarczny, w którym wszyscy mogli się pomieścić. Wielką uciechę sprawiała nam jazda saniami do kościoła w Boże Narodzenie, na wieczorne nabożeństwo.

Wychowanie i wykształcenie dzieci kosztowało dużo trudu. Małe dzieci po wieczerzy dreptały do pokoju matki, która im czytała; ze zdziwieniem zauważyłem, jak bardzo różnorodnej treści książki interesowały je zarówno. W nieobecności matki zastępowałem ją przy wieczerzy i czytaniu, lecz liche to było zastępstwo. Dzieci nie pozwalały mi czytać tych książek, które czytała im matka i musiałem wybierać dla nich co innego. Czytałem im zwykle coś w rodzaju *Ostatniego*

z Mohikanów, lub jakieś historje o tygrysach i lwach, pożerających ludzi.

W doborze książek poważniejszych kierowałem się znowu względem nietylko na trafne pojmowanie zadań życiowych, lecz poszukiwałem rzeczy wesołych i zabawnych, bo humor jest doskonałym antydotem na zbyt wielką, a tym samym szkodliwą, powagę.

Dla dzieci, choć dorastały, Sagamore Hill było zawsze rozkosznym miejscem pobytu. Teraz już dzieci te przestały być dziećmi. Większa ich część pożeniła się i wyszła zamąż; pracują na szerokim świecie — jedni we własnym kraju, inni za morzami lub tam, gdzie w podzwrotnikowe noce świeci Krzyż Południowy. Niektórzy mają już własne dzieci, pracują w rozmaitych zawodach: przy budowie okrętów, w biurach przemysłowych, w fabrykach handlowych, w redakcjach, przy budowie żelaznych mostów; budują tory kolejowe i kierują przewozem towarów. Każde z nich złożyło już swą daninę niebezpieczeństw i przygód.

Dzieci te, wszedłszy w życie, poznały smutki i radości, tryumfy i porażki. Ale nie wątpię, że dziecinne lata, spędzone przez nie w atmosferze wesołej i zdrowej, były dla nich pomocą w walce życiowej.

Niepodobna zdobyć nagrody bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Żaden ojciec, żadna matka nie mogą uniknąć zmartwień i niepokojów i przeżywają straszne chwile, gdy śmierć zagraża ukochanym istotom.

Są w życiu różne rodzaje powodzeń i zwycięstw. Prawdziwe jednak powodzenie dostępne

jest dla każdego, kto nosi w swej duszy *zdrowy* ideał. Ideałem tym, dla mężczyzny i kobiety zarówno, powinno być przekonanie, że największą wagę ma to, co się odnosi do naszej fachowej istoty i do naszej rodziny. Kto ma odwagę walczyć o szczęście, które nikomu nie przyjdzie bez trudów, wysiłków i poświęceń—ten znajdzie źródła radości życia w umiejętnej pracy i w poczuciu obowiązku.

X.

Rządy prezydenta.

Dnia 6 września, 1901 r., prezydent Mac-Kinley otrzymał postrzał z rąk anarchisty w Buffalo. Pojechałem tam natychmiast. Stan prezydenta poprawiał się napozór i po upływie dwuch dni powiedziano nam, że nie grozi mu już niebezpieczeństwo. Wróciłem więc do mojej rodziny, która przebywała wtedy w Adirondacks, u podnóża góry Tahawus. W parę dni po moim powrocie wybraliśmy się na wielką wycieczkę w lasy, a ja popołudniu wdarłem się jeszcze na sam szczyt Tahawusa. Dostawszy się na wierzchołek, spuściłem się na drugą stronę góry, gdzie o paręset stóp w dole jest małe jeziorko i tam ujrzałem wychodzącego z lasu przewodnika, który szedł naszym śladem.

Zgadłem odrazu, że niesie złe wieści; jakoż wręczył mi telegram, zawiadamiający, że stan prezydenta pogorszył się znacznie i że muszę zaraz jechać do Buffalo. Było to już nad wieczorem, i zanim dobiłem się schroniska, gdzie mieszkaliśmy, zrobiło się zupełnie ciemno. Upłynęło sporo

czasu, nim znalazłem wózek, który mnie zawiózł na stację kolejową North Creek, odległą, mniej więcej, o mil pięćdziesiąt, gdzie czekał już na mnie pociąg specjalny i wiadomość, że prezydent zakończył życie. Tego samego wieczora przyjąłem przysięgę od urzędników w domu Ansleya Wilcoxa w Buffalo.

Trzy razy zdarzało się poprzednio, że, skutkiem śmierci prezydenta, urząd jego obejmował wice-prezydent, a za każdym razem następowała zupełna zmiana systemu rządów i całego składu wyższych urzędników, zwłaszcza ministrów. Ale ja nie pochwalałem tego. Jeżeli prezydent jest godnym swego stanowiska, potrafi wycisnąć własne piętno na działalności całego zarządu i nie ma potrzeby kłopotać się zagadnieniem, czy zmieniać swoje otoczenie, czy nie. W biurach, będących pod jego władzą, najważniejsze jest to, by urzędnicy spełniali dobrze swoje obowiązki.

Oznajmiłem na wstępie, że prowadzić będę bez zmiany politykę Mac Kinleya, mając za cel honor i szczęście kraju i prosiłem wszystkich członków gabinetu, by zatrzymali swoje teki. Rządziłem według tych samych zasad, co Mac Kinley, zmieniając je tylko i rozwijając w miarę zmieniających się okoliczności i potrzeb narodu.

Wspominałem już, opisując rządy moje jako gubernator, że stronnictwo republikańskie — dawniej postępowe — w ostatnich latach dziewiętnastego stulecia zmuszone było bronić interesów rządu przed nierozsądnym, nietrafnym i sztucznym radykalizmem. Pozostało ono jednak w gruncie rzeczy zdrowym i opierało się zawsze zakusom

partykularyzmu pojedyńczych Stanów — pomnąc, że ponad „Stanami“ i miastami stoi „Naród“. Ale prawami, jakie mają „Stany“, posługiwały się skutecznie oba stronnictwa wraz z Kongresem, ilekroć szło o zahamowanie reform, wymierzonych przeciw wielkim przedsiębiorstwom, lub mających na celu obronę robotników.

Przeciwnicy ich, głoszący hasła radykalne, wraz ze swemi sprzymierzeńcami, sentymentalistami, obrali zupełnie mylną drogę. Wynikły z tego następstwa, godne pożałowania: republikanie rzucili się w objęcia już nietylko konserwatystów, lecz reakcjonistów. Obie Izby w Kongresie były pod władzą tych ludzi: w Senacie panów Aldricha i Hale—w Izbie Hendersona. Zostawszy prezydentem, postanowiłem pozbyć się wszystkich trzech i ich popleczników, a nie miałem żadnej wątpliwości, że i oni postanowili równie stanowczo pozbyć się mnie. Mimo to, pracowaliśmy wspólnie przez lat kilka, choć wśród coraz częstszych zatargów: ja popychałem ich naprzód—oni ciągnęli mnie w tył. Z biegiem czasu zacząłem ponad głowami Senatu i Izby zwracać się wprost do narodu, który był ich i moim panem. I postępowałem tak do samego końca moich rządów—skutkiem czego stronnictwo republikańskie stało się znów postępowym—a właściwie jedynym rozsądnie postępowym w kraju.

Wśród senatorów i członków Izby niższej miałem wielu gorliwych i życzliwych pracowników, z któremi pracowałem w serdecznych stosunkach i zgodzie. Brak mi miejsca na wymienienie ich nazwisk, ale nie mogę tu pominąć

senatora Lodge, jako mojego osobistego i politycznego przyjaciela, z którym mogłem roztrząsać wszystkie kwestje nowopowstające. Senator Lodge najgruntowniej zbadał zagraniczne stosunki i, lepiej niż inni, rozumiał żywotną dla nas sprawę rozwoju marynarki, której siła stanowi o naszym wpływie w stosunkach z zagranicą.

Oprócz posłów, przedstawicieli narodu, było jeszcze mnóstwo ludzi wpływowych — w redakcjach, w biurach handlowych, w przemyśle, w różnych zawodach, na fermach i po sklepach: ludzi, którzy czynnie popierali moją działalność, a pomoc ich była nie mniej bardzo skuteczna. Zwłaszcza korespondenci z Waszyngtonu do najbardziej wpływowych dzienników, wyjątkowo zdolni, godni zaufania i ożywieni duchem wysoce obywatelskim, stanowili czynnik najważniejszy, w tej walce o rządy energiczne i uczciwe.

Względem urzędników, pracujących pod moimi rozkazami, zaciągnąłem dług wdzięczności który tu zaznaczam.

Nie dokonałbym nic, gdyby nie gorliwość, inteligiencja i uzdolnienie tego mnóstwa ludzi, pracujących w administracji pod memi rozkazami. Byli mi tak oddani i wierni, jak żołnierze z mego pułku podczas wojny z Hiszpanją... Ambasador angielski, Bryce, powiedział pod koniec moich rządów, że w długim swym życiu, studjując rządy rozmaitych krajów, nie widział nigdzie równie gorliwej, inteligientnej i energicznej służby rządowej—ludzi tak pożytecznych krajowi, jak ci którzy służyli wówczas amerykańskiemu rządowi

w Waszyngtonie i w wojsku. Powtarzam te słowa upoważniony przez niego.

Nie godziłem się nigdy na zasadę, że prezydent nie może uczynić bez specjalnych upoważnień — tego, czego wymaga dobro narodu. Mam przekonanie, że może i powinien uczynić wszystko, czego naród potrzebuje, byle nie sprzeciwiało się to konstytucji. Czyniłem zatym i pozwalałem czynić dużo rzeczy, których nie czynili poprzedni prezydenci, ani kierownicy ministerjum. Nie uzurpowałem władzy wykonawczej, tylko rozszerzyłem znacznie jej zakres. Działałem dla dobra i korzyści narodu zawsze i wszędzie, gdzie nie krępowały mnie wyraźnie konstytucyjne prawa.

Naradzając się z senatorami, członkami kongresu, politykami, finansistami i ludźmi pracy, nie dbałem o to, *gdzie* z nimi rozmawiam, tylko *o czym* mówię. Przyjmowałem każdego, kto pragnął naradzić się ze mną, bo wiedziałem, że mogę skorzystać z jego zdania i wskazówek; radziłem się każdego członka kongresu, który nie odmawiał mi rady, lecz ostatecznie czyniłem to, co mi nakazywało sumienie i zdrowy rozsądek.

W kwestji obsadzania urzędów przepisy konstytucyjne zmuszały mnie zasięgać rady Senatu. Mogłem tylko mianować urzędników, lecz Senat musiał ich zatwierdzać. Czasami, w ważnych wypadkach, udawało mi się przeprowadzić jakąś nominację pomimo oporu senatorów, lecz w zwykłym trybie rzeczy było to niepodobieństwem. Ale, z drugiej strony, żaden senator nie mógł nic uczynić dla swego protegowanego, je-

żeli ja nie zgodziłem się na jego mianowanie. W ten sposób konstytucja zmusza prezydenta i senatorów do porozumienia się co do każdej nominacji.

Kierowałem się zawsze względami na uzdolnienie i uczciwość kandydata—a usuwałem urzędników tylko dla ważnych powodów, i żadne względy nie mogły mnie skłonić do ustępstw dla senatorów, żądających zatrzymania nieodpowiedniego urzędnika.

Zdarzało się niekiedy, że rozporządzenia mojej administracji zaskarżano do sądu, ale sądy potwierdzały je zwykle.

Naprzykład, według dawniej wydanych praw, co do gruntów z pokładami węgla, ustanowiono cenę akra zbyt nizką. Skutkiem tego, wysokiej wartości grunta zostały sprzedane po nizkich cenach i to, przeważnie, wielkim towarzystwom przemysłowym. Na zasadzie wydanego przezemnie rozporządzenia, grunta zostały odebrane i eksploatacja ich zabroniona, dopóki pełnomocnicy rządu nie dokonali właściwego oszacowania. Podniosła się wtedy wielka wrzawa. Oskarżono mnie, że przywłaszczam sobie władzę wykonawczą — lecz rozporządzenie moje utrzymało się, pomimo iż oddano je sądom do rozpatrzenia. Toż samo zdarzyło się w zatargu o użytkowanie dróg i siły wodnej. Gdy Oklahoma została uznana za osobny Stan, musieliśmy znowu użyć władzy wykonawczej dla obrony praw i własności Indjan, gdyż dokonywały się tam olbrzymie oszustwa, przy nabywaniu przez białych ziemi, należącej do Indjan. Oskarżono nas wtedy także

o nadużywanie władzy, ale sądy zatwierdziły nasze rozporządzenia.

W sprawach, dotyczących Indjan, musiałem często kłaść nacisk na to, że jestem opiekunem *całego* narodu. Pewnego razu Kongres uchwalił prawo o sprzedaży osadnikom przeszło pół miljona akrów ziemi indyjskiej, po cenie półtora dolara za akr. Odmówiłem zatwierdzenia tej uchwały i zażądałem objaśnień. Wynikło z tego cofnięcie billu i uchwalenie nowego, w obronie praw Indjan, a po zbadaniu sprawy, cena ziemi podniosła się do pięciu dolarów za akr. Wtedy dopiero podpisałem nową uchwałę — sprzedaliśmy ziemię i otrzymaliśmy trzy i ćwierć miljonów dolarów więcej, niż gdybym był podpisał bill w pierwotnej formie. Pieniądze te dostały szczepy Kiowa, Komanczów i Apaszów. Podobne nadużycia powtarzały się niejednokrotnie.

Dwa są odrębne zapatrywania na prawa i obowiązki prezydenta. Ja — uznawałem zawsze, że prezydent jest obowiązany służyć narodowi i bronić jego praw w tych razach, gdy konstytucja nie zabrania tego wyraźnie. Inni—zwłaszcza starsi prawnicy i niektórzy dawniejsi prezydenci—wyznawali inną zasadę: że prezydent jest sługą Kongresu raczej, niż narodu i że nie może działać—choćby działanie jego było konieczne—jeżeli konstytucja nie nakazuje mu wyraźnie czynnego wystąpienia; i tę właśnie zasadę, ściśle i ciasno formalistyczną, przyjął mój następca.

W sprawie gruntów, należących do państwa, uznawałem, że prezydentowi wolno zawsze, według swego uznania, niedopuścić do ich sprzeda-

ży i zachować je w celach gospodarstwa leśnego, zużytkowania siły wodnej, nawodnienia lub innych celów użyteczności ogólnej.

Bez tej zasady niepodobnaby zahamować działalności rabusiów dobra publicznego, i nikt nie probował nigdy podać w wątpliwość prawomocności moich zarządzeń. Następca mój jednak zakwestjonował to prawo i przedstawił sprawę Kongresowi. Lecz Kongres okazał swą mądrość w tym razie i przyznał prezydentowi prawo, którym się oni oddawna posługiwali, a którego chciał się zrzec mój następca.

Największą część prac, niezależnie od Kongresu, odrabialiśmy z pomocą komisji, naznaczanych do spraw rozmaitych. Komisje te, złożone z ochotników, mianował sam prezydent. Praca w nich była bezpłatna, podejmowana tylko z poczucia obowiązku obywatelskiego; członkowie komisji pracowali pilnie i wytrwale. Praca ich, swoją energją i ożywieniem, odbijała uderzająco od urzędowej apatji, cechującej działania rządu Waszyngtońskiego. Komisje wykonywały mnóstwo roboty, nie narażając rządu na żadne wydatki.

Pierwsza z tych komisji opracowała „organizację pracy naukowej“, sformułowała, co należy przedsięwziąć, ażeby nadać jej właściwy kierunek, skoordynować rozmaite gałęzie nauki, wzmóc wydajność prac naukowych, zmniejszyć ich koszta i przedstawić ogółowi ich potrzebę i pożytek“.

Druga komisja miała „zbadać, jakie zmiany należy zarządzić we władzach wykonawczych rządu, ażeby mogły działać skutecznie i oszczędnie, według nowożytnych metod rządzenia“. Komisja

ta zaprowadziła ulepszenia we wszystkich wydziałach, skutkiem czego nastąpiła widoczna poprawa w całej działalności rządowej.

Jak dalece potrzebna była zmiana i poprawa dotychczasowej metody, wyjaśni następujący fakt—zupełnie autentyczny. Urzędnik z posterunku indyjskiego zażądał na jesieni przysłania pieca, koniecznego do ogrzania w zimie miejscowej infirmerji; piec ten miał kosztować *siedem dolarów*. Dawniejszy piec popsuł się już zupełnie. Odnoszące się do tej sprawy papiery poszły zwykłą drogą, według przyjętej rutyny. Sprawa posuwała się z majestatycznym spokojem, jak lodowiec na oceanie, a gdy dobiła do pomyślnego rozwiązania i piec nareszcie przyjechał na posterunek, ajent zaraportował o jego przybyciu w tych słowach:

„Piec już mamy. Wiosnę też".

Pracowały jeszcze potym kolejno cztery komisje:

Komisja do sprawy gruntów państwowych.

Komisja do sprawy dróg wodnych wewnątrz kraju.

Komisja, mająca za zadanie zbadać warunki życia mieszkańców wsi.

Komisja do zabezpieczenia bogactw narodowych.

Działalność wszystkich komisji zdążała do wzmocnienia władzy urzędników w różnych wydziałach. Ale właśnie ta działalność komisji obudziła gwałtowną niechęć wśród weteranów dawnego systemu, wśród bezczelnych polityków, wśród wielu senatorów i członków Kongresu. Starali się

oni przeprowadzić zasadę, że mogą zabronić prezydentowi korzystania z pracy bezpłatnych komisji, ale ja, naturalnie, nie przyznałem im tego prawa i mianowałem w dalszym ciągu nowe komisje. Następca mój zaś uznał to prawo, poparł polityków dawnego typu i zaniechał zwoływania komisji, z wielkim uszczerbkiem ogółu.

Rezultatem tych prac, przez ciąg siedmiu i pół lat sprawowania przezemnie rządów prezydenta, było rozszerzenie i ożywienie działalności rządu, zmniejszenie ciężarów podatkowych i zmniejszenie oprocentowanego długu publicznego przeszło o 90,000,000 dolarów. A niełatwe to zadanie, powiększyć działalność i jednocześnie zmniejszyć wydatki.

Mieliśmy jeszcze jedną wstrętną, ale bardzo pożyteczną robotę: wykrycie i wyplenienie przekupstwa, gdziekolwiek się ono praktykowało. Niemało czasu potrzeba było na wpojenie tak urzędnikom, jak politykom, zasady, że niemożna dopuścić żadnych wpływów i protekcji tam „gdzie idzie o uczciwośc urzędników". Ale, ostatecznie, doprowadziliśmy do tego, że zaniechano nawet usiłowań zatamowania biegu sprawiedliwości w tego rodzaju sprawach.

Najwięcej nadużyć wykryło się w Wydziale Pocztowym i Dóbr państwowych. Winowajcy byli zuchwali i pewni siebie, gdyż czuli za sobą potężnych opiekunów, wplątanych także w ich występne działania. Wybrany przezemnie do tej przykrej czynności Józef Bristow—obecnie senator — posiadał odpowiednią do zadania odwagę i silną wolę. Przed rozpoczęciem śledztwa przy-

szedł do mnie z zastrzeżeniem, że podejmie się tej roboty tylko w takim razie, jeżeli będzie miał pewność, że poprę go w każdym wypadku moim osobistym wpływem, bez względu na wyniki, do jakich doprowadzi śledztwo; że go podtrzymam i nie pozwolę stawiać mu przeszkód. Przyrzekłem mu to uroczyście. Zabrał się wtedy do dzieła z niesłabnącą energją, wytrwałością, odwagą i bystrością. Zadanie swoje spełnił doskonale i oddał wielką usługę krajowi. Wykopał zdumiewające nadużycia, a czynność swą przeprowadził tak gruntownie, że wykorzenił zupełnie przekupstwa.

Równie ważne i pożądane wyniki dało śledztwo w kilku zachodnich Stanach, szczególnie w Oregonie, gdzie zajął się tym F. Heney, z pomocą ajenta policyjnego W. Burnsa. Niełatwo ocenić usługi, jakie oddali ci dwaj ludzie, którzy mężnie podjęli się trudnego zadania, za co byli niemiłosiernie spotwarzani przez niegodziwych działaczów i przedstawicieli złowrogich, zbrodniczych potęg. Działali jawnie, uczciwie, lecz praca ta dla dobra publicznego ściągnęła na nich jadowitą nienawiść tych, którzy krzywdzili ten ogół. Po moim ustąpieniu, cała administracja rządowa, zwróciła się przeciw nim, a jeden z najgorszych oszustów, którego działalność ujawnili, został ułaskawiony przez prezydenta Tafta.

Łatwo zgadnąć, że stu czterdziestu sześciu obrońców sprawy nadużyć przy kupnie ziemi państwowej stanowiło jądro opozycji, zorganizowanej przeciw mnie w 1912 r. Połowa delegatów z Oregonu otrzymała mandaty, pod warunkiem głoso-

wania przeciw mojej kandydaturze. Połączyli się oni z memi przeciwnikami w Zgromadzeniu Narodowym.

Działalność nasza nie ograniczyła się do oczyszczenia Wydziału Poczt i poskromienia nadużyć przy sprzedaży gruntów państwowych.

Tępiliśmy gorliwie winowajców, zajmujących wyższe stanowiska w świecie politycznym i finansowym, i wszystkich, którzy dopuszczali się szwindlów na wielką skalę. Kiedy zostałem prezydentem, rozpowszechnione było ogólnie gorzkie przysłowie, że „człowiek potężny — człowiek bogaty nie dostanie się nigdy za kraty". My zaś osadziliśmy „*za kratami*" dwuch senatorów i dwuch bogatych bankierów z Nowego Yorku i z Chicago. Jeden senator umarł w więzieniu, drugi odsiedział karę; jeden z bankierów uzyskał ułaskawienie za specjalnym rozkazem, po moim ustąpieniu z prezydentury. Pospolite zbrodnie, popełniane przez zdziczałych ludzi ze sfer niższych, karaliśmy także z równą surowością, odmawiając ułaskawienia skazanych na śmierć, szkodliwych zbrodniarzy, pomimo wstawiennictwa ich protektorów.

Niekiedy musiałem odnosić się do rządów poszczególnych Stanów w sprawach, które dotyczyły nietylko miejscowych interesów, lecz miały związek z interesem całego państwa. W Kalifornji objawiła się wówczas gwałtowna niechęć względem przybyszów z Azji, japońskich robotników, nabywających ziemie rolników. Uważałem tę niechęć za usprawiedliwioną, a stanowisko, przyjęte przez mieszkańców Kalifornji, za zupełnie słuszne, lecz pod warunkiem zachowania form

przyzwoitych, ażeby nie dać azjatyckim narodom słusznych powodów do obrazy. W obecnym stanie stosunków światowych jest w najwyższym stopniu niepożądanym współmieszkanie i ciągłe stykanie się ludów, stojących na nierównym stopniu cywilizacji, albo też mających zupełnie odmienny typ cywilizacji, choćby poziom jej był jednakowy. Tym więcej jest to niepożądane wtedy, gdy ludy te należą do odmiennych ras i różnią się sposobem życia.

W Kalifornji nastąpiło zaostrzenie stosunków skutkiem napływu Japończyków. Miałem zawsze i mam wysokie uznanie dla narodu japońskiego i wierzę w jego przyszłość; oceniam jego wielkie zalety i pragnąłbym, ażeby je mieli nasi ziomkowie, Amerykanie. Japońscy i amerykańscy studenci, podróżnicy, uczeni, literaci, kupcy, prowadzący wszechświatowy handel, mogą żyć ze sobą na stopie zupełnej równości, w stosunkach przyjacielskich i powinni mieć wolny wstęp do obu krajów. Ale sami Japończycy nie znieśliby w swoim kraju najazdu Amerykanów, którzyby dążyli do zastąpienia miejscowej ludności na roli. Ja, pierwszy, przyznałbym, że Japonja ma prawo stanowić o tym, na jakich warunkach pozwala przybyszom pracować w swoim kraju, nabywać w nim ziemie i osiedlać się na stałe. Ameryka ma takie same prawo i musi to zaznaczać. Mieszkańcy Kalifornji mieli słuszność, sprzeciwiając się masowemu napływowi Japończyków, rolników, przekupniów, jednym słowem masowemu osiedlaniu się ich na ziemi kalifornijskiej.

Lecz, na nieszczęście, pod koniec moich rządów nierozsądni demagogowie rozpoczęli w Kalifornji agitację, skierowaną przeciw japońskim przybyszom i chcieli przeprowadzić niewłaściwe prawo, wykluczające dzieci japońskie ze szkół dla dzieci białych, a agitację swą prowadzili w formie obrażającej, posługując się obelżywemi wyrażeniami. Rząd Waszyngtoński poruszył tę sprawę; na moje żądanie przyjechał burmistrz z San Francisco i główni przywódcy tego ruchu. Wytłumaczyłem im, że rząd ma obowiązek uwzględniać słuszne żądania i rzeczywiste interesy mieszkańców Kalifornji i innych Stanów, ale zastrzega sobie wyłączne prawo traktowania o tym z obcemi mocarstwami. W sprawach, które mogą doprowadzić do wojny, rząd musi mieć na oku interes całego państwa.

Mówiłem im, że podzielam zdanie mieszkańców Kalifornii w kwestji napływu Japończyków, ale że pragnę tę sprawę załatwić w sposób jak najgrzeczniejszy, oszczędzając drażliwość Japończyków; że należy zachować się sprawiedliwie względem obu narodów, i że używanie przez prasę i agitatorów wyrażeń obelżywych względem narodu wysoce wrażliwego, a przyjaznego nam, nie powinno i nie może być cierpiane; że wykluczenie japońskich dzieci ze szkół sprawi jak najgorsze wrażenie, a nie dopomoże do osiągnięcia zamierzonego celu. Tłumaczyłem, że stanę w obronie praw Japończyków, nadanych im przez traktaty i położyłem nacisk na to, że 1-o: tego rodzaju układy musi prowadzić rząd centralny, nie zaś pojedyńcze Stany na własną rękę—i 2-o: że

rząd zajmie się niezwłocznie obroną skuteczną i energiczną terenów Kalifornji.

Po długich rozprawach doszliśmy do porozumienia. Przepis o szkołach został uchylony i przeprowadziliśmy układ z Japonją, zastrzegając, ażeby ona sama zapobiegła napływowi rolnych osadników do naszego kraju, co będzie lepiej, niż gdyby Ameryka uchwaliła prawo, zabraniające im wstępu. To prawo jednak zachowaliśmy sobie jako broń w ostatecznym razie.

Na nieszczęście, po moim ustąpieniu, błędna i niewłaściwa polityka względem Japonji, polityka drażniąca i niedołężna, doprowadziła do zawarcia innej umowy, w której zrzekliśmy się tego ważnego i niezbędnego warunku.

Nasza polityka była skuteczniejsza, a, w znacznej części, zawdzięczaliśmy jej powodzenie temu, że staraliśmy się zawsze okazywać Japończykom szacunek i uznanie i postępowaliśmy względem nich z jaknajwiększą uprzejmością. Nie mam słów dla wyrażenia mej wzgardy i niechęci względem dziennikarzy i mówców, którzy, w sposób szorstki i ordynarny, obsypują obelgami Japończyków, czyniąc tym krzywdę nietylko Japonji, lecz i własnemu krajowi.

Postępowanie takie jest szczytem grubjaństwa i głupoty. Japończycy mają prawo uważać się za równych Europejczykom i Amerykanom. Możemy dużo nauczyć się od nich, a pod niektóremi względami cywilizacja ich stoi wyżej od naszej. Lecz niepożądanym jest wspólne pożycie Japończyków i Amerykanów; politycy obu krajów,

jeżeli mają wzrok bystry, powinni wspólnie pracować nad zapobieżeniem podobnej katastrofie.

Ale — powtarzam raz jeszcze — nie dlatego, ażeby jeden naród stał niżej od drugiego, lecz dlatego, że te narody różnią się zupełnie od siebie. Każdy z nich ma cywilizację odrębną. Odrębnemi drogami kroczył od pierwotnego barbarzyństwa do dzisiejszego rozwoju, od tej zamierzchłej epoki, gdy jeszcze Akkadyjscy poprzednicy Chaldejskich Semitów dzierżyli berło w Mezopotamji. Próba stłoczenia na jednej ziemi dwuch, tak odrębnych, ras i cywilizacji skończyłaby się fatalnie.

W polityce wewnętrznej i zagranicznej za moich rządów kierowaliśmy się prostemi zasadami. W stosunkach z innemi państwami postępowaliśmy tak, jak powinien postępować każdy człowiek silny, a uczciwy ze swoimi bliźniemi. W polityce zagranicznej każdy kraj musi pilnować swych interesów. W polityce wewnętrznej na straży powinno stać prawo, a nad wykonywaniem prawa czuwać powinna uczciwa i energiczna policja. Straszliwe klęski, jakie spadły na Chiny, skutkiem ich zupełnej bezsilności, powinny być przestrogą dla Amerykanów, ażeby starali się zapewnić krajowi siłę, potrzebną do obrony swych interesów. Zbrodniczym szaleństwem jest zaniedbywanie marynarki i fortyfikacji w najważniejszych punktach, oraz brak armji, wystarczającej do poparcia rządu w razie potrzeby. A, z drugiej strony, szkodę przynosi nasza niesprawiedliwość, brak grzeczności i względów w stosunkach z obcemi mocarstwami, czy są one potężne czy słabe.

Obejmując stanowisko prezydenta, wyznaję, że nie miałem określonych i szerokich planów poprawy stosunków społecznych. Miałem jednak silne i wyraźne przekonania i miałem mocne postanowienie skorzystania z każdej sposobności do wprowadzenia w czyn ulepszeń. Postanowiłem uczynić rząd skutecznym narzędziem pomocy dla mieszkańców Ameryki, dla poprawy ich losu w zakresie politycznym, społecznym i przemysłowym. Wierzyłem silnie w prawdziwą demokrację i pragnąłem podnieść ją pod względem politycznym, choć nie miałem jeszcze jasno określonej metody postępowania. Wierzyłem w prawa ludu, w prawa narodu i państwa, zabezpieczające, właśnie, prawa tego ludu. Wierzyłem, że można odwołać się do narodu śmiało, ilekroć idzie o jego dobro. Wierzyłem, że konstytucję powinno się uważać jako najcenniejszy wytwór ludzkiego rozumu, jako pomoc dla narodu, sprawiającego rządy dla własnego swego dobra—a nie za kaftan bezpieczeństwa, krepujący swobodę rozwoju.

Dla wprowadzenia w życie tych wszystkich przekonań, postanowiłem czekać i doświadczać, jaką metodę można stosować w każdym poszczególnym zadaniu, nie wątpiąc, że niedługo będę czekał na sposobność do doświadczeń.

Kiedy kończył się okres mojego wyboru w 1904 r., widoczne już było, że mam silne oparcie w najprzedniejszych żywiołach stronnictwa, ale że wśród politycznych przywódców mam wielu potężnych przeciwników. Grupa tych ludzi zebrała się na naradę, chcąc utworzyć zwartą opozycję. Miało się to odbyć w najściślejszej tajem-

nicy, lecz trudno utrzymać w takich razach sekret. Wiadomość doszła prędko do mnie. Potężni przywódcy mogli zdziałać dużo, dopóki pracowali potajemnie, lub gdy swój głos rzucali na wagę wobec przeciwników równej miary, ale w walce otwartej okazali się zupełnie bezsilni. Większość ich nawet nie przedsięwzięła żadnych kroków i zaledwie kilku próbowało uczynić cośkolwiek. Kierownik wielkiego kolejowego towarzystwa usiłował wywrzeć wpływ na wybory delegatów, lecz, choć potężny jako finansista, miał o wiele mniejsze wpływy polityczne, choć tego nie rozumiał. Nie udało mu się przeprowadzić delegatów przeciwnych memu wyborowi, w niechętnych mi okręgach, dał więc za wygranę opozycji. Zostałem wybrany jednomyślnie, pomimo agitacji prasy, pomimo, że, np. w Nowym Yorku, na *szesnaście* dzienników, *piętnaście* walczyło przeciwko mnie. Wybór mój dokonany został największą ilością głosów, ze wszystkich, dotąd przeprowadzanych, wyborów.

Przeciwnicy oskarżali mnie, że chcę zagarnąć władzę na stałe. Nie odpowiadałem na ich zarzuty i dopiero w samą noc głosowania wydałem następujący komunikat:

„Mądry zwyczaj, ograniczający prezydenta do dwukrotnej tylko kadencji, odnosi się do treści, nie do formy, skutkiem czego, pod żadnym pozorem nie mogę stawać jako kandydat na przyszłych wyborach, ani też przyjąć trzeciego wyboru".

Oznajmienie to ogłosiłem dlatego, że moi stronnicy nie liczyli czasu, upłynionego od śmier-

ci Mac Kinleya, i że zostałem prezydentem jako zastępca, nie zaś z wyboru. Musiałem więc zaznaczyć wyraźnie moje zapatrywanie. I wtedy, i dziś, uważałem zastrzeżenie, odnoszące się do trzeciej kadencji, za słuszne i nie chciałem korzystać z pozoru, jaki dawał mi krótszy o pół roku termin rządów moich od śmierci Mac Kinleya. Nie miałem też wcale zamiaru występować później jako kandydat na prezydenta i powiedziałem to wyraźnie dziennikarzom, którzy mnie o to pytali.

Stanowisko prezydenta ma wielkie znaczenie, a władza, jaką nadaje, ułatwia zdobycie powtórnego mandatu, szczególnie gdy popierają go potęgi finansowe i polityczne. I dla tej, jedynie, przyczyny nie stosuje się do prezydenta zasady, stosowanej do innych, że urzędnik zdolny i chcący służyć, pozostaje na swej posadzie, dokąd sam zechce. Bardzo mądrze uczyniła Ameryka, zabraniając prezydentowi piastowania tej godności dłużej, niż przez dwa terminy bezpośrednio jeden po drugim. Gdy prezydent ustępuje ze swego stanowiska, nie pozostaje mu ani cień dawnej władzy. Staje się on najzwyklejszym obywatelem i nie ma już najmniejszego wpływu na zdobycie nowego mandatu.

Ale zastrzeżenie przeciw trzeciej kadencji nie odnosi się do byłych prezydentów, którzy ustąpili z urzędu i zapobiega ono tylko piastowaniu władzy prezydenta dłużej, niż przez *dwa z rzędu* terminy. Dlatego uznałem, że—czy pełniłem te obowiązki siedem i pół lat, czy osiem—zastrzeżenie obowiązuje mnie w zupełności i, po-

mimo ogólnego żądania, ażebym przyjął wybór na trzecie czterolecie, pomimo pewności, że zostanę zatwierdzony przez wyborców,—zastosowałem się do litery prawa. Uznając bez zastrzeżeń prawo, słusznie zapobiegające pozostawianiu władzy w jednych rękach przez lat *dwanaście* lub dłużej, zaznaczam, że nie byłoby pożądanym przerodzenie się tego prawa w stanowczy zakaz, tamujący powrót do udziału w rządach w przyszłości. Naród musi mieć prawo wyboru—w razie niebezpieczeństwa—tego ze swych obywateli, którego uzna za najodpowiedniejszego w danym razie. Przepis, który uszanowałem, odnosi się tylko do dwuch terminów *bezpośrednich*, lecz nie zamyka drogi na przyszłość tym, których naród pragnie powołać do służby.

X.

Walki o bogactwa narodowe.

Sprawując rządy gubernatora w Nowym Yorku, po naradzie z Pinchotem i Newellem, naszkicowałem był plan działania w gospodarstwie leśnym. Przerażony byłem zniszczeniem, dokonywanym w naszych lasach.

Podczas mego pobytu na Zachodzie, przekonałem się o nieodzownej potrzebie nawodnienia tamtych okolic. Śmieszne, poprostu, wrażenie czynili obywatele Wschodnich Stanów, którzy domagają się od rządu funduszów na urządzanie i rozszerzanie portów, a opierają się zawzięcie robotom nawodniającym na Zachodzie. Pierwszym, który wystąpił z planami irygacji, był major J. Wesley Powell, dyrektor biura Gieologicznego. Newell rozpoczął swoją służbę jako inżynier w wydziale Hydraulicznym i pojął całą doniosłość zarówno ochrony lasów, jak i potrzebę nawodnienia. Około nich zgrupowali się ci wszyscy, których taktowi, energji i rozumowi zawdzięczamy uchwalenie praw, zabezpieczających bogactw kraju.

Na czele walczących stanął G. Pinchot, i on to, głównie, zasłużył się krajowi uratowaniem od zagłady naszych lasów. On był wodzem w tej długiej i zaciętej walce o ratowanie narodowego bogactwa. Biorąc pod uwagę rozmaitość prac, przez niego dokonanych, w zupełnie nowym zakresie, jego niezmordowaną czynność i niewyczerpaną energję, jego bezinteresowność, poświęcenie i nadzwyczajną doniosłość dokonanych dzieł, śmiało można powiedzieć, że należy mu się pierwsze miejsce wśród wszystkich tych, którzy pod memi rządami pracowali dla narodu. W parę miesięcy po moim ustąpieniu Pinchot został usunięty z urzędu przez prezydenta Tafta.

Natychmiast po śmierci prezydenta Mac-Kinleya, zanim jeszcze zamieszkałem w Białym Domu, przybyli do mnie Newell i Pinchot, z gotowemi już planami irygacji bezpłodnych gruntów na Zachodzie i rozwinięcia działalności dla ochrony lasów.

Panował wtedy w gospodarce krajowej system protekcyjny, nie względem drobnych osadników, budujących się i zakładających gospodarstwa na pustkowiach, lecz opiekujący się specjalnie grabieżami gruntów, dokonywanemi przez spekulantów.

Rozpowszechniło się też mniemanie, że bogactwa naszego kraju są niewyczerpane, ale nikt nie wiedział i nie znał rzeczywistych ich rozmiarów i wartości. Sprzedaże nieurodzajnych przestrzeni na Zachodzie dokonywały się tylko dla spekulacji, a o zużytkowanie naszych wspaniałych rzek nikt się nie troszczył.

Na osadników - farmerów zapatrywano się tylko jako na dostawców pożywienia, które zjadają masy, ale potrzeby ludzkie tych osadników, ich żon i dzieci, nie obchodziły nikogo. Lasy rządowe na Zachodzie (t. zw. wówczas *leśne rezerwy)* zajmowały zbyt małe przestrzenie, a we wschodnich Stanach mieszkańcy nie rozumieli jeszcze potrzeby oszczędzania lasów.

Takie było położenie, gdy Pinchot i Newell zgłosili się do mnie. Rozumiałem dobrze potrzebę reform w sprawie gruntów i gospodarki leśnej; wysłuchawszy więc sprawozdania swych gości, zażądałem, by przygotowali mi materjał w tych sprawach do pierwszego mego orędzia w Kongresie. Orędzie to położyło podwaliny do robót irygacyjnych i gospodarstwa leśnego, prowadzonych przez siedem i pół lat następnych, co zmieniło zapatrywania ogółu na te sprawy, wyjaśniając, że są one dla Stanów Zjednoczonych „najżywotniejszym ze wszystkich zadań".

Po odczytaniu orędzia zebrała się Komisja, złożona z senatorów, pochodzących z Zachodu i z członków Kongresu. Po długich naradach ułożyliśmy projekt odpowiednich praw, ale do uchwalenia ich okazał się koniecznym mój udział, gdyż groziło mu zahamowanie, skutkiem starań ludzi wpływowych, których interesa miejscowe i osobiste były przeciwne interesom ogółu.

W czerwcu, 1902 r., uchwalone zostało prawo, ukrócające grabież wielkich, nieurodzajnych przestrzeni na Zachodzie, które po nawodnieniu zamieniły się na pola, odpowiednie do uprawy i zakładania osad.

Pieniądze, wydane przez rząd na te roboty, mieli spłacać osadnicy stopniowo, z czego tworzył się nowy fundusz na dalsze roboty.

Mieszkańcy Zachodu z taką niecierpliwością oczekiwali wprowadzenia w czyn nowego prawa, że rozpoczęto roboty jeszcze przed ostateczną uchwałą ciał prawodawczych, a praca szła tempem pośpiesznym, niepraktykowanym nigdy dotąd w robotach rządowych.

Później—jak zwykle bywa—zaczęły się krytyki, zarzuty przekroczenia prawa, zbytecznego pośpiechu i t. p. Wszystko tak, jak przy sprawie kanału Panamskiego i po uspokojeniu strajku węglowego;—jednym słowem, jak przy wszystkich najlepszych poczynaniach rządu, pod moim kierunkiem.

Ale i wtedy, i w każdym podobnym wypadku, nasi podwładni byli przygotowani na następstwa, bo kto chce pływać, musi wejść do wody. Ale przekonali się wkrótce, że jeżeli pracować będą uczciwie, odważnie, nie lękając się odpowiedzialności, stanę zawsze po ich stronie i będę ich popierał całym moim wpływem. I w tym razie—jak zawsze — wynik ostateczny usprawiedliwił śmiałość całego przedsięwzięcia.

Przeszkody, napotykane przez inżynierów były niemal tak wielkie, jak przy budowie kanału Panamskiego. Musieliśmy rozpoczynać roboty w miejscach bardzo od siebie odległych, zdala od linji kolejowych, w najfatalniejszych miejscowych warunkach. *Dwadzieścia osiem* projektów wykonano między 1902—1906 dla nawodnienia przeszło *trzech miljonów akrów* i dostarcze-

nia wody *trzydziestu tysiącom* ferm. Tamy, jakie trzeba było budować, większe są od wszystkich tam, budowanych kiedykolwiek na całej kuli ziemskiej. Dostarczają one wody kanałom na przestrzeni siedmiu tysięcy mil przeszło, a zbudowano na nich dziesiątki tysięcy mostów i wodociągów.

Korzyści, jakie te prace przyniosły krajowi, nie dadzą się obliczyć na pieniądze. Masy osadników napłynęły w tamte strony, zmieniły charakter kraju i wzmogły dobrobyt całych okolic; sprowadziło się mnóstwo drobnych fermjerów, tworząc osiedla rodzinne, zamiast wielkich, wędrownych stad owiec, pasących się pod okiem najemnych pasterzy, a stanowiących własność nieobecnych bogaczów.

Napaści, jakie rozpoczęły się niedawno na wykonawców tego dzieła, wypływają głównie ze zmowy wśród osadników, którzy postanowili uchylić się od opłaty sum, jakie rząd wydał na nawodnienie gruntów, a że uchylanie się od spłaty długów zawsze znajdzie stronników, więc i w tym razie znalazło ono poparcie nietylko ze strony furmanów, lecz i wielu nieuczciwych polityków, zajmujących wysokie stanowiska. Ale te wysiłki, które dążą do pozbawienia Zachodu kapitału obrotowego, skończą się tylko kompromitacją niesumiennych podżegaczy w oczach wszystkich uczciwych ludzi.

W 1911 r., podczas otwarcia „Tamy Roosevelta“ w Arizonie, miałem mowę do zebranych inżynierów i, w imieniu wszystkich wolnych oby-

wateli, podziękowałem im za wykonane tak sumiennie olbrzymie prace.

Patrząc na ich piękne, energiczne i mądre twarze, wspomniawszy i innych współpracowników wielkiego dzieła, sprawujących rozmaite urzędy— miałem poczucie, że nie otrzymają nigdy nagrody za swą pracę. Napół żartem ostrzegałem ich, by nie spodziewali się innego uznania, oprócz tego, jakie znajdą we własnem sumieniu. Jakoż—w rok później — komisja wyznaczona przez Kongres— rozpoczęła śledztwo, na żądanie niesumiennych fermjerów, którzy chcieli uchylić się od przyjętych zobowiązań i z poduszczenia miejscowych, równie niesumiennych polityków.

W 1905 r., kiedy objąłem rządy, Wydział Leśny zajmował się głównie naukowemi badaniami, w celu zaprowadzenia gospodarstwa leśnego na gruntach rządowych i zachęcenia prywatnych właścicieli lasów. W wydziale tym pracowali wszyscy specjaliści leśnictwa, lecz nie mieli żadnej łączności z gospodarką na porębach rządowych, która znajdowała się w ręku urzędników, nie mających pojęcia o leśnictwie. Skutkiem tego, lasy rządowe nie były ani odpowiednio zarządzane, ani właściwie zużytkowane.

W pierwszym moim orędziu do Kongresu nastawałem usilnie na potrzebę oddania zarządu lasów w ręce specjalistów. W następnych orędziach powtarzałem to samo żądanie, lecz dopiero po trzech latach Kongres usłyszał moje nawoływania. Ale przez ten czas przygotowaliśmy grunt do reformy i założona została w Yale

Szkoła Leśna, która miała dostarczyć wykształconych leśników.

Prowadziliśmy od 1901 r. ścisłe badania nad gospodarstwem w lasach rządowych, układaniem planów praktycznego urządzenia lasów na rezerwach indyjskich. Wyniki badań ogłaszaliśmy w osobnych broszurach, a Biuro Leśne, w licznych artykułach, drukowanych po dziennikach, obznajamiało mieszkańców Ameryki z potrzebą i zadaniami racjonalnego gospodarstwa leśnego. Nie pociągało to żadnych wydatków dla rządu, bo wszystkie dzienniki przyjmowały i drukowały te artykuły bezpłatnie, jako nowość na czasie. Gdyby nie ta jawność działania, Wydział Leśny nie byłby w stanie odeprzeć napaści, urządzanych przez przedstawicieli wielkiego przemysłu, zasiadających w Kongresie, ani ogół amerykański nie obeznałby się dobrze z kwestją leśną. Lecz cała ta praca ustała pod rządami prezydenta Tafta.

W 1905 r. Kongres uchwalił rozdzielić Wydział Leśny z Wydziałem Rolniczym; poczym powstał obecny zarząd gospodarstwa leśnego.

Ludzie, którym oddano rządy tego wydziału, byli doskonale przygotowani do swego zadania i zabrali się natychmiast do zaprowadzenia nowego systemu gospodarstwa leśnego, skutkiem czego, każda przestrzeń, nadająca się do uprawy, a położona wśród lasów rządowych, stała się dostępną dla osadników, którzy przedtym nie mogli nabywać tych gruntów.

Ustalono zasadę, że prawo ogółu do dóbr narodowych ma pierwszeństwo przed prawami pojedyńczych obywateli. Od tej pory zasadę tę

stosowaliśmy zawsze w sprawach, dotyczących lasów i gruntów, będących własnością państwa, a zatym ogółu obywateli. Było to sprawiedliwe, ale wywoływało gorzkie urazy tych, których interesy osobiste traciły.

Największy gniew budziła postawiona przez nas zasada, że lepiej pomóc ubogiemu człowiekowi do zdobycia środków utrzymania dla rodziny, niż pozwolić bogatemu człowiekowi na powiększenie zysków Towarzystwa, w którym ma udziały.

Bogaci właściciele stad owiec, oburzeni naszemi reformami, próbowali toczyć z nami wojnę, z pomocą swoich stronników w Kongresie. Ale wydział Leśny ustanowił i wprowadził w czyn przepisy, ograniczające pastwiska na użytek właścicieli wielkich stad, pozostawiając je dla drobnych osadników, dla których były one podstawą bytu i wprowadził zmiany takie, że prawo do pastwisk w lasach skarbowych stało się pomocą dla kolonistów, zamiast, jak przedtym, być przeszkodą dla osadnictwa. Dzięki temu, właściciele drobnych osad byli naszemi stronnikami, pomimo że nieraz demagogowie usiłowali wyzyskać ich ciemnotę i usposobić ich wrogo względem rządu.

Jeszcze większe rozgoryczenie wywołał przepis, że każdy, kto korzysta z gruntów państwowych, powinien za to zapłacić, czyli, że ci, co pasą owce i bydło w lasach rządowych, obowiązani są wnosić opłaty za pastwiska.

Tę samą zasadę przeprowadziliśmy co do użytkowania siły wodnej i potoków w lasach rządowych, ograniczając umowy do lat czter-

dziestu i oznaczając sumę rocznej opłaty — np. dla Towarzystwa elektrycznego Edisona; zastosowaliśmy toż samo do wszystkich innych przedsiębiorstw. Wtedy to wybuchnęła gwałtowna wojna z Wydziałem Leśnym, który zaprowadził te przepisy, lecz prawo przyznało nam słuszność.

W 1907 r. przestrzeń lasów rządowych powiększyła się o czterdzieści trzy miljony akrów. Zaprowadziliśmy w lasach drogi żelazne, trakty, telefony, a nie tracąc z oczu celów oświatowych, wydawaliśmy mnóstwo broszur z zakresu gospodarstwa leśnego. Lecz, mimo tak energicznej i owocnej działalności, napaści na Wydział Leśny stawały się coraz gwałtowniejsze.

Warto przytoczyć tu jeden przykład. W Senacie senator Fulton z Oregonu, przeprowadził dodatek do prawa, zastrzegający, że prezydentom niewolno powiększać przestrzeni lasów skarbowych w sześciu północno-zachodnich Stanach. Było to oddaniem na łup spekulantów i wielkich Towarzystw szesnastu miljonów akrów ziemi państwowej. Przez cztery lata Wydział Leśny zbierał materjały, udowadniające prawa skarbu do tych lasów i gruntów. Nie czekając więc uchwalenia billu z poprawką Fultona, za specjalnym moim rozporządzeniem, szesnaście tysięcy akrów, oznaczonych przez Wydział Leśny, włączono do dóbr skarbowych. Gdy bill został uchwalony, było już zapóźno. Całą tę przestrzeń wspaniałych lasów wydarliśmy spekulantom i ocalili dla państwa. Przeciwnicy Wydziału Leśnego wściekali się — lecz daremnie. Ich gniew i pogróżki nie mogły cofnąć tego, co zdziałała nasza

energja. W 1909 r., dzięki znakomitym gospodarstwom, uzyskaliśmy przeszło miljon akrów w lasach skarbowych na zakładanie drobnych gospodarstw. Przestrzeń tych lasów powiększyła się *z 43 miljonów* akrów *do 94 miljonów*; przez siedem i pół lat, do 1905 r., więcej oszczędzono skarbowi lasów, niż przez wszystkie poprzednie lata, razem wzięte.

Wtedy, po raz pierwszy, wprowadziliśmy w czyn zasadę, że rząd i urzędnicy są opiekunami majątku i dobrobytu narodowego. Prawa są często niedostateczne — a uchwalanie nowych, skuteczniejszych dla dobra ogółu, stało się niemożliwością, odkąd Kongres zrozumiał, do czego zdążamy. Trzeba więc było zadowolić się prawami już istniejącemi i uzupełniać je z pomocą władzy wykonawczej. W każdym poszczególnym wypadku, gdy ktoś rościł prawo do gruntów skarbowych, przeprowadzaliśmy szczegółowe badania. Wyniki otrzymywaliśmy świetne—bo w jednym, np. wypadku udało się nam ocalić od grabieży spekulantów 250.000 akrów skarbowego lasu. Łatwo zrozumieć, że nasza działalność wywołała ze strony spekulantów oskarżenia Wydziału Leśnego, o to, że przekracza zakres swej władzy i postępuje wbrew woli Kongresu. Wytaczano procesy przy lada sposobności, ale trzeba tu zaznaczyć, że najwyższe instancje sądowe nie wydały nigdy wyroku, potępiającego rozporządzenia Wydziału Leśnego.

W ciągu swej gospodarki Wydział Leśny przekonał się, że cennym pokładom węgla grozi zagarnięcie przez prywatnych nabywców za nie-

proporcjonalnie nizką cenę i bez żadnych rękojmi, zapobiegających monopolowi, i że obecne prawodawstwo jest w tym razie bezsilne. Wydałem zaraz rozkaz zabezpieczenia przeszło sześćdziesięciu ośmiu miljonów akrów pokładów węgla w Stanach Zjednoczonych i w Alasce.

Prace Wydziału Leśnego wywołały ogólny ruch, dążący do opieki nad samemi bogactwami krajowemi na tych samych zasadach, które stosowano w lasach.

Utworzyliśmy trzydzieści sześć *Komisji Ochronnych*, które zajęły się przygotowaniem spisu przyrodzonych bogactw naszego kraju; prac w tym kierunku nie dokonywano dotąd w żadnym państwie.

Sprawozdanie komisji zawierało niesłychane bogactwo spostrzeżeń, zebranych w ciągu pół roku. Uzyskały one jednomyślne uznanie na zjeździe gubernatorów i przedstawicieli komisji; ja zaś przedstawiłem je Kongresowi z orędziem, w którym wyjaśniałem „całą doniosłość prac i znaczenie zebranych przez komisje danych".

Na naradach tych komisji poraz pierwszy rzucono myśl zaproszenia do udziału w pracach przedstawicieli Kanady i Meksyku. Gdy zaproszeni zebrali się w lutym 1909 r., po pięciodniowej pracy przedstawili mi projekt zaproszenia przedstawicieli wszystkich państw całego świata. Sekretarz Stanu R. Bacon napisał listy do czterdziestu pięciu państw, proponując wysłanie delegatów do Hagi dla opracowania spisu bogactw przyrodzonych *całego świata* i ułożenia wspólnie racjonalnego planu najlepszego wyzyskania tych

skarbów dla dobra narodów. Zachęcałem gorąco do działania w tym kierunku, przewidując nieocenione korzyści ze wspólnej akcji, przedsięwziętej na tak szeroką skalę, ale—po moim ustąpieniu z Białego Domu — cały projekt upadł.

W pierwszych latach moich rządów działalność nasza skierowana była do tępienia nadużyć przy sprzedaży gruntów skarbowych. Dochodzenia, prowadzone przez F. Heneya, wywołały uwięzienie i skazanie senatora Mitchella i wielu innych; ujawniły konieczność reformy rolnej i zwołanie komisji do zbadania tej sprawy. Jako cel główny wskazaliśmy obmyślenie praw, któreby ułatwiły nabywanie ziemi osadnikom, chcącym zakładać fermy i osiedlać się w nich na stałe. Z tej komisji wynikła zmiana praw, wzmocnienie kontroli rządowej nad sprzedażą gruntów i sprawiedliwa na tym polu gospodarka.

Jednym z trudniejszych zadań było uregulowanie praw, dotyczących bogactw kopalnianych. Uchwalono, że „rząd powinien zatrzymać tytuł własności wszystkich gruntów, zawierających pokłady węgla i źródła nafty—i tylko wydzierżawiać je prywatnym przedsiębiorcom, lub Towarzystwom, za oznaczoną opłatą".

Przy układaniu praw rolnych, kierowaliśmy się zawsze jedną zasadą: zabezpieczania bogactw, znajdujących się na gruntach państwowych i zużytkowania ich dla korzyści ogółu.

Za wyłączeniem węgla i nafty, poszło zabezpieczenie praw do siły wodnej; a wszystkie te zmiany spotkały się z niesłychanie zaciekłym oporem prywatnych interesów, którym zagrażały.

Przyszła potym kolej na zbadanie warunków życia i dobrobytu robotników, mężczyzn i kobiet. Zwłaszcza położenie kobiet na drobnych fermach— ich praca ciężka w porównaniu z pracą mężczyzn— domagało się koniecznych zmian.

Cennych rad w tym kierunku dostarczył nam sir H. Plunkett—Irlandczyk, objaśniając, jakie zmiany zaprowadziło w życiu fermjerów w Irlandji, tamtejsze Towarzystwo Rolnicze. Zwołana przez nas komisja zaznaczyła na wstępie, że „dotąd wszystkie usiłowania rządu zmierzały tylko do powiększenia zbiorów i poprawy gospodarstwa". Jest to słuszne, ale na tym nie może się kończyć rola rządu. Osadnik powinien zebrać jak najbogatsze plony ze swego gruntu, ale, prócz tego, powinien starać się o poprawę warunków życia na fermie.

Rolnictwo nie jest jedyną treścią życia wiejskiego. Jest ono cząstką życia ogólno-ludzkiego i najlepsze zbiory, największe dochody z ziemi niewiele są warte, jeżeli nie służą do zapewnienia dobrych i przyjemnych warunków życia mieszkańcom osady.

Prace komisji zbliżyły jej członków z rodzinami fermjerów na Wschodzie, Południu i Zachodzie; dostarczyły cennych, źródłowych wskazówek i wzbudziły w całym kraju serdeczne zajęcie życiem rolników, którym dotąd nikt się nie interesował.

Jako przykład, podaję tu charakterystyczne odpowiedzi, udzielone komisji przez jednego fermjera z Missouri. Zaznacza on, że ma żonę i 11-o żyjących dzieci: on i żona mają po lat 52; są

właścicielami 520 akrów ziemi, nie obciążonych żadnym długiem. Przyznaje się, że mu się powiodło; przyczyny niepowodzenia wielu swoich sąsiadów, wyraża dobitnym i jędrnym językiem, nie ze wszystkim nadającym się do druku. Mówi, że wiele osad w jego sąsiedztwie ma zawielkie ciężary; że szkoły nie odpowiadają celowi, bo zamiast przygotowywać chłopców i dziewcząt do życia na fermach, wszczepiają im przekonanie, że życie w miastach jest łatwiejsze; jako środek zabezpieczający, fermjer żąda zaprowadzenia praktycznej nauki gospodarstwa w szkołach. Na zapytanie, czy fermjerzy mają jaką organizację, odpowiada krótko:

„Każdemu u nas wydaje się, że powinien być królem". Na zapytanie, czy siły robocze na fermach są dostateczne, odpowiada: „Nie, bo ludzie zaniedbują interes dziecinny". Spytany, jak na to zaradzić?, mówi bez wahania: „Dajcie pensję każdej matce, która ma siedmiu żyjących synów". Zapytanie, czy zapłata robotnikowi jest wystarczającą, rozstrzyga krótko: „Tak, jeżeli najemnik nie jest pijak". I dodaje zaraz życzenie skasowania wszystkich szynkowni i zabronienia bezwzględnie sprzedaży wódki oraz piwa. Kwestję, czy warunki zdrowotne na fermach są dobre, wyjaśnia dobitnie:

— Nie: zawiele starania koło kurników i chlewów, a studnie wszędzie odkryte. W ścianie jednej studni w sąsiedztwie mojem, naliczyłem siedem węży; z tej studni, mieszkańcy brali wodę do wszelakiego użytku".

Kończy zapewnieniem, że dla dobrobytu rolnika najważniejsze są „dobre drogi".

Wszystkie, wspomniane przezemnie, komisje nie kosztowały rządu ani jednego centa, a dostarczyły informacji cennych i dokładnych, a tak ważnych, że zamąciły one błogi spokój bezwzględnych czcicieli obecnego stanu rzeczy. Po otrzymaniu sprawozdania komisji, „badającej warunki życia rolników", zażądałem 25.000 dol. na wydrukowanie i opublikowanie cennego tego materjału. Kongres nietylko odmówił mi pieniędzy, lecz zabronił stanowczo na przyszłość wszelkich prac w tym rodzaju. Zabroniono prezydentowi nawet zwoływania komisji, chyba za wyraźnym upoważnieniem Kongresu!

Autor tego wniosku, Tawney, przedstawiciel (jeden z najenergiczniejszych) interesu pojedyńczych jednostek i obrońca ich przywilejów, wystąpił na szczęście późno, dzięki czemu sześć komisji, powołanych przezemnie, wykonało już swoje zadania.

Odpowiedź na tę uchwałę Kongresu, była prawie ostatnim moim czynem urzędowym. Powiedziałem bez ogródek, że gdybym dłużej sprawował rządy prezydenta, nie uznałbym Tawneya, a zakończyłem temi słowy:

„Celem tej uchwały jest skrępowanie na przyszłość rządu, ażeby nie mógł przedsiębrać podobnych badań, jak te, których dokonały komisje, zwołane dla oszacowania bogactw narodowych. Ale w tym razie naród tylko ma prawo orzec, czy uznaje doniosłość i pożytek prac, wykonanych przez te komisje.

Jeżeli naród uznaje potrzebę regulowania dróg wodnych — zabezpieczenie od grabieży naszych gruntów, ochronę lasów, oszczędność w gospodarce kopalnianej — i używania skarbów tych na użytek ogółu, a nie dla korzyści pojedyńczych jednostek; jeżeli uznaje potrzebę polepszenia bytu pracowników, uprawiających rolę— w takim razie potępi bez wahania tych, którzy są winni marnowania bogactw krajowych i poprze starania posłów, przeciwnych przyjęciu nowej uchwały Kongresu. Ale żadna uchwała nie może zabronić prezydentowi żądania rady od ludzi kompetentnych. Każdy prezydent może uczynić w przyszłości to, co ja uczyniłem i wezwać pomocy ludzi uczciwych i bezinteresownych, którzy chcą służyć bezpłatnie swojemu krajowi".

Sprawozdanie komisji, haniebnie odrzucone uchwałą Kongresu, wydrukowała własnym kosztem i rozpowszechniła Izba Handlowa w Spokane, St.-Waszyngton — wyjątkowo energiczna i przewidująca instytucja.

Prace wszystkich komisji sprowadziły natychmiastową poprawę bytu naszego ludu. Niektóre były obliczone na dalszą metę pod względem korzyści ekonomicznych, lecz wywarły wpływ bezpośredni, wprowadzając upiększenia i uprzyjemniając życie ogółu. Naprzykład, prace komisji, złożonej z artystów, pod nazwą *Rady Sztuk Pięknych*. Należeli do niej malarze, budowniczowie, rzeźbiarze z całego kraju, którzy dawali wskazówki przy budowie i ozdabianiu nowych gmachów.

Senatorowie i członkowie Kongresu żywili

instynktownie zrozumiałą nienawiść do tej komisji, którą też mój następca rozwiązał w parę miesięcy po objęciu rządów. Między innemi dziełami, wykazanemi według wskazań artystów, pozostała nam nowego wzoru moneta, najpiękniejsza z monet, jakie istnieją. Wzór do niej wykonał wielki artysta, Saint-Gaudens, a ja, korzystając z przysługującego mi prawa, puściłem ją w obieg, zanim zebrał się Kongres, który byłby może oparł się temu.

Ale ważniejsze jeszcze były zarządzenia dla ochrony pięknych i rzadkich zwierząt i ptaków, zagrożonych przez chciwość i nieopatrzność ludzką. Przez siedem i pół lat moich rządów założyliśmy pięć wielkich Narodowych Parków w rozmaitych miejscowościach, cztery wielkie zwierzyńce dla grubego zwierza, pięćdziesiąt rezerw, przeznaczonych dla ptactwa. Wydaliśmy prawo ochrony zwierzyny i ptaków w Alasce, w okręgu Kolumbji i w ptasich rezerwach.

Prawa, wydane między 1902 a 1908 r. dla Terytorjum Alaski, powstrzymały wywóz łbów i rogów grubego zwierza i położyły tamę rzezi jeleni, zabijanych masami dla samej wartości skór, w południowym pasie tego Terytorjum.

W 1902 r. ustanowiliśmy ochronę bawołów i założyliśmy w Yellowstone Parku pierwsze, a dziś najliczniejsze, stado bawołów, stanowiące własność rządową.

W 1905 r. przeprowadziliśmy założenie najpierwszych rezerw dla zwierzyny w Wichita. Przestrzeń 12.000 akrów otoczyliśmy parkanem drucianej siatki i umieściliśmy tam piętnaście bawołów,

podarowanych przez Towarzystwo Zoologiczne w Nowym Yorku.

W 1906 r. urządziliśmy remizę dla zwierzyny w Grand Canon, obejmującą obecnie przestrzeń 1,492,928 akrów.

W 1906 r. uchwalone zostało prawo ochrony Narodowych Pamiątek, które zapobiegło zniszczeniu wielu cennych zabytków. Zaliczyć do nich trzeba w Kalifornji skaliste i lesiste przestrzenie, oraz Górę Olympu w Stanie Waszyngtonu, ważne schronisko dla zwierzyny.

Wydaliśmy przepisy ograniczające prawa polowania w Kolumbji i zużytkowaliśmy trzy czwarte rządowych gruntów w tym okręgu na urządzenie schronisk dla dzikiego zwierza.

W stanie Montana założyliśmy na przestrzeni 18.000 akrów remizę dla bizonów, gdzie obecnie żyje stado, złożone z osiemdziesięciu sztuk, podarowanych przez Towarzystwo Ochrony Bizonów.

W 1908 r. wydaliśmy prawo o ochronie ptaków w Stanie Nebraska, a na gruntach wojskowego posterunku urządzono remizę dla ptactwa.

Od 1903 do 1909 r. posiadaliśmy pięćdziesiąt takich schronisk dla ptaków w siedemnastu Stanach i na rozmaitych Terytorjach, od Porto-Rico do wysp Hawajskich i Alaski. Zarządzenia te postawiły rząd Stanów Zjednoczonych na czele ruchu, rozpoczętego w celu ochrony ptaków. Między innemi, założyliśmy słynną wylęgarnię pelikanów na wyspie rzeki Indian-River we Florydzie; zabezpieczyliśmy rozległe bagna, otaczające jeziora Klamath i Malheur w Oregonie, gdzie po

przednio odbywały się formalne rzezie kaczek, które dostawiano na targi.

Powstrzymaliśmy niemiłosierne tępienie pięknie upierzonych ptaków na użytek modniarek. Na Tortugas-Key we Florydzie, wspólnie z Instytutem Carnegiego, dokonywane są doświadczenia nad instynktem ptaków, a na Laysanie i pokrewnych wysepkach Hawajskich założyliśmy największe w całym świecie kolonje morskiego ptactwa.

XII.

Teorja Monroego i kanał Panamski.

Żaden na świecie naród nie może domagać się praw, jeżeli nie uznaje obowiązków, idących w parze z prawami. Na pogardę zasługuje ten naród, który skutkiem tchórzostwa, gnuśności i lekkomyślności przestaje brać udział w działaniach międzynarodowych. Niegodziwością jest, gdy jeden naród krzywdzi inne narody. Ale najszkodliwsze i najbardziej godne wzgardy jest postępowanie narodu, który słowami lub czynem obraża innych, ale, gdy znieważeni odpowiedzą mu w taki sam sposób, uchyla się od odpowiedzialności. Jeszcze gorzej, gdy przyjmuje tę odpowiedzialność, a potym cofa się. Przez siedem i pół lat moich rządów, Ameryka, w stosunkach z innemi państwami, postępowała tak, jak człowiek uczciwy postępuje z innemi ludźmi. Nie obiecywaliśmy nigdy tego, czego nie mogliśmy dotrzymać. Nie groziliśmy, gdy nie było w naszej mocy spełnić groźby. Nie cofaliśmy się nigdy przed zaznaczeniem naszych praw w stosunku

z państwem potężnym, a względem państw słabych postępowaliśmy grzecznie i sprawiedliwie. Dla słabych, a dopuszczających się wykroczeń względem nas, byliśmy cierpliwsi i wyrozumialsi, niż dla potężnych.

Wojna z Hiszpanją pozostawiła nam, jako dziedzictwo, dziwnego rodzaju stosunki z wyspami Filipińskiemi, z Kubą i z Porto Rico, oraz niezmiernie rozszerzyła zakres naszych interesów w Ameryce Środkowej i nad morzem Karaibskim. Moim zdaniem, należało nam zająć się przygotowaniem wysp Filipińskich do samorządu, o ile można najprędzej, a potym zostawić im swobodę rozporządzenia swoim losem, bez oznaczenia terminu ich niepodległości, bo trudno było przewidzieć, kiedy do tego dojrzeją, a raz dawszy im przyrzeczenie, należało go dotrzymać.

W parę miesięcy po objęciu przezemnie rządów, zdusiliśmy ostatni wybuch zbrojnego oporu na Filipinach, a gdy zapanował spokój, zabraliśmy się energicznie do zagospodarowania wysp, ku jak największej korzyści mieszkańców. Pozakładaliśmy szkoły i pobudowaliśmy drogi, zaprowadziliśmy bezstronny wymiar sprawiedliwości, popieraliśmy usilnie rozwój rolnictwa i przemysłu i wdrażaliśmy bezustannie krajowców do sprawowania rządów; zaprowadziliśmy Izbę Prawodawczą. Nigdy chyba w kolonjach władza nie spoczywała w rękach godniejszych, niż ręce urzędników, którzy rządzili z naszego ramienia na Filipinach. Z wyjątkiem Sudanu, a po części i Algieru, żaden kraj nie był rządzony przez ludzi białej rasy, z takim uwzględnieniem dobra i ko-

rzyści krajowców. Gdzieindziej bywają rządy równie dobre, lecz mają na celu otrzymanie korzyści z kolonji; na Filipinach zaś troszczyliśmy się jedynie o dobro mieszkańców, zaniedbując nawet, niekiedy, własny interes.

Nie zdaje mi się, ażeby Ameryka miała zamiar zatrzymać dla siebie Filipiny. Jedyną korzyścią, jaką przyniosła nam praca nad niemi, był ten dodatni wpływ, jaki zawsze wywiera na charakter ludzki praca, wykonywana dla dobra innych. Mieszkańcy wysp Filipińskich nigdy nie zrobili tak wielkich postępów, jak podczas amerykańskiej okupacji. Nadejdzie czas, gdy rozsądek nakaże nam zapytać, czy pragną nadal pozostać z nami, czy nie. Jeden wzgląd przecie musimy mieć na oku. Albo zachowamy władzę i rządy na wyspach, albo zrzekamy się wszelkiej odpowiedzialności za nie. Połowiczne środki byłyby zgubne dla stron obu. Sprawowaliśmy i sprawujemy tam rządy wyłącznie dla dobra mieszkańców. Jeżeli oni sami po pewnym czasie uznają, że nie życzą sobie nadal naszych rządów—mam nadzieję, że zgodzimy się pozostawić ich własnemu losowi. Ale, uczyniwszy to, musimy powiedzieć wyraźnie, że zrzekamy się wszelkiego protektoratu — a nadewszystko wspólnego protektoratu — nad temi wyspami, że nie zapewniamy im ani neutralności, ani bezpieczeństwa — że, jednym słowem, jesteśmy wolni od wszystkich względem nich zobowiązań. Zajmując wyspy nie wiązaliśmy się żadnemi względem nich obietnicami. Co do Kuby, przyrzekliśmy wyraźnie, że z niej ustąpimy i że Kuba będzie niepodległa. Przypuszczam, że ża-

den panujący, żaden dyplomata europejski nie wierzył, byśmy dotrzymali obietnicy. O ile wiem, Stany Zjednoczone są pierwszym mocarstwem, które, dawszy taką obietnicę, dotrzymały jej. Anglja była o tyle nieostrożną, że zajmując Egipt, obiecała mu toż samo. Spełnienie tej obietnicy byłoby wielkim nieszczęściem. Anglja od lat trzydziestu dzierży Egipt i bez żadnej wątpliwości zatrzyma go na zawsze; lecz, choć okazało się to koniecznością, jest niemniej złamaniem danego słowa. Japonja przyrzekła toż samo, zajmując Koreę, ale, niewątpliwie, ani na chwilę nie miała zamiaru dotrzymać zobowiązania. Korea, zupełnie niezdolna do rządzenia sobą i do obrony swej niepodległości, została niebawem wcielona do Japonji.

My zaś, przyrzekłszy Kubie niepodległość, dotrzymaliśmy przyrzeczenia. Leonard Wood, sprawując tam przez parę lat rządy jako gubernator, uporządkował tamtejszy zamęt i rządy na wyspie postawił na tak wysokim poziomie moralnym i materjalnym, jakiego nigdy dotąd tam nie było. Traktaty, zawarte z Kubą, dały jej przywileje na naszych rynkach. Dokonawszy tego wszystkiego, ustąpiliśmy z wyspy, oddając rządy w ręce krajowców. W pięć lat potym wybuchła na Kubie rewolucja; musieliśmy znowu interwenjować i zaprowadzić porządek. Wysłaliśmy nieliczne wojsko pod dowództwem jenerała Barry, który uspokoił zamieszki, zaprowadził spokój i sprawiedliwe rządy. I, po raz drugi, wojska amerykańskie opuściły wyspę, mieszkańcy zaś objęli rządy i sprawują je dotąd.

W wielu razach grzeszyliśmy słabością lub

niedbalstwem; nieraz byliśmy zamało skrupulatni w poszanowaniu praw cudzych. Lecz nie znam w historji przykładu równie bezinteresownego postępowania względem państwa słabszego, jak nasze postępowanie względem Kuby.

Na wyspach Filipińskich, na Kubie, w Porto-Rico, na Santo Domingo i w Panamie, powodzenie nasze zawdzięczamy w znacznej części temu, że rządy sprawowali ludzie wysokiej wartości. System dobierania takich ludzi, zapoczątkował prezydent Mac Kinley, a ja stosowałem go w dalszym ciągu. Zastałem w biurach wielu zasługujących na podziw ludzi; podtrzymywałem ich na urzędach i starałem się znaleźć im godnych następców. Dzięki ich pracy i temu systemowi, zaprowadziliśmy wszędzie ład i spokój; w ciągu lat dziesięciu w tych krajach dokonał się postęp większy, niż w ciągu całych stuleci poprzednio.

Oprócz Filipinów, Kuby i Porto Rico, zaznaczyliśmy również swoje prawa do całej półkuli, pod hasłem teorji Monroego.

Teorja ta głosi, że cała zachodnia część globu nie może być polem osiedlania się ani wpływów dla państw Starego Świata. Nie jest to prawo międzynarodowe, ale zasadnicza podstawa, naszej polityki zagranicznej. W naszych czasach, utrzymanie tej zasady, nie przedstawia żadnej trudności, chyba wtedy gdyby państwo amerykańskie, zagrożone w swych interesach, okazało w stosunkach z innemi państwami słabość lub nie dopełniło swych zobowiązań. Rozległe i lennicze państwa Południowej Ameryki — Argientyna, Brazylja, Chili — rozwinęły się tak świetnie, że nie

potrzebują opieki Stanów Zjednoczonych. Zajmują względem nas stanowisko takie samo, jak Kanada: są naszemi przyjaciółmi, na stopie zupełnej równości. Względem nich niepotrzeba powoływać się na teorję Monroego. Same potrafią odwołać się do niej w razie potrzeby. Rozumie się, że gdyby na jedno z tych państw napadło jakie europejskie mocarstwo i chciało je zająć, pośpieszylibyśmy mu na pomoc i nie dopuścili do okupacji. Ale moglibyśmy to uczynić tylko na wezwanie napadniętego, jako przyjaciele, od których zażądano pomocy.

Inaczej jednak rzecz się ma z niektóremi podzwrotnikowemi państwami w pobliżu morza Karaibskiego. Niektóre z nich są pastwą nieustannych rewolucji i ciągłego zamętu, do tego stopnia, że nie mogą ani spełnić obowiązku względem mieszkańców, ani narzucić obcym państwom poszanowania własnych praw. Stany Zjednoczone nie dążą bynajmniej do wcielenia któregokolwiek z tych państw. Mogą nawet dużo ścierpieć od nich, nie okazując urazy. Gdyby jakieś potężne mocarstwo postąpiło z nami tak, jak Venezuela, pod rządami prezydenta Castro, rozpoczęlibyśmy niezwłocznie z nim wojnę. Ale Venezueli nie zaczepialiśmy, jako słabego przeciwnika i posunęliśmy wyrozumiałość aż do nierozsądnych granic. Lecz z innemi dwoma państwami rzeczy zaszły tak daleko, że musieliśmy wystąpić czynnie: z Santo Domingo i z Kolumbją, ówczesną właścicielką międzymorza Panamskiego.

W początkach moich rządów w Santo Domingo wrzały nieustające zamieszki, ciągłe bitwy,

ciągłe rabunki; rabusie, zagarniający kolejno rządy, grabili dochody z ceł w portach i komorach celnych, skutkiem czego, Europejczycy, którzy udzielili pożyczki, zagrożeni w swoich interesach, zwrócili się do swoich rządów o opiekę. Nieporządki dochodziły do takiego stopnia, że gdy admirał Dewey wybrał się z urzędową wizytą do prezydenta, wpadł ze swą świtą pod strzały rewolucjonistów i musiał z głównego placu miasta powrócić na statek, wyrzekając się odwiedzin. Wierzyciele nie otrzymywali procentów, więc kilka mocarstw europejskich postanowiło zbrojną interwencję.

Gdyby nie nasze wdanie się w tę sprawę obce państwa byłyby zagarnęły Santo Domingo; a wtedy, ci sami przeciwnicy gwałtownych środków, przedsięwziętych dla *zapobieżenia* złemu, byliby żądali zbrojnego wystąpienia, dla *odrobienia* tego, co się już stało. Mądre rządy polegają na przezorności i działaniu w odpowiedniej chwili; cała moja polityka zagraniczna opierała się na tych właśnie zasadach.

W Santo Domingo zamęt doszedł do takich rozmiarów, że istniały tam jednocześnie dwa wrogie sobie rządy; jeden rząd miał rezydencję na morzu, na pokładzie niewielkiego statku, ale upierał się przy twierdzeniu, że jest władzą całej wyspy; chciał pobierać cła i wyrokować w sprawach wojny lub pokoju. Poleciłem wtedy dowódcy naszej eskadry nie dopuszczać do bitwy, która groziła zniszczeniem zarządów celnych i magazynów. Spełnił doskonale moje rozkazy. Gdy pewnego razu, dwa wrogie obozy zabierały się do walki,

groźnej dla całości miasta, w którym Amerykanie mieli przedsiębiorstwa, zawiadomił obu dowódców, że nie pozwoli na bitwę w mieście, ale pozwala im wypłynąć na pełne morze i stoczyć tam pojedynek. Zwycięzca zostanie panem miasta. Dowódcy zgodzili się na propozycję, odbyli pojedynek na wskazanym miejscu, poczym zwycięzcom—tym razem powstańcom—poddało się miasto.

Dla zabezpieczenia wierzycieli przeprowadziłem układ z władzami, sprawującemi w danej chwili rządy i poddałem komory celne pod kontrolę Amerykanów. Zobowiązaliśmy się do utrzymywania porządku; rządowi dawaliśmy z dochodów czterdzieści pięć % a pięćdziesiąt pięć przelewaliśmy do kasy w Nowym Yorku, na rzecz wierzycieli. Układ ten był korzystny dla obu stron; rząd miał większe, niż przedtym, dochody, a pretensje wierzycieli zostały zaspokojone w zupełności i europejskie mocarstwa nie miały już pozoru do interwencji.

Ci, którzy nie znają charakteru międzynarowych apostołów pokoju, pomyślą niezawodnie, że naszą akcję przyjęli z zadowoleniem? Bynajmniej. Nawet dzienniki, najhałaśliwiej broniące pacyfizmu, napadły na mnie pod pozorem, że nie miałem prawa do zawierania umów. Żądały stanowczo zerwania traktatu, zabezpieczającego spokój na przyszłość, ale nie były w stanie podać żadnego rozsądnego argumentu na poparcie swoich żądań. Bo pacyfiści lubią się zbierać i gawędzić o „wiecznym pokoju", a nawet podpisywać się na świstkach, traktujących o sądach rozjemczych, lecz

nie interesują się praktycznemi rozporządzeniami nowego rządu, przedsięwziętemi dla dobra kraju i uniknięcia wojny.

Do pacyfistów przyłączyli się ludzie „dobrych chęci“, którzy żądają, ażeby każdą sprawę rozstrzygać, lecz nie na tej drodze, która prowadzi do celu. Przyznawali oni, że trzeba uchronić Santo Domingo od europejskiej interwencji, ale w inny sposób, nie określając bliżej, w jaki mianowicie.

Konstytucja nie nakazywała mi wprawdzie zawierać umowy z Santo Domingo, ale nie zabraniała tego wyraźnie; skorzystałem z tego i przeprowadziłem, co chciałem, nie czekając na sankcję senatu, którą ostatecznie uzyskałem, po długich walkach i wielu trudnościach. Gwałtowny opór stawiali zwłaszcza ci senatorowie, którzy byli nieprzyjaźnie usposobieni dla mnie i dla rządu, z powodu walki, jaką prowadziliśmy z syndykatami wielkich przedsiębiorstw. Dopiero po dwuch latach Senat, zaprowadziwszy małoznaczne zmiany w traktacie, ratyfikował go ostatecznie. Ameryka uniknęła zatargu z europejskiemi mocarstwami, a Santo Domingo odniosło niezaprzeczone korzyści z tego układu.

Ale niezawsze z równym powodzeniem uda się Ameryce załagodzić zatargi pomniejszych państw z europejskiemi mocarstwami. Gdy Niemcy rozpoczęły blokadę Venezueli, chcąc ją zmusić do przyjęcia postawionych warunków, groziło to, rzeczywiście, niebezpieczeństwem zagarnięcia, przez Niemcy niektórych miast i portów Venezueli. Lecz i wtedy udało mi się skłonić prze-

ciwników do przedstawienia sprawy trybunałowi rozjemczemu w Hadze.

Ale najważniejszą sprawą, jaka przeszła przez moje ręce podczas sprawowania rządów prezydenta—była sprawa kanału Panamskiego.

Od czterystu blisko lat, od czasu gdy Balboa przeprawił się przez międzymorze Panama, mówiono ciągle o zbudowaniu tam kanału; lecz dopiero po zawarciu przez Stany Zjednoczone układu ze zbankrutowanym towarzystwem Panamskim, gdy przejęliśmy jego prawa, ubiegając Europę, można było pomyśleć o rozpoczęciu robót. Należało tylko rozstrzygnąć, czy kanał ma być przebity według planu francuskiego towarzystwa, czy przez Nicaraguę. Panama należała do rzeczypospolitej Kolumbji. Nicaragua dopraszała się usilnie przeprowadzenia kanału przez jej posiadłości. Komisja, wysłana na zbadanie, orzekła, że kierunek przez międzymorze Panamskie jest korzystniejszy, niż przez Nicaraguę, o ile uda się odkupić od francuskiego towarzystwa jego prawa, za czterdzieści miljonów dolarów; w przeciwnym razie, lepiej skierować kanał przez Nicaraguę. Próba, przedsięwzięta przez Lessepsa z kapitałami prywatnemi, skończyła się w sposób opłakany, i na przyszłość należało wyrzec się podobnego systemu. Stany Zjednoczone zaznaczały wielokrotnie, że nie pozwolą żadnemu państwu europejskiemu ani na budowę kanału, ani na kontrolę nad budową. Kolumbja nie była w stanie zbudować go własnemi siłami. Wynikła z tego konieczność podjęcia się budowy przez Stany Zjednoczone i to bez dalszej zwłoki.

Przedsięwziąłem stanowcze kroki w 1903 r. Przez ostatnie lat pięćdziesiąt z górą, Kolumbja była w stanie nieustannego wrzenia. Zbrojne zamieszki następowały jedne po drugich; przez ten przeciąg czasu naliczono *pięćdziesiąt i trzy* wybuchów na międzymorzu Panamskim, nie licząc pomniejszych awantur. Nie zanosiło się też, bynajmniej, na uspokojenie. Przeciwnie: rewolucje wybuchały coraz gwałtowniejsze i trwały coraz dłużej. I tylko interwencja Stanów Zjednoczonych uratowała pozory władzy kolumbijskiego rządu nad Panamą. W ciągu tych lat kilkudziesięciu nasze wojsko i marynarka wielokrotnie zaprowadzały tam spokój i porządek; opiekowały się mieniem i życiem obywateli. Rząd kolumbijski wzywał wciąż naszej pomocy, dla „obrony jego praw". Doszło do tego, że nasze wojsko musiało opiekować się przewozem wojsk kolumbijskich i dostawą amunicji dla nich. A tymczasem w Kolumbji panowały stosunki, graniczące z anarchją. W 1900 r. wice-prezydent Maroquin kazał porwać prezydenta Sanclamente, uwięził go i obwieścił narodowi, że obejmuje władzę, zmuszony do tego „nieobecnością prezydenta". Zakrawało to już na tragiczne żarty. „Nieobecność" prezydenta zakończyła się jego śmiercią w więzieniu we dwa lata po porwaniu.

Przytoczone tu fakty tłumaczą, chyba, dostatecznie położenie. Niepodobna było prowadzić układów z takim rządem, a na odwołanie się do „rządzonych", to jest mieszkańców Stanu Panama, cała ludność odpowiedziała zgodnie, żąda-

jąc od Stanów Zjednoczonych rozpoczęcia budowy kanału.

Czyniłem, co mogłem — osobiście i za pośrednictwem sekretarza Haya — ażeby skłonić rząd Kolumbji do uczciwego dotrzymania zobowiązań. Zawarliśmy z nim umowę, która dawała nam prawo zbudowania kanału—obrony jego i zabezpieczenia swobodnego przejazdu dla statków wszystkich państw, na jednakowych prawach. Układ ten uzyskał zgodę wszystkich interesowanych, a z chwilą podpisania go, zobowiązaliśmy się, że nie będzie dalszej zwłoki, ani przeszkód w robotach. W Panamie przyjęto umowę z zadowoleniem, prezydent ją podpisał. Ale w głowach ludzi, rządzących Kolumbją, wylągł się pomysł złośliwy i nierozsądny—zagarnięcie czterdziestu miljonów, przeznaczonych na spłatę francuskiego towarzystwa, które zaczęło było budowę. Prezydent, pomimo podpisania umowy z nami, zerwał zobowiązania, a kongres Kolumbijski — kongres marjonetek — zgodził się na to bez oporu.

W sierpniu, 1903 r., kiedy wyszło na jaw postanowienie kolumbijskiego rządu, ostrzegłem, że zerwanie umowy pociągnie za sobą groźne następstwa. Wiedziałem, że ludność Panamy gorąco pragnie rozpoczęcia robót, tak ważnych dla dobrobytu kraju, i że gotowa jest nawet do buntu przeciw swemu rządowi.

Oznaczono już termin wybuchu na 20-go października, skutkiem czego nakazałem naszym statkom wojennym zająć dogodne stanowiska do rozpoczęcia działań, w razie potrzeby.

Statki zaledwie zdążyły na porę. 3-go listopada wybuchła rewolucja w Panamie, lecz, ponieważ cała ludność i wojsko w przykładnej zgodzie przyłączyło się do rewolucjonistów, obeszło się bez rozlewu krwi. Statki amerykańskie przybyły do Colonu w samą porę, by wziąć pod opiekę poddanych amerykańskich, którym groziło przybycie wojsk z Kolumbji. Dowódca naszego statku, kapitan Hubbard, wysadził na ląd oddział marynarzy, a swym taktem i stanowczością nietylko zapobiegł napaści na naszych obywateli, lecz skłonił dowódcę kolumbijskich wojsk do odpłynięcia. Na wybrzeżu Panamy, od strony oceanu Spokojnego, kolumbijska kanonierka sypnęła pociskami na miasto Panamę i przyprawiła o śmierć... jednego Chińczyka. Jedyna to była ofiara tej „wojny".

Rząd amerykański, ani jego wysłannicy, nie przygotowywali rewolucji i do niej nie podmawiali. Stan Panama samorzutnie i jednozgodnie zerwał łączność z Kolumbją i ogłosił swą niezależność.

Miałem zawsze przekonanie—a to, co zaszło później, potwierdza słuszność moich zapatrywań—że interes wojskowy i cywilny Stanów Zjednoczonych wymaga urządzenia łatwej i szybkiej morskiej drogi między Atlantykiem, a oceanem Spokojnym. Była to dla nas kwestja żywotna, nie teoretyczna i nie znosząca dłuższej zwłoki. Postępowanie zaś Kolumbji groziło nietylko przewlekaniem w nieskończoność tej sprawy, ale dążyło wyraźnie do zagarnięcia funduszów francuskiego Towarzystwa. Gdybyśmy dłużej pozostali byli bezczynni, zgodzili się na zwłokę całoroczną, proponowaną przez Kongres Kolumbji i dopuścili do konfiskaty

funduszów Towarzystwa, któremu zapewniliśmy poprzednio czterdzieści miljonów odszkodowania za odstąpienie nam swych praw do budowy kanału—Francja byłaby, napewno, wzięła w obronę interesy Towarzystwa, a wtedy mielibyśmy na międzymorzu już nie francuskie Towarzystwo, lecz samą Francję, co mogłoby wywołać międzynarodowy zatarg bardzo poważnego charakteru. Wszystko znaglało nas do czynnego wystąpienia: względy moralności i uczciwości międzynarodowej — obowiązek względem Panamy — nasz własny interes i honor narodowy. Ogłosiłem więc, że Panama pozostaje odtąd pod opieką Stanów Zjednoczonych, a wszystkie państwa przyjęły to bez oporu; poczym zawarliśmy natychmiast z nowo powstałą Rzecząpospolitą układ o budowę kanału.

W sprawie niepodległości Stanów Panamy i ułożenia traktatu, upoważniającego Stany Zjednoczone do podjęcia budowy kanału, główną rolę odegrał wybitny francuski inżynjer, dawny porucznik Lessepsa, Filip Bunau-Varilla. Zasługi jego dla tego dzieła cywilizacyjnego godne są zaznaczenia.

Od samego początku do końca postępowaliśmy prosto, otwarcie, z uwzględnieniem wszelkich wskazań uczciwości w stosunkach międzynarodowych. Krytyka naszego działania opierała się na nieznajomości sprawy, lub wypływała z niedorzecznego sentymentalizmu, któremu hołdują umysły słabe i przewrotne. Działając w inny sposób, dopuścilibyśmy się zdrady interesów Ameryki, obojętności na losy Panamy i nieuczciwośc względem innych mocarstw. Kolumbja nie zasłu-

giwała na żadne względy i niewolno zapominać o jej zdradzieckim i podstępnym działaniu. Fakty, jakie podałem, dowodzą tego niezbicie. Od samego początku kładliśmy silny nacisk na konieczność zapewnienia wszystkim państwom wolnego przejazdu przez kanał. Z biegiem czasu, w obec zmieniających się okoliczności, uznaliśmy, że mamy obowiązek podjąć się budowy kanału, dla dobra całej kuli ziemskiej Kolumbja, zmieniając swą postawę, odmawiając nam tego prawa, na które zgodziła się była poprzednio i usiłując zagarnąć kapitały francuskiego Towarzystwa, postąpiła jak prosty rozbójnik. Słabość z naszej strony i zwłoka byłyby dopomogły jej zamiarom.

Nie zachęcałem bynajmniej do rewolucji. Przez lat pięćdziesiąt w Panamie trwał nieustający rozlew krwi i zamieszki, a dzięki naszemu postąpieniu, kraj ten od lat dziesięciu cieszy się dobrodziejstwem pokoju; dobrobyt jego i rozwój przez te lat dziesięć uczyniły większe postępy, niż przez lat czterysta, od początku istnienia tego państewka. Nasze działania, podjęte mimo wrzasku pacyfistów, dały Panamie, Kubie i Santo Domingo możność pokojowego rozwoju. Niech Kolumbja swoje upokorzenie i straty przypisze własnej tylko winie, bo nie ma najmniejszego prawa oskarżać o nie Stanów Zjednoczonych.

Bezczynność nasza byłaby sprowadziła nieokreśloną zwłokę w budowie kanału i dowiodła, że nie możemy odegrać tej roli na międzymorzu, jakiej wymagają nasze interesy.

Przyjąłem na siebie całą odpowiedzialność,

bo wierzyłem, że działanie moje jest w zgodzie z zasadami i celami naszej polityki, że zabezpiecza nasze prawa i pomaga do spełnienia zobowiązań, jakie przyjęliśmy, zawierając umowę o zbudowanie kanału.

Szczerze żałuję, że rząd Kolumbji zmusił mnie do obrania tej drogi. Nie wątpię, że wśród mieszkańców Kolumbji niebrak ludzi uczciwych i rozsądnych, lecz każdy naród musimy sądzić według działań jego rządu. Jeżeli ci ludzie uczciwi i rozsądni nie chcieli, czy nie umieli powstrzymać swego rządu na niebezpiecznej drodze i zmusić go do uczciwego postępowania względem Stanów Zjednoczonych, winę za to musi ponieść kraj cały.

Gdybyśmy mieji do czynienia z innym rządem—np. z Brazylją, Argientyną lub Chili—kanał budowałby się pod ich kierunkiem. W Panamie nie było możności zbudowania go w inny sposób. A budowa jego była koniecznością i obowiązkiem naszym.

Po długich rozprawach Senat zatwierdził traktat, zawarty z Panamą i zaczęły się roboty. Zebrani przezemnie inżynjerowie podzielili się na dwie grupy: większość, z inżynjerami zagranicznemi, wypowiedziała się za budową na poziomie morza. Mniejszość, złożona głównie z Amerykanów—za systemem szluzowym. Po zbadaniu sprawy przekonałem się, że kanał, na poziomie morza zbudowany, byłby niewiele mniej narażony na uszkodzenie w razie wojny i dogodniejszy dla mniejszych statków. Za tego rodzaju typem obstawali europejscy inżynjerowie, opierając się na

doświadczeniu, odniesionym z kanału Suezkiego. System szluzowy zaś, popierany przez Amerykanów, którzy mieli prowadzić roboty, zmniejszał koszt budowy o połowę i umożebniał przeprowadzenie robót dwa razy prędzej, a dla statków większego rozmiaru był dogodniejszy; prócz tego, koszta utrzymania były mniejsze. Na zasadzie tych danych zawiadomiłem Kongres w lutym, 1906 r., że przy budowie kanału trzeba przyjąć system szluzowy. Kongres poparł moje zdanie i zalecił mianować komisję kontrolującą roboty.

Próbowałem spełnić rozkaz Kongresu i wyciągnąć jakąś korzyść z prac komisji, lecz okazało się to niepodobieństwem, bo ciało, złożone z wielu głów, jest marnym narzędziem w działaniu.

Udało mi się mianować przewodniczącym w komisji pułkownika Goethalsa.

A gdy Kongres opierał się przelaniu władzy w ręce przewodniczącego, rozwiązałem trudność, wydając w styczniu 1908 r. specjalny rozkaz, który rozszerzał przywileje przewodniczącego, całą komisję oddawał pod jego władzę, i roboty przy kanale skupiał w ręku jednego człowieka.

Doktór Gorgas oddał nieocenione usługi, czuwając tak pilnie nad warunkami sanitarnemi, że zabójcze międzymorze zrobiło się miejscem pobytu zdrowym, jak miejscowość kuracyjna. Pułkownik Goethals okazał się człowiekiem zupełnie odpowiednim do swego zadania. Dokonał on pomnikowego dzieła: potrafił natchnąć swoich podwładnych taką energją i zapałem, jakie widzi się tylko czasami w zwycięskich armjach. Pracowni-

kom, zajętym przy budowie kanału, należał się też sprawiedliwie medal, ustanowiony w nagrodę za dwuletnią pracę. Dzielniejszych ludzi trudnoby znaleźć; warunki, w jakich żyli i pracowali, dano im lepsze, niż w jakichkolwiek, przedtym prowadzonych, robotach w kraju podzwrotnikowym. Dzieło, przez nich wykonane, świat cały zawdzięcza Ameryce, która zasłużyła w całej pełni na jego wdzięczność.

XIII.

Pokój sprawiedliwy.

Pokój „sprawiedliwy“ jest najszlachetniejszym celem, do którego cała ludzkość powinna dążyć. Cześć się należy pogodnym i szlachetnym ludziom, którzy mądrze i odważnie, miarkując wybujały idealizm liczeniem się z rzeczywistością, walczą o przyspieszenie tej chwili, gdy na całym świecie ustaną zbrojne starcia między narodami i między warstwami tego samego narodu. Ale, uznając zasługi tych działaczów, musimy też uznać, że ci, którzy wysławiają *spokój niesprawiedliwy* i przekładają go nad *sprawiedliwą wojnę*—wyrządzają największe szkody ludzkości i własnemu narodowi; że są to ludzie nieuczciwi, albo beznadziejnie ograniczeni. W historji wszystkich narodów najpierwsze miejsce zajmują ludzie, ktorzy gardzili niesprawiedliwością, nie krzywdzili nigdy słabych i nie pozwalali ich uciskać w swym kraju, ale którzy nigdy nie zawahali się dobyć miecza wtedy, gdy ich bezczynność dopomogłaby do zwycięstwa niegodziwości.

Jest to prawdą tak oczywistą, że—zdawałoby się—niepotrzeba jej dowodzić. A jednak, każdy, kto ma do czynienia z polityką, kto wczytuje się w dzieje przeszłości—musi uznać z goryczą, że dużo ludzi, nietylko tych, co mają złe zamiary, lecz i tych, co mają najlepsze cele — wychwala czyny, dokonane w przeszłości, ale nie umie wyciągnąć z nich nauki dla potrzeb obecnej epoki. W naszych czasach najwidoczniej uderza to u ludzi, opętanych ideją wszechświatowego pokoju, który chcą osiągnąć za pomocą tanich, opatentowanych leków.

W ostatnich stuleciach wzrosło i rozwinęło się silnie poczucie odpowiedzialności i sprawiedliwości w stosunkach wielkich, ucywilizowanych państw. Zaczęło wzrastać przeświadczenie, że naród, który wyrządza krzywdę drugiemu narodowi, popełnia czyn haniebny i, że—w większej części wypadków—wojna jest środkiem złym do załatwiania międzynarodowych zatargów. Ale międzynarodowe systematy rozjemcze są—jak dotąd—zaledwie w fazie początkowej i nie posiadają żadnej siły wykonowczej do przeprowadzenia swoich wyroków. Bo prawa, rządzące teraz we wszystkich krajach, opierają się na sądach i policji; a brak zupełny siły wykonawczej i niedostateczna powaga sędziów w sprawach międzynarodowych sprawia, że trybunały rozjemcze nie są potęgą, którąby można uważać za ostateczną instancję w międzynarodowych zatargach sądów w poszczególnych krajach.

Trzeba też pamiętać, że powody, jakie wciągają w wojnę państwa, są często trudniejsze do

usunięcia i bardziej skomplikowane, niż powody zatargów między jednostkami. Każdy prawie większy naród otrzymał w dziedzictwie jakieś zadanie, bądź spór z innym państwem, bądź z pewnym odłamem własnego społeczeństwa, a którego—w obecnym stanie cywilizacji i układu stosunków—niepodobna rozstrzygnąć tak, jak prywatnych zatargów. Połowa wojen, toczonych w zeszłym stuleciu, miała za powód zatargi wewnętrzne, a nie z obcemi mocarstwami. Ale niekiedy państwa wielkie i potężne dopuszczają się nad innemi narodami, lub nad częścią własnych poddanych, ucisku tak rażącego, wyrządzają krzywdy tak dotkliwe, że najspokojniejszych nawet ludzi zmuszają do wojen. Znowu są państwa tak słabe, że nie mogą obronić cudzoziemców przed własnemi poddanemi, ani własnych poddanych od nadużyć cudzoziemców—a wtedy sąsiednie państwa mają obowiązek wdać się w ich sprawy. I do tej pory nie wynaleziono jeszcze odpowiedniej metody do takich międzynarodowych działań, a, ilekroć podjęto je połączonemi siłami kilku mocarstw, wyniki wspólnej akcji bywały jeszcze gorsze. Najohydniejsze gwałty naszych czasów, takie jak, np. masowe rzezie Ormian w Turcji, działy się w czasach zupełnego pokoju, kiedy potężne mocarstwa, za wspólnym porozumieniem, stały niby na straży, broniąc naruszenia tego pokoju; a wtedy jedynie wystąpienie zbrojne mogło było poskromić dokonywane bezprawia. Trzeba też pamiętać, że ci, którzy padali ofiarą tych ohydnych rzezi, żyli w błogich warunkach „rozbrojenia“. Gdyby nie to, gdyby mieli broń w rę-

ku—dziki motłoch nie byłby tak pochopny do rzucenia się na nich.

A jednak, mimo tych niezbitych faktów, ludzie dobrzy, lecz ograniczeni, ogłaszają wciąż rezolucje, żądające „sądów rozjemczych“ w każdej sprawie, „rozbrojenia“ wszystkich państw i zniesienia w nich siły zbrojnej. Wydają broszury i artykuły, pisane w tonie uroczystym, dowodząc, że wojna nigdy się nie opłaci, „bo kosztuje dużo“. Jest to coś w tym rodzaju, jak gdyby państwo skasowało policję i ograniczyło się do przekonywania zbrodniarzy, że zyski z kradzieży, rozboju i handlu kobietami są „złudzeniem“. Zwolennicy pokoju nie dadzą się nigdy przekonać, gdyż wychodzą z fałszywego założenia, domagając się „pokoju“, a pomijając „sprawiedliwość“. Nie są to tchórze, tylko ludzie rozpieszczeni przez wygodne życie, pozbawieni zupełnie patryjotyzmu, i obojętni na honor narodowy. Nie mogą powstrzymać swoich rodaków od krzywdzenia i znieważania innych narodów, żądają tylko uporczywie, ażeby ich ziomkowie poddawali się pokornie gwałtom i obelgom, jakie z kolei wyrządzą im inne narody.

Pacyfiści amerykańscy są szczególnie nielogiczni, bo, głosząc swoje teorje, zapominają, że Ameryka bez wojny nie byłaby zdobyła nigdy niezależności, ani nie zgniotła w swym kraju hańby niewolnictwa. A głosiciele „pokoju za wszelką cenę“, którzy nie uznają, że wojna może być czasem korzystna, niech zechcą rozważyć różnicę między Chinami, a Japonją. Chiny nie mają floty, ani porządnego wojska. Są państwem olbrzy-

mim, posiadają własną, odrębną cywilizację i najliczniejszą na całym świecie ludność—a jednak są pastwą obcych najeźdźców, gdyż nie są zdolne do walki. Japonja zaś stoi na stopie zupełnej równości z państwami europejskiemi i z Ameryką, dzięki temu, że posiada wojenną potęgę. Prowincje państwa Chińskiego są obecnie w posiadaniu Japonii, Rosji, Niemiec, Anglji i Francji; po dwakroć, za życia obecnego pokolenia, stolica Chin była w ręku obcych najeźdźców, a to dlatego, że państwo Chińskie hołduje ideałom tych, którzy chcieliby swoje kraje doprowadzić do rozbrojenia, licząc, że, np. nasza—Ameryki—bezbronność, zabezpieczy ją od napaści ościennych mocarstw.

Zwolennicy pokoju nie mogą zrozumieć, że żądają rzeczy, niemożliwych do pogodzenia, domagając się „pokoju za wszelką cenę“, a jednocześnie „sprawiedliwości i słuszności“. Był taki jeden pacyfista, który pisywał soneciki na cześć Mahdiego i Sudańczyków, żądając dla Sudanu „niepodległości i pokoju“. A Sudan chciał być niepodległym dlatego tylko, ażeby prowadzić wojnę z chrześcijanami i niekrępowany niczym handel niewolnikami. Sudan „niepodległy“ istniał pod rządami Mahdiego przez lat dwanaście, a przez cały ten czas rządziła tam tyranja, fanatyzm religijny i najokrutniejsza nietolerancja. Pomimo ciągłych obław i dowozu niewolników, przez te lat dwanaście ludność kraju *zmniejszyła się o jedną trzecią część*. Dzieci marły masami. Spokój powrócił i rozwinął się dobrobyt, ustały gwałty, morderstwa, rozboje i tortury dopiero wtedy, gdy

Sudan postradał swą niepodległość i przeszedł pod panowanie Anglji. Ten autor sonecików był mocno przekonany, że występuje w obronie dobrej sprawy... Nie był on ani na jotę nierozsądniejszy, niż ci znakomitsi ludzie, którzy dziś domagają się rozbrojenia Stanów Zjednoczonych, zaniechania dalszej budowy statków wojennych i zobowiązania się uroczystego do poddawania wszystkich spraw— nawet tych, w których idzie o interes i honor naszego narodu — oraz wszystkich zatargów z innemi państwami, wyrokom trybunału rozjemczego.

Ludzie ci byliby nieszkodliwi, gdyby szło tylko o nich samych, tak jak nieszkodliwi są ci, którzy wierzą, że narzucony przemocą wegietarjanizm i zakaz szczepienia ospy zaradziłby wszystkiemu złemu na świecie. Lecz, na nieszczęście — pacyfiści swojemi działaniami mogą wyrządzić dużo złego, gdyż wtrącają się do naszych stosunków z obcemi mocarstwami, skutkiem czego za błędy, przez nich popełnione, mogą kiedyś zapłacić inni. W ograniczeniu swym zwolennicy pokoju za wszelką cenę, usiłują nakłonić naród do przyjęcia niewłaściwych i szkodliwych zobowiązań — do zaniechania budowy statków wojennych. Ale gdy wybuchną niesnaski, gdy umowy zostaną zerwane, gdy zajdzie potrzeba zbrojnego wystąpienia — nie oni wtedy za to odpokutują. Będą sobie siedzieli bezpiecznie w domu, gdy inni mężni ludzie będą płacili swoją krwią, a cały naród wstydem, za głupotę i nieopatrzność tamtych.

Nieszczęściem naszego kraju jest to, że nasza polityka idzie krętą linją, bo różne odłamy

narodu wywierają nierównomierny nacisk, na działania rządu. Jedni żądają zawierania umów, niemożliwych do wypełnienia i szkodliwych, w razie dotrzymania; inni pozwalają zawierać takie umowy, ale pod warunkiem, że nie będą one nigdy wprowadzone w wykonanie, albo stawiają opór gdy zachodzi potrzeba dotrzymania zobowiązań. Powszechnie też jest wyznawana zasada „wolności słowa", pod którą rozumie się wolność mówienia wszystkiego o sobie i o innych narodach. A że praktykujemy tę zasadę bez żadnego pomiarkowania, nie możemy wymagać, ażeby inne narody były dla nas pobłażliwe, jeżeli nie będziemy zdolni poprzeć czynem naszych słów. Jedna część narodu głosi obietnice uczynienia zadość wszystkim żądaniom cudzoziemców — inna zaś część obelżywie i bezprawnie pomiata niemi. I trudno orzec, która z tych kategorji więcej kompromituje rozsądny i pełen godności ogół Amerykanów. A w polityce jedyną właściwą zasadą jest: mało obiecywać, ale uczciwie dotrzymywać tego, co się obiecało. Przemawiać łagodnie i grzecznie, ale trzymając mocny kij w ręku.

Dla nas—i dla każdego innego narodu—najważniejszym zadaniem jest jasne rozwiązanie swoich pragnień i unikanie dróg, które się z sobą nie zgadzają. Jeżeli naród cały jest zadowolony i zgodzi się grać w Nowym Świecie rolę taką, jak Chiny na starym lądzie — niech się zrzeknie posiadania wojska i marynarki. Jeżeli zgodzi się wyrzec wysp Hawajskich i kanału Panamskiego; jeżeli przestanie mówić o teorji Monroego i przyzna

europejskim i azjatyckim mocarstwom prawo rozporządzania, jakich immigrantów ma Ameryka przyjmować, nadawać im prawa obywatelskie i wolność nabywania ziemi; jeżeli zgodzi się milczeć i pozostać biernym wobec zbrojnych cudzoziemców — no! to wtedy może wyrzec się armji i floty i poddawać wszystkie swe sprawy pod sąd cudzoziemskich, *międzynarodowych* trybunałów. Wtedy może już dowoli spędzać czas na urządzaniu świąt powszechnego pokoju i udawać zadowolenie, choć zarobi sobie na szyderstwo i wzgardę wszystkich mężnych narodów na świecie. Ci, którzy pracują nad taką polityką, nie mają wzniosłych poglądów, ale—w takim razie—można zrozumieć stanowisko, jakie zajęli.

Lecz niepodobna zrozumieć stanowiska tych, którzy domagają się jednocześnie nieokiełznanej swobody w mowie i bezbronnej ręki w działaniu. Szaleństwem jest pozwalać na bezwzględną swobodę w mówieniu o obcych narodach—tak samo, jak o sobie samych—a jednocześnie uchylać się się od następstw swego gadania. Szaleństwem jest dążyć do skasowania wojennej marynarki i, jednocześnie, dowodzić, że mamy prawo narzucać światu teorję Monroego — że mamy prawo kontroli nad kanałem Panamskim, przez nas zbudowanym—że mamy prawo zatrzymać wyspy Hawajskie i nie pozwolić obcym państwom zagarnąć Kuby — że mamy prawo stanowić o tym, jakim przybyszom— z Europy czy Azji — wolno przybijać do naszych brzegów — na jakich warunkach mogą otrzymać prawo obywatelskie, nabywać ziemię i uzyskiwać inne przywileje. Jesteśmy narodem bogatym i nie

par. św. Jozafata
w Warszawie

żołnierskim. W stosunkach międzynarodowych jesteśmy narodem krótkowzrocznym. Ale znam moich rodaków. W głębi duszy mają oni takie struny, które nie ścierpią długo niesprawiedliwości. Nie zgodzą się na ubliżanie godności narodu, ani na szkody, wyrządzone jego interesom. A mając takie usposobienie, powinni pamiętać, że kto jest bogaty, zaczepny a bezbronny — najłatwiej ściągnie na siebie klęski.

Przez siedem i pół lat moich rządów prowadziłem niezmiennie politykę zagraniczną, opartą na życzliwości względem innych państw, na poszanowaniu praw cudzych, a jednocześnie na gotowości do skutecznej obrony interesów kraju. Najsłabsze państwo, zarówno z najsilniejszym, wiedziały, że nie grozi im od nas ani zniewaga, ani krzywda; silni i słabi wiedzieli także, że mamy i wolę i możność zabezpieczenia siebie od krzywdy lub zniewagi z czyjejkolwiek strony.

Podczas moich rządów zaszło zdarzenie, które uratowało sąd rozjemczy w Hadze od tego, że nie stał się próżną farsą. Sąd ten powstał z układu międzynarodowego, ale żadne mocarstwo nie okazywało chęci odwołania się do jego powagi. Ci, którzy go utworzyli, zaczynali rozumieć grożące niebezpieczeństwo, że ten sąd rozjemczy pozostanie sądem—na papierze. Najżywiej odczuwał to niebezpieczeństwo francuski delegat, pan d'Estournelles de Constant. Piśmiennie i osobiście przedstawił mi konieczność, ażeby — nie ograniczając się do zobowiązań na przyszłość — obecnie już sprawy sporne poddawać trybunałowi Haskiemu do rozstrzygnięcia. Zgodziłem się na jego zdanie

Udało mi się nakłonić Madryt do poddania sądowi rozjemczemu kwestji spornych z nami. Była to pierwsza sprawa, wniesiona w Hadze, ale po niej nastąpiły inne, naprz. oznaczenie granicy w Alasce między posiadłościami naszemi, a Wielkiej Brytanji — jedynego sporu, którego nie mogliśmy rozstrzygnąć sami. Dzięki pomocy Trybunału, udało nam się doprowadzić szczęśliwie do końca konferencję w Algeciras w sprawach marokańskich. Pozawieraliśmy z Anglją i innemi państwami umowy, zobowiązując się do przedstawiania sporów pod rozstrzygnięcie sądu—z wyjątkiem spraw, dotyczących nietykalności terytorjalnej i honoru narodowego. Zawarliśmy z Anglją traktat, zapewniający wolny przejazd przez kanał Panamski statkom wszystkich państw na równych prawach, zastrzegając sobie prawo nadzoru i fortyfikowania kanału, oraz kontrolę nad nim w razie wojny. Umową tą zobowiązaliśmy się także do poddawania sądowi opłat od towarów, przewożonych między wschodniemi a zachodniemi wybrzeżami Ameryki.

Nie wierzę jednak stanowczo w dotrzymanie obietnicy poddawania *wszystkich* kwestji spornych sądowi rozjemczemu, bo żadna z zobowiązujących się stron, nie ma szczerze zamiaru dotrzymania tej umowy. Ale stwierdzam, że mamy obowiązek dotrzymania umów, zawartych w granicach, wskazanych przez rozsądek. Najwięcej tu znaczy zamiar dotrzymania zobowiązań, a nie samo zawarcie umowy: najgorsze zaś ze wszystkiego jest zawieranie umów, niemożliwych do wypełnienia, a błędem — niedotrzymanie zobowiązań,

przyjętych i możliwych do spełnienia, których zerwanie jednak okrywa hańbą.

Na początku roku 1905, skutki wojny japońsko-rosyjskiej zaczęły uciskać cały świat ucywilizowany. Straty w ludziach i pieniądzach przybrały przerażające rozmiary. Na zasadzie dochodzących zewsząd wiadomości, nabrałem niezłomnego przekonania, że dłuższa walka będzie szkodliwa dla stron obu. Japonja już była wyczerpana utratą ludzi i pieniędzy, a nie mogła nic zyskać na dłuższej wojnie; przyszłość groziła jej stratami wielkiemi, nawet w razie zwycięstwa. Rosja — mimo swych wielkich sił i niewyczerpanych zasobów—nie miała także interesu w dalszym prowadzeniu wojny. Niepodobna było przewidzieć, jaki obrót wezmą dalsze wypadki.

Osądziłem, że obie strony walczące potrzebują pokoju i że chwila jest odpowiednia, by przeciwników namawiać do rozpoczęcia układów.

Zbadałem nasamprzód usposobienie obu stron i przekonałem się, że jedna i druga obawiała się być posądzoną przez przeciwnika o chęć zawarcia pokoju. Wyprawiłem tedy do obu państw jednobrzmiące noty, proponując przysłanie swych przedstawicieli dla zbadania, czy możliwe byłoby zawarcie pokoju i ofiarowałem się za pośrednika, ale w tym tylko, jasno określonym celu. Oba państwa przyjęły w zasadzie moją propozycję. Ale tu nastręczyła się nowa trudność; wybór miejsca, gdzie możnaby rozpocząć układy. Ostatecznie obraliśmy Portsmouth w New Hampshire, w Ameryce. Przybyłych delegatów przyjąłem na pokładzie statku

Mayflower w Oyster Bay i ofiarowałem im dwa statki, które przewiozły ich do Portsmouthu.

Na początku układów—jak zwykle w takich razach—obie strony postawiły warunki niemożliwe do przyjęcia. Największą trudność stanowiło żądanie Japonji odszkodowania pieniężnego i południowej części Sachalinu, zajętej przez wojska japońskie. Doradziłem Rosji ustąpienie Sachalinu, a jednocześnie nastawałem na Japonję, by zrzekła się wypłaty odszkodowania, na co Rosja nie zgodziłaby się nigdy. Po długich układach doprowadziliśmy wreszcie do podpisania traktatu pokojowego.

Ale — jak zwykle w takich razach — obie strony osądziły, że można było otrzymać lepsze warunki; gdy minęła groza niebezpieczeństwa, zdawało się im, że dalsza wojna byłaby przyniosła większe korzyści. Rząd japoński popełnił błąd, upewniając z góry naród, że nie wyrzecze się kosztów wojennych. W sprawach politycznych i prywatnych, blaga nie wydaje nigdy dobrych owoców i ja, osobiście, jestem zdecydowanym przeciwnikiem tego systemu. Japończycy, wprowadzeni w błąd zapewnieniami rządu, po ujawnieniu warunków pokoju uważali się za pokrzywdzonych. W wielu miejscach powstały rozruchy, zwłaszcza po miastach: trzeba było uciekać się do pomocy policji; spalono dużo świątyń chrześcijańskich. I w Japonji i w Rosji, ogół uznał mnie za winowajcę i powziął niechęć do mojej osoby. Ale byłem z góry przygotowany na to i nie brałem do serca tej niechęci. Rządy obu państw zachowały się względem mnie nietylko

bez zarzutu, lecz z wielką uprzejmością i uznaniem moich zasług przy układach.

Po zawarciu pokoju w Portsmouth, przysądzono mi nagrodę pokojową Nobla: medal, który zatrzymałem dla siebie i sumę 40000, którą ofiarowałem Związkowi Trustów na fundację polubownego sądu. W obecnej chwili pokojowe rozstrzyganie zatargów w sprawach przemysłowych jest najważniejszym warunkiem międzynarodowego spokoju, słusznie więc należy się nagroda tym, którzy ten cel osiągną. W 1910 r., podczas pobytu mego w Europie, odwiedziłem Norwegję i komitetowi Nobla przedstawiłem całą moją działalność, nietylko w sprawie ustanowionej fundacji, lecz przez cały czas mych rządów i wyłożyłem im zasady, według których rozstrzygałem trudności w stosunkach przemysłowych.

Od grupy posłów do francuskiego Parlamentu — zwolenników międzynarodowych sądów rozjemczych — otrzymałem dar najcenniejszy: pierwotne wydanie *Pamiętników księcia de Sully*, ministra Henryka IV, z opisem planu wielkiego króla, który pierwszy rzucił myśl trybunałów pokojowych. Przy tym darze dołączony był uprzejmy list z paru setkami podpisów, takich jak Loubet'a, Carnot'a, d'Estournelles de Constant'a, Briand'a, Sully Prudhomme'a, Jaurèsa, Fallières'a i Poincaré'go.

Udział mój w układach w Portsmouth wywywołał jednak bardzo surową krytykę wielu ludzi, rozsądnych i dobrych.

Tak samo jak po stłumieniu strajku węglowego ustaliło się mniemanie, że w mojej mocy

jest uspokojenie każdego strajku, i teraz, po zawarciu pokoju uznano, że obowiązkiem moim jest wdawać się w sprawy całego świata w obronie pokoju, i odgrywać rolę natrętnego, nieproszonego pośrednika. Wyprowadzono nawet wniosek, że zmieniłem już przekonanie i że stałem się bezwzględnym wrogiem wojny.

Jeden z moich pracowników, niejaki Schurz, napisał do mnie, winszując wyniku układów w Portsmouth; przy tej sposobności nadmienił, że chwila jest odpowiednia do rozpoczęcia agitacji za ogólnym rozbrojeniem. Odpowiedziałem mu na to:

— „Nie mam pojęcia, co możnaby przedsięwziąć dla ogólnego rozbrojenia, które nie jest równoznacznym ze stopniowym zmniejszaniem ciężarów, jakie sprowadza „zbrojny pokój". Gdybym był bezwzględnym zwolennikiem pokoju, nie byłbym nigdy przeprowadził zbawiennych zmian na Kubie, na wyspach Filipińskich, w Porto-Rico i w Panamie. Gdyby Japonia nie była zbroiła się w ciągu ostatnich lat dwudziestu, smutne byłby ten okres czasu przyniósł dla niej owoce. Kiedy Turcy wyrzynali Ormian, europejskie mocarstwa *trwały w pokoju* i rzuciły tym plamę na cały wiek XIX, bo ten „*pokój*" opłaciła śmiercią większa liczba istot — przeważnie kobiet i dzieci—niż liczba poległych za wojen Napoleońskich, a okrucieństwa, zbrodnie, zdziczenie i spodlenie ludzkości przeszły o wiele miarę okropności wojny. Dopóki wszystkie narody nie zrozumieją i nie uznają, że pokój ma wartość o tyle, o ile jest sprawiedliwy — dopóty niewiele możemy uczynić dla jego panowania na ziemi. Obecnie niemożna

porównywać praw międzynarodowych z prawami cywilnemi krajów, gdyż te mają za sobą siłę i źródło wykonania, a prawo międzynarodowe ich nie posiada — niema dotąd międzynarodowych armji, do których możnaby się odwołać w razie potrzeby — któreby nakazały poszanowanie dla tych praw i ukarały ich przekroczenie. Nieraz już pokój następował tylko dzięki temu, że potężne państwo zbrojną *ręką*, lub samą groźbą zbrojnego wystąpienia, poskromiło rozruchy. Morze Śródziemne uwolniło od piratów dopiero zbrojne wystąpienie Anglji. I dopiero pod władzą Francji i Rosji, ustały ohydne rzezie w Algierze i w Turkiestanie.

To samo uczyniła Anglia w Birucie i w Egipcie, a gdyby Anglia była rozbroiła się i nie mogła podbić Sudanu i zabezpieczyć Egiptu, gdyby skutkiem tego Mahdyści byli zapanowali nad północno-wschodnią Afryką, stałoby się to straszliwą, krwawą klęską dla ludzkości.

Rozwój wojennej potęgi europejskiej ocalił wschodnie kraje Europy od najazdów tatarskich, i po części uwolnił je z pod tureckiego jarzma.

Niesprawiedliwa wojna jest zbrodnią—wojna w obronie sprawiedliwości bywa niekiedy obowiązkiem państwowym.

Rozbrojenie państw najbardziej ucywilizowanych, a pozostawienie barbarzyńcom i despotom wielkich armji—byłoby klęską, w porównaniu z którą wszystkie wojny dziewiętnastego stulecia wydałyby się dziecinną igraszką.

Nie znaczy to bynajmniej, ażeby niemożna nic zdziałać w tej sprawie. Może uda się wyna-

leźć jaką drogę do rozwiązania trudności. Ale póki nie mamy wyraźnie nakreślonego planu skutecznego działania, musimy ograniczyć się tylko do polecenia sprawy rozbrojeń trybunałowi w Hadze.

Sądzę, że zaniechanie powiększenia flot byłoby ważnym krokiem naprzód, ale nie mogę tego twierdzić napewno. Armje lądowe są zbyt liczne tylko w Europie środkowej; lecz zanim zaczniemy nakłaniać tamtejsze mocarstwa do rozbrajania, musielibyśmy bardzo ściśle rozważyć, w jaki sposób trzebaby zastosować to samo i do sił wojennych Turcji.

Moim zdaniem, najważniejszą przysługą, jaką oddałem sprawie pokoju, była, urządzona przezemnie, wyprawa naokoło świata naszej floty wojennej. Wiele powodów utwierdziło mnie w mniemaniu, że zarówno nasz naród, jak i inne państwa, powinny zrozumieć, że mamy takie same prawa do oceanu Spokojnego, jak do Atlantyku, i że nasza flota może, gdy zechce, przepływać z jednego oceanu na drugi. Pewny byłem, że taka podróż przyniesie wielką korzyść samej flocie, że obudzi zajęcie w narodzie i podniesie jego zapał, a obcym państwom dowiedzie, że choć nasza flota od czasu do czasu zbierze się na wodach oceanu Spokojnego i na Atlantyku, obecność jej na tych wodach nie oznacza bynajmniej nieprzyjaznych zamiarów dla jakiegokolwiek azjatyckiego mocarstwa, ani wyprawa na Atlantyk nie jest wyzwaniem dla państw europejskich. W owym czasie marynarka angielska i niemiecka nie przypuszczały możliwoścl podobnej podróży

naokoło świata wielkich statków wojennych. Nie wierzyły, ażeby i własne floty mogły dokonać tego, a tym mniej jeszcze, ażeby mogła to uczynić flota amerykańska.

Podniosły się u nas liczne protesty przeciw wyprawie, twierdząc, że Japonja może to uważać jako pogróżkę. Nie odpowiedziałem nic publicznie na te zarzuty.

W prywatnych zaś rozmowach przekonywałem, że niema o to obawy, gdyż Japonja wie, jak wysoko ją szanuję.

Trzy miesiące czasu zużytkowaliśmy na doskonałe przygotowanie floty; dowódcom wyjaśniłem, że — według mego przekonania—podróż nie wywoła żadnych zawikłań, lecz, że mimo to, powinni tak się przygotować, jak gdybyśmy mieli toczyć wojnę z wszystkiemi mocarstwami i że nie byłoby żadnego usprawiedliwienia, gdyby nieprzewidywana napaść miała nas zaskoczyć nieprzygotowanych.

Wyprawa naszej floty wywołała wszędzie uznanie: przechwałki nie robią wrażenia na nikim, tylko czyny, które są dowodem siły. W pierwszych latach obecnego stulecia dwa tylko nasze dzieła sprawiły wrażenie: zbudowanie kanału Panamskiego i podróż naszej floty naokoło świata. Ale większe jeszcze wrażenie sprawiła ta podróż w kraju. Obudziła wielkie zajęcie i wiarę we własne siły.

Flota, złożona z szesnastu statków wojennych, popłynęła przez cieśninę Magellana do San Francisco. Ztamtąd skierowałem ją do wysp Filipińskich, do Chin i Japonji. Powróciła do kraju przez

kanał Suezki, zatrzymawszy się tylko na morzu Śródziemnym dla ratowania ofiar trzęsienia ziemi w Messynie. Zaopatrzenie floty w węgiel, i t. p., było tak wzorowe, dzięki zarządzeniu Wydziału Wojny, że w podróży nie było ani jednej godziny zwłoki; wszędzie stawała o oznaczonej porze. Naprawy uszkodzeń dokonywano tak sprawnie, że naprawiony statek, po kilkogodzinnym zaledwie opóźnieniu, powracał na swoje stanowisko w szeregu. Po ogłoszeniu planu podróży, zapisywali się tłumnie ochotnicy z nad brzegów Mississipi i z nadmorskich okolic, poraz pierwszy tak licznie—od czasu wojny z Hiszpanją; załogi były przepełnione, ludzie dzielni, gotowi do bitwy i do zabawy, lecz, mimo to, sprawowaniu ich we wszystkich portach, gdzie się zatrzymywali, niemożna było nic zarzucić. Podczas podróży odbywały się nieustanne ćwiczenia w strzelaniu z dział i w manewrowaniu, dzięki czemu flota zyskała bardzo na bojowej sprawności.

Ale ci nawet dowódcy, którzy pochwalali myśl wyprawy, nie chcieli zgodzić się na zabranie torpedowców. Nie opierałem się ich zdaniu, i nie pytałem młodszych oficerów; lecz gdym popłynął na popis strzelania do celu, oficerowie towarzyszących mojemu Jachtowi torpedowców, gorąco upewniali mnie — wbrew zdaniu admirałów—że ich *łupinki* nadążą za flotą, że marynarze zapisywali się na torpedowce bardzo licznie tylko w nadziei należenia do wyprawy. Odpowiedziałem, że wierzę ich słowu i w pół godziny wyprawiłem do flotylli torpedowców rozkaz trzymania się w pogotowiu. Torpedowce wzięły

udział w podróży, sprawiały się wzorowo i powróciły w doskonałym stanie. Zrobiło to jeszcze silniejsze i korzystniejsze wrażenie, niż podróż wielkich statków wojennych, za co podziękowałem im osobnym listem, wyprawionym do dowódcy flotylli torpedowców.

Ale nie obeszło się to przedsięwzięcie bez zabawnych epizodów. Bogaue i „kierownicy opinji“ ze Wschodnich Stanów, w panicznej trwodze na samą myśl zabrania floty z Atlantyku, wystosowali gwałtowne wezwanie do Kongresu, ażeby flotę kazał zatrzymać na miejscu. Przewodniczący w komisji do spraw marynarki zawiadomił mnie, że flota nie wyruszy, bo Kongres odmówi pieniędzy na koszta wyprawy, o co postara się on — jako mieszkaniec Stanu, położonego na wschodnim wybrzeżu. Odpowiedziałem mu, że mam w ręku pieniędzy dosyć do wyprawienia floty na ocean Spokojny i że ją tam wyprawię. Jeżeli zaś Kongres odmówi funduszów na jej powrót—no, to flota pozostanie na wodach Oceanu Spokojnego. Sposób okazał się skuteczny i nie było już potym przeszkód do otrzymania pieniędzy.

Nie mieliśmy pierwotnie zamiaru wysłania floty do Australji, lecz australijski rząd przysłał bardzo serdeczne zaproszenie, które przyjęliśmy chętnie. Przyjęto naszą flotę w Australji wspaniale, na dowód łączności naszej z lądami mórz Południowych. Goszczono w Australji tak serdecznie naszych oficerów i marynarzy, jak w kraju rodzinnym.

W Sidney, które posiada cudownie piękny

port, kapitan jednego statku zobaczył marynarza ze swojej załogi rozciągniętego na ławce w parku. Marynarz, chcąc sobie zapewnić spokojną drzemkę, rozpiął na głowie duży papier, na którym wypisał następujące odpowiedzi na możliwe pytania miejscowych mieszkańców: *„Jestem zachwycony mieszkańcami Australji. Sądzę, że wasza zatoka jest najpiękniejsza w świecie. Jestem bardzo zmęczony i chciałbym się trochę przespać“.*

Ale najważniejszym epizodem podróży było przyjęcie eskadry w Japonji.

Narody zachodnie mogą się dużo nauczyć od Japończyków, pod względem grzeczności i dobrego wychowania. Nie wątpiłem, że Japonja zrozumie właściwe znaczenie tej wyprawy i przyjmie odwiedziny naszej floty jako oznakę hołdu i dowód przyjaźni, którą żywię dla Państwa Wschodzącego Słońca. Lecz przyjęcie przeszło moje oczekiwania i mogę tylko dodać, że wszyscy oficerowie i marynarze naszej eskadry powrócili z uczuciem przyjaźni i uwielbienia dla Japończyków.

* * *

Złożyłem godność prezydenta, po siedmiu i pół latach rządów—a przez cały ten czas nie padł ani jeden strzał wymierzony przeciw obcym wrogom.

Panował niezamącony niczym spokój; nie groził nam zatarg z żadnym na świecie mocarstwem; nie wyrządziliśmy krzywdy żadnemu narodowi, a wyprawa naszej floty niemałą rolę odegrała w tym pokojowym nastroju.

Kiedy po szesnastu miesiącach podróży wróciła nasza eskadra, pojechałem ją powitać w Hampton. Było to w dzień urodzin Waszyngtona, 22 lutego, 1907 r. Jednocześnie ze mną ukazały się na morzu powracające statki. Na statku admiralskim miałem przemowę do oficerów i żołnierzy, winszując im tak szczęśliwie odbytej podróży:

„Rok przeszło upłynął od chwili waszego wyruszenia z tego portu, na najdalsze krańce świata, a dziś, serca tych, którzy na nas patrzą, wzbierają słuszną domu. Byliście na półkuli północnej i południowej. Czterokrotnie przepływaliście równik i przebyliście wielkie oceany; stąpaliście po wybrzeżach wszystkich lądów. Dziś powróciliście do tego samego portu, od którego zaczęła się wasza podróż. Pierwszy to raz wojenna flota opłynęła całą kulę ziemską. Inne, które udadzą się tą samą drogą, będą już tylko płynąć waszemi śladami"...

Winszowałem im korzyści, odniesionych w tej wyprawie, postępów w strzelaniu i manewrach. Upominałem, by nigdy nie dopuścili zgubnej myśli, że są już wyćwiczeni *dostatecznie,* bo od tej chwili zaczęłoby się nieuchronne cofanie i upadek, a zakończyłem temi słowy:

„Flota powraca w lepszym jeszcze stanie, niż wyruszyła. A przytym, wy wszyscy oficerowie i żołnierze tej potężnej siły wojennej — staliście się najlepszemi posłami i heroldami idei pokoju. Wszędzie „gdzie stąpnęła wasza stopa, postępowaliście tak, że my tu, w kraju, dumni byliśmy, że jesteśmy waszemi ziomkami. Potrafiliście utrzy-

mać godność wojowników, którzy w obcych krajach powinni uczynić jak najlepsze wrażenie. Jesteśmy dumni z waszych statków, z was samych i witamy was serdecznie po powrocie do ojczystego kraju, dla którego dobrej sławy w obcych krainach, wśród obcych narodów, pracowaliście gorliwie i z powodzeniem"...

KONIEC.

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul. Powązkowskiej

2489

- razvoj polit. misli u Splitu
- dobra strana je što je najveći
  utjecaj imao Vuka
- Ovi radnici: milieu-studij, položaj

Biblioteka AP W
6457/1